



**DORIT
RABINYAN**

PERSKIE NARZECZONE

To książka magiczna, która łączy ludzi, miejsca, wydarzenia,
a także przeszłość i teraźniejszość, fantazję i rzeczywistość, legendy i marzenia.

— "L'Hebdo"

DORIT RABINYAN

PERSKIE NARZECZONE

Przekład
Agnieszka Olek

smak  słowa
Sopot

Część pierwsza

Noc

arbuza

1.

Tej nocy Florze zachciało się arbuza. Płakała już wieczorem, gdy siedziała z Nazi w kuchni, ogromna jak nigdy wcześniej, i zalewała się łzami ogromniejszymi niż zwykle. Wieczorem jednak nie płakała z powodu arbuza, lecz przez swojego męża. Nazi nie mogła już dłużej patrzeć na to łkanie i przyniosła jej z pokoju gościnnego wielką poduszkę z wyhaftowanymi białymi łabędziami. Flora westchnęła głęboko, oparła dłonie na podłodze i uniosła do góry wielki tyłek, dając Nazi znak, aby ta pospieszyła się i wcisnęła pod niego poduszkę. Para łabędzi zniknęła pod jej ciężkim ciałem, przykryta rozłożoną sukienką. Flora oparła się o poorly brużdżącą kuchenną ścianę, chwyciła za nadęty brzuch i znowu wybuchła płaczem. Również Nazi zsunęła się z wiklinowego obszarpanego krzesła i usiadła na zimnej kamiennej podłodze, rozsuwając lekko drobne nóżki, których kostki sterczały ostro jak łokcie.

Do płóciennej misy, którą utworzyły fałdy spódnicy między nogami, Nazi wrzuciła z rozmachem mrowie białych i gorzkich ziarenek ryżu. Na widok zielonej pleśni, która rozwinęła się wskutek panującej w spichlerzu wilgoci, zmrużyła oczy, pochyliła głowę, spuszczać warkocze między uda, aby łatwiej jej było rozpoznać wadliwe i skażone ziarenka, małe kamyczki i skrzydlate owady, które wkradły się do worka z ryżem, przybierając niewinne minki. Zwinnymi paluszkami jedenastolatki, obgryzającej paznokcie do żywego mięsa, Nazi wybierała dobre i szeleszczące drobinki i wkładała je do garnka. Złe i chrzęszczące gromadziła w zamkniętej dłoni i od czasu do czasu wrzucała do pieca, gdzie podrygiwały, roztrzaskując się w żarze nieustannie szepczących węgli, dopóki nie ucichły.

Flora miała piętnaście lat i była o cztery lata starsza od Nazi. To była jej pierwsza ciąża. Wszystkie kobiety w wiosce, wychodząc pozapinane i zawoalowane z okopconych kuchni, jednomyślnie kiwały podbródkami, przyzymkając stanowczo czarne oczy i zaciskając wargi. Wszystkie przyznawały, że takiej trudnej pierwszej ciąży, jak ta Flory Ratorian od dawna nie widziały, nie licząc ciąży dziwki Mamu z królem wiejskich diabłów, którego nasienie, kiełkując w niej, zrobiło z jej brzucha stożek. Bóg jeden wie, co niebawem stamtąd wyjdzie, wzdychały, obyśmy już nie zaznały takich ciąż u *kuczek-madar*, małych matek. Nazi słyszała też, że wszystkie te kłopoty spadły na wioskę, bo Flora stała się brzemienna w przeklętą noc zaćmienia księżyca, podczas której nawet kury znoszą wyłącznie śmierdzące jaja, całe czerwone od krwi. Bezwzględny zakaz zapładniania dziewiczych żon w tę potworną noc, gdy dusze drżą z przerażenia, a niemowlęta krzyczą przez sen, znany był każdemu, tylko nie Szahinowi Bozidozi, kupcowi bławatnemu, niskiego wzrostu i o rzadkich włosach, który poślubił Florę.

Minęło sześć miesięcy, od wiosny do wczesnej zimy, odkąd Szahin, przeszedłszy Bramę Kupców, dotarł do Omridżanu ze złamanym ramieniem, sterany tułaczką i śmierdzący starym oślim moczem. Na początku z leżącego nad Morzem Kaspijskim rodzinnego miasta Babol, którego mieszkańcy są oszustami, a mieszkanki trzpiotkami, udał się do zagłębia ropy naftowej w Abadanie na południu. Wyruszył w drogę jako biedak i kłamca i zawędrował na długouchym ośle do wiosek północy, gdzie – jak opowiadał mu ojciec – mieszkali najprostszy i najbardziej prostoduszni Żydzi w całym kraju. W drodze na północ zatrzymał się w Teheranie, gdzie napotkał wspaniałą paradę ambasadorów na cześć szacha Mohammada Rezy Pahlawiego. Tysiące żołnierzy w lśniących mundurach stały po dwóch stronach głównej ulicy, prowadzącej z placu Mejdane Safa do pałacu Golestan, gdzie mieścił się „Pawł Tron” – tron, który przywiózł wcześniejszy szach z podróży do Indii. Za szeregami żołnierzy gromadzili się poddani władcy, wśród nich Żydzi, Ormianie i zaratusztrianie – czciciele ognia, a na ich czele stali przywódcy, którzy trzymając w rękach zapalone świece, śpiewali hymny pochwalne na cześć szacha i ministrów. Szahin, widząc, że nadarza mu się niebywała okazja, przesłonił sobie zezujące oko i uwiódł szwaczkę terminującą w warsztacie nadwornego krawca w pałacu Szams’ol-Emare niedaleko miejskiego placu. Dziewczyna z przerwą między zębami i szpilkami wpiętymi w ubranie prowadziła go labiryntami szwalni, a kiedy została schwytana, skazano ją na śmierć przez powieszenie.

Podczas ucieczki z pałacowej piwnicy Szahin zdjął z ramion bezgłowego manekina wytworną aksamitną pelerynę, uszytą przez nadwornego krawca i jego pomocników dla wyczekiwanego syna szacha. Na kołnierzu i mankietach trzywarstwowej szkarłatnej tkaniny widniał złoty haft przedstawiający godło państwowe: lwa z parą mieczy w paszczy i wschodzącym słońcem na grzbiecie. Ostrzem kupieckich nożyc pociął Szahin pelerynę, a z kawałków, które sprzedał, starczyło na uszycie odświętnych sukien dla zgoła nieszczupłych czterech niewiast i jednej panny z dobrego domu. Ale złote miecze skrzyżowane w paszczy lwa ręką artysty zdemaskowały pałacową kradzież, a pięć strojniś zawisło w purpurowych sukniach u boku małej szwaczki.

W czasie gdy prowadzono je na szubienicę, a szkarłatne treny ciągnęły się za nimi, Szahin przybył do Omridżanu i wymyty, ogolony, pachnący naftą poślubił córkę rzeźnika – Florę Ratorian, zapłodnił ją i zniknął, nie oglądając się za siebie. W brzuchu pozostawił jej niemowlę, a we włosach wszy. Zawędrował do wiosek pod Isfahanem, których czerwone jak policzki jabłka mają słodki, odurzający aromat, i opowiadał mieszkańcom znanym z głupoty, że niewolniczymi statkami przemycił z Indii w workach tani perski jedwab, i aby uwiarygodnić swe słowa,

podskakiwał z boku na bok, śpiewał pieśni w języku hindi, a jego zezujące oko obracało się w różne strony. Przez zaciśnięte zęby obiecywał, że po upływie dwóch wiosennych cykli księżyca wróci z dobrym zarobkiem do swojej nowej żony śmieszki, pachnącej miodem jak jej przodkowie pszczelarze i mającej pieprzyk w zagłębieniu szyi jak kropla czekolady, która spłynęła tam, gdy dziewczyna się objadała. Dwa, najwyżej trzy miesiące, powiedział, a obiecując, że przywiezie jej purpurowe isfahańskie jabłka, wysuwał do przodu kwadratową szczękę. Ale od tamtego czasu minęło już okrutnie upalne lato, owijając Omridżan jak czarny welon, a Szahin nie wracał do wioski, której domy stoją ciasno przy sobie jak wagony nieruchomego pociągu bez lokomotywy.

Z osad w górach Elburs wędrowały złote i pomarańczowe wielbłądy ku przybrzeżnej północnej równinie, niosąc na grzbietach kupców i wędrowców, których umysły były przyćmione, turbany poszarpane jak ich buty, a w ustach mieli pogłoski dziurawe jak własne zęby. W starym perskim dialekcie Szirazu, miasta bogatego w słońce i cytrusy, opowiadali o oszuście, młodym kupcu bławatnym z Babolu, na którego powrót czekają ciężarne kobiety – trzy panny młode i jedna wdowa. Opowiadali także o jednym dziewczęciu z Buchary, które opuścił dziewicze i które z rozpaczy utopiło się w bagnie, wyszeptując jego imię w ojczystym języku. Ponieważ nie udało im się ustalić, czy ów kupiec ma zezę w lewym czy w prawym oku, Flora wołała wierzyć, że to nie o jej mężu mówią. Mężczyźni, widząc, że nie wierzy w ich historie, zaczęli przesadnie wychwalać jego atrakcyjność i siłę ramienia, ale wpadli w sidła przez własne słowa. Matka Flory wygoniła z domu z wyzwiskami niegodziwych plotkarzy, kruszących serca jak skorupki jajek. Ale tak jak zmarła młoda niewiasta z Buchary, której włosy unosiły się na powierzchni czarnego bagiennego błota, tak samo Flora nie była w stanie wygonić ich słów z wygłodniałego serca.

– Dlaczego mój mąż nie wraca, Nazi? Dlaczego? Dlaczego...? – mamrotała Flora na podłodze kuchennej, kołysząc się z boku na bok, a spod jej siedzenia wyglądała biała szyja jednego łabędzia na zmianę z ogonem drugiego. Uniosła szeroki rąbek sukienki, aby otrzeć łzy i powachlować uda. Zatkany nos wysmarkała w róg czadoru, wielką płócienną szatę w kształcie półksiężyca, owiniętą wokół ramion, czoła i brody, odsłaniający jedynie jej piękne oczy, nos i usta, których łuki, jak mawiali we wsi, same proszą się o pocałunki. Gdy płakała, ukazywały się też jej zęby, nie ułożone w dwóch rzędach, ale wspinające się jeden na drugi, tak jakby i one chciały wyskoczyć z ust wraz z jej lamentem, ozdabianym blaskiem kości słoniowej jej uśmiechów. Klepnęła rozcapierzoną dłonią w wielkie złotobrazowe uda, a jej palce odcisnęły na skórze skrzyżowanych nóg czerwone pieczęcie, w których zebrał się ból z serca.

Nazi widziała Florę pogrążoną w smutku i jej serce wyrывało się do niej. Przez moment rozważała, czy nie pocieszyć Flory zasłyszana w łaźni opowieścią

kobiet o zaćmieniu księżycy, zrzucając winę na ciała niebieskie, ale odstąpiła od tego zamiaru, zanim otworzyła usta. Sieroctwo nauczyło ją, że żadne wytłumaczenia, nawet takie, które angażują wszystkie ciała świetliste rozsiane nad dachami, nie są w stanie uśmierzyć bólu samotności. Jedną ręką Nazi trzymała ześlizgujące się końce czadoru przy ukrytym podbródku, drugą bawiła się ryżem, przesypując go między palcami. Zimny dotyk ziarenek sprawiał jej przyjemność. Suche, oczyszczone z pleśni i owadów, wydawały ostry i wyrazisty szelest, który zagłuszał zawodzenie Flory. Ale kiedy ziarenka odparowały, podwajając swoją objętość, stały się słodkie i białe – ucichły jak Flora podczas snu.

Nazi była gotowa przysiąc na swoich zmarłych rodziców, że nawet w miesiącu nisan zeszłego roku, kiedy Musa, starszy brat Flory, zamknął ją w domu, bo cały czas się śmiała i jadła, i nie pozwolił jej wyjść na dwór i oglądać ludzi od wieczoru pesachowego^[1] do Święta Tygodni^[2], przez co Flora stała się chuda i żółta jak kłos pszenicy, nie wyglądała tak kiepsko jak teraz. Z tęsknoty Flora podrapała sobie policzki do krwi, zadraśnięcia ciągnęły się od skroni do podbródka i mimo że zablizniły się na niebiesko i fioletowo, teraz otwarły się na nowo i zaczerwieniły.

– Tak. Tak – potakiwały głowami kobiety w łaźni – rozpacz przyczepiła się do Flory Ratorian jak pokrzywa do rąk.

Nawet sąsiadka Fattane Delkaszt, której dom przylega do domu Ratorianów, która ma ucho wiecznie przyłożone do ściany, a jej usta roznoszą plotki po całej wiosce, mówiła, że Flora łzami oślepiła swoje czarne oczy. Jej śmiałe spojrzenie, pożądające słodczy na targu i pożądane przez kupców, zapadło się teraz w tłuszczy ciężkich powiek, dąsając się nad brzuchem z dzieckiem, którego ojciec przepadł bez śladu.

– Wydlubię sobie oczy, *azizam*, kochany... Wydlubię sobie oczy, a ich światło zajaśnieje w twoim sercu... – Flora intonowała piosenkę, której nauczyła się od ciotek i ciotecznych babek ze strony ojca, przybywających gromadnie z okolicznych wiosek, aby udzielić rad, jakim sposobem sprowadzić małego i zdradzieckiego męża z powrotem do domu. Starymi dłońmi, na których rozkwitły brązowe plamki niczym kocie cętki, tasowały karty jak magicy, odwracały filiżanki kawy i z wyrazem skupienia na twarzy studiowały meandry losu Flory. Nakazały jej oddać pierwszy poranny mocz, najgęściejszy i najostrzejszy, o kolorze herbaty, na kurze jajko złożone o świcie i zbić je pod kwitnącym drzewem. Wieczorem miała rozpalić w kadzielnicy pączki ruty stepowej, wypełnić dymem wnętrzości i prosić z czystym sercem księżyc o zdjęcie klątwy, którą na nią rzucił.

Sabija Mansur, najbardziej poważana i sroga ciotka, najstarsza spośród ciotek ojca Flory, umiejąca czytać z gwiazd, której opinię uważano za rozstrzygającą, twierdziła, że aby palenie ruty stepowej poskutkowało, Flora musi ziewać często i szeroko, ile sił w płucach.

– Im więcej będziesz ziewać, moje dziecko – powiedziała Sabija, a wśród ciotek zaległa cisza – tym straszniejsze sny będzie mieć w nocy ten łajdak, straci siły i nie będzie mógł wdrzeć się do dziur dziwek, które sobie sprowadzi do swojego śmierdzącego łóżka, jego duch nie zazna wytchnienia, a obraz twojej pięknej twarzyczki będzie prześladować go, gdziekolwiek się uda, gdziekolwiek się uda, moje ty biedne dziecko.

Oprócz moczu, ruty stepowej i ziewania Flora musiała śpiewać smutną pieśń napisaną specjalnie na takie kłopoty sercowe. Wszystkie stare kobiety zgadzały się z Sabiją Mansur, chowając popękane wargi w czeluściach ust, że pieśń tę słyszeli wyraźnie nawet mężowie za Morzem Kaspijskim, na drugim końcu świata, i smutek gorzkiej melodii sprowadzał ich z powrotem do żon. Pieśń tę śpiewała Golestan swojemu ukochanemu Chorszidowi, opowiadały piskliwym chórem kobiety z wilgotnymi oczami, tęskniącymi duszami i rozdygotanymi ciałami.

Golestan była ukochaną nadwornego rzeźbiarza Chorszida. Artysta wyrzeźbił jej postać w czystym marmurze z fioletowymi żyłkami przypominającym jej skórę i ustawił w centrum tryskającej fontanny na pałacowym podwórzu. Gdy dowiedział się, że Golestan zaręczyła się z synem szacha, ugodził się ciężkim dłutem w czoło i umarł. Następnego dnia Golestan znalazła jego ciało w pałacowej sadzawce, a złote rybki pływały w jamach jego uszu. Ale kiedy zaśpiewała mu tę pieśń, zapewniając, że historia o zaręczynach jest wyłącznie kłamstwem, rozgłoszonym przez księcia, aby oddalić od niej ukochanego rzeźbiarza – Chorszid wstał, a pęknięcie w czaszce natychmiast się zrosło w cienką fioletową żyłkę.

Oczarowana starą legendą i wierząc całym sercem w moc pieśni, mogącej zwrócić jej miodowym piersiom zaginionego Szahina, Flora wniosła swoje ciężkie ciało na dach rodzicielskiego domu, rozłożyła słomianą matę pod rozciągniętym jak linia horyzontu sznurem do bielizny, przepędziła ptaki i mocnym, żarliwym głosem śpiewała pieśń Golestan od świtu aż po zmierzch. W pierwszych dniach jej głos nadal był pełen namiętności, której echo rozchodziło się zardzewiałą rynną i wszyscy mieszkańcy wsi, przechodzący koło domu Ratorianów, zatrzymywali się, zdziwieni płaczem śmieszki Flory, szydząc z jej tęsknoty. Niektórzy zadzierali głowy do góry, dłonią osłaniając oczy przed rażącym słońcem, i besztali ją za to, że sprowadza na wioskę hańbę i gorszy małe dzieci swoją chucią. Flora nie odpowiadała, tylko podnosiła głos aż do wrzasku, wbijając wzrok w daleki horyzont. Wiszące pranie muskało jej włosy, a ona kierowała pieśń prosto do włochatych uszu męża.

W końcu jednak moralizatorzy przestali przychodzić do Zaułka Migdałowców, by krzyczeć na Florę, grozić jej i nakazywać natychmiastowe zejście z dachu na rozkaz czcigodnego rabiego muły Netanela wdowca. Także kobiety z niemowlętami przy piersi zaniechały wizyt i nie litowały się już nad jej trudną miłością. Tylko młodzi goje zbierali się w bandy i rzucali kamykami i pestkami śliwek w rozognioną Florę.

– A tej Florze, a tej Florze to wtykają w dupę rozeń! To wtykają w dupę rozeń! – śpiewali, trzymając się za swoje nieowłosione brzuszki i śmiejąc się jak opętani. Flora śpiewała i łkała, śpiewała i łkała, a rynna odpowiadała jej drżącym echem.

Dopiero gdy ochrypla tak, że prawie całkiem straciła głos, a sąsiedzi poskarżyli się jej zakłopotanym rodzicom na hałas i zagrozili, że zrzucą ją z dachu do ogrodu, Flora zgodziła się zejść i lamentować w okopconej kuchni. Zadzieriała brodę ku kominowi, rozciągając wałki tłuszczu na szyi, a z jej gardła wydobywał się ku chmurom chropowaty i zadymiony śpiew. Dziewczyna ani przez moment nie wątpiła w rychły powrót Szahina, schwytanego przez melodię, której słowa porzebijają mu uszy.

– Na skrzydłach wiatru popłynę do ciebie, kochany. Wydłubię sobie oczy, kochany, *azizam*, ich światło zajaśnieje w twoim sercu. Zetnę długie włosy, wypcham nimi poduszkę i włożę ci pod głowę. Pyłem, który zeskrobię z twoich stóp, pomaluję sobie powieki, kochany, *azizam*...

^[1] Święto Pesach – święto żydowskie, jedno z trzech świąt pielgrzymich, obchodzone na pamiątkę wyzwolenia Izraelitów z niewoli egipskiej. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

^[2] Święto Tygodni (hebr. Szawuot) – święto żydowskie, jedno z trzech świąt pielgrzymich, obchodzone w pięćdziesiątym dniu po święcie Pesach, zwane świętem Zbiorów lub świętem Pierwocin.

2.

Nazi sięgała Florze do ramion i w zimne noce, zanim Flora wyszła za mąż, zasypiały razem w jednym łóżku, aby się ogrzać. Łaskotały się stopami, a Nazi kładła głowę między piersiami Flory, modląc się, aby i ona miała takie duże i okrągłe. Kochające ciało Flory i czułość jej palców bawiących się na plecach czarnym puchem, tak iż cieniutkie włoski sterczały z rozkoszy, chroniły sierotę Nazi od strachu przed pięknym obliczem ciotki Miriam-chanum, matki Flory.

Jak pozostałe kobiety w rodzinie matki, Flora była zdrowa niczym mężczyzna i rozpieszczona jak dziecko. Pierwszy okres dostała w wieku jedenastu lat i od tamtej pory krwawiła skąpymi kroplami w regularnych odstępach czasu. Lecz kobiety z tej rodziny znane były nie tylko ze zdrowia, ale też z przypalonych garnków i wybiedzonych kur. Podobnie jak one wszystkie Flora była leniwa i wyszła za mąż późno.

Homa, jej starsza kulawa siostra, wyszła za mąż nieszczęśliwie, mając piętnaście lat, gdy już mówiono, że trzeba ją ukusić w occie z kapustą i marchewką. Pan młody był wychudzonym młodzieńcem niespełna rozumu, dozgonnie przywiązany do matki, Mahtab-chanum, wiejskiej pieśniarki. Kobieta przyszła z nim z drugiego końca Zaułka Migdałowców prosić o rękę Flory, ale musiała się zadowolić niezgrabnym łapskiem jej siostry.

Również Miriam-chanum nie spieszyła się z opuszczeniem pszczelarskiego rodzinnego domu, nad którym latały bzyzące pszczoły niczym złote wachlarze rozpostarte na niebie. Miodowe uciechy ojca i uroki leniuchowania, których nauczyła się od matki, zamieniła na czarną kuchnię teściowej dopiero w wieku czternastu lat i dopiero gdy wypędziła pszczelarską duszę ojca z jego słodkiego ciała. W ciągu pół roku ojciec zarznął stado kur w wejściu do synagogi, a jasna krew zakrzepła grubą czarną warstwą na progu. Mimo iż mieszała się z błotem i przyklejała do podeszew znoszonych butów, wioskowi biedacy cieszyli się z przedłużającego panieństwa Miriam-chanum, ale w końcu nawet i oni przyznali, że panienka musi wyjść za mąż, może dlatego, że obrzydły im drobiowe potrawy i mieli nadzieję, że weselny jadłospis będzie urozmaicony wołowiną.

Na skutek częstych wizyt ojca w sklepie drobiowym Miriam-chanum poślubiła ostatecznie syna rzeźnika i na weselu goście jedli gęś w miodzie i czarnych śliwkach oraz indyki w ziołach. Tylko nieliczni z mieszkańców dostrzegli znad obgryzanych udek i wylewającego się im na okrycia gęstego sosu, co Miriam-chanum zrobiła pod chupą^[3], i ich pełne jedzenia usta rozdziawiły się w zdumieniu. Pamiętali przejęte i dumne spojrzenie syna masarza, gdy rozgniatł stopą kieliszek, i opowiadali, że dokładnie wtedy, gdy Miriam-chanum nadepnęła obcasem na jego wyglancowany but, rozległ się ponowny brzęk miażdżonych

odłamków szkła, obwieszczający, że to ona przejmuje władzę w domu.

Mąż Miriam-chanum odziedziczył razem z bratem bliźniakiem sklep drobiarski ojca i dwa domy w Zaułku Migdałowców. Miriam-chanum urodziła mu troje dzieci, które wkrótce potem zmarły wskutek uduszenia, i troje, które oddychały i rosły, ale ociągała się z wydawaniem na świat kolejnych. Mani dżun, drogą Mani, swoją owdowiałą szaloną teściową, która nie chciała umrzeć, ulokowała w małym wiklinowym koszu, odpowiednim do jej wymiarów, i wepchnęła w kąć gościnnego pokoju w domu będącym kiedyś jej królestwem. Gdy Mani dżun wymykała się z niego, kuśtykała na drżących rozkraczonych nogach i ze zgiętymi kolanami, co przypominało taniec. Ostatecznie jednak polubiła swój kosz, siedziała w nim i zaplatała w dziewczęce warkocze białozółte włosy niczym wąsy kukurydzy, i nie chciała z niego wychodzić aż do śmierci.

Za definitywną klęskę kobiet z tej rodziny w kwestiach prowadzenia domu uważa się moment, gdy Miriam-chanum została obdarzona przez wieśniaczki przydomkiem *gorbe-kesafat* – kocia fleja. Mówiono o niej, że jest najbrudniejszą gospodynią w Omridżanie. Że jest brudniejsza od swojej matki nieboszczki, urodzonej w Tabrizie, mieście znanym z niechlujstwa kobiet. Że jest brudniejsza nawet od szyitek, które, jak powiadają, nie odróżniają soczewicy od brązowych żuków gnojowych i gotują te ostatnie w garnku razem z ryżem i posiekany koprem. Robaki postępowaly sznurem w stronę zapuszczonego domu Miriam-chanum, przedzierały się pod drzwiami, wlatywały przez okna, wpełzały stadami przez szpary we framugach i ścianach w poszukiwaniu skwaśniałego, zgnilego i śmierdzącego jedzenia.

W pierwszym roku małżeństwa Miriam-chanum Mani dżun, której jeszcze nie opuściły całkiem zmysły, słała ze swojego kosza spojrzenia w stronę syna. Patrzyła na niego drwiąco, gdy przelykał po cichu mdłe, przypalone mięso, które wkładała mu na talerz żona; ze smutkiem, gdy uciekał przed smrodem kuchni Miriam-chanum ku miodowemu ulotnemu aromатовi jej ciała; i ze złością, gdy kulił się na dźwięk roztrzaskiwanych w drobny mak porcelanowych naczyń, które wypadały Miriam-chanum z rąk. I choć próbował udawać, że nie ma pojęcia o niedbalstwie żony i o kawałkach naczyń ukrywanych w spichlerzu, jego matka widziała, jak je potajemnie wyciąga i sprzedaje handlarzowi szkłem za grosze. Posłała gońców po jego ciotki, a one przybywały kolejno z okolicznych wsi, na czele z najstarszą Sabiją Mansur, mieszkającą w Omridżanie. Także szwagierki Miriam-chanum, do których doszły straszliwe historie o robaczywym ryżu i chałwie pokrytej szarymi nićmi pleśni, przydreptały pospiesznie. Wszystkie próbowały nauczyć Miriam-chanum pracy w domu, ofiarowały się bić ją w zastępstwie słabowitego męża i w imieniu starej teściowej. Ale Miriam-chanum została na posłaniu, nie przywitała ich i za radą matki skarżyła się na bóle głowy. Nie poczęstowała ich nawet czarną herbatą. W końcu straciły cierpliwość, zebrały

włosy pod chustami, ściągnęły pierścionki i bransoletki i zademonstrowały jej, co to praca, mamrocząc z wściekłością:

– Jak jej matka, zupełnie jak jej matka, *kesafat*, fleja, niech ją diabli wezmą.

Niestrudzenie i ze złością pucowały dom Miriam-chanum, zapelniając go budzącymi zazdrość aromatami potraw, a ona była coraz bardziej leniwa.

– Widziałaś jej smukłą kibić, piękny tyłek i czarne wielkie oczy i myślałaś, że znalazłaś pracowitą mrówkę dla syna? *Zohm bad*, ażebyś szeszła, co za nieszczęście na niego sprowadziłaś. Twoja synowa nie jest pszczołką, córką pszczelarzy. To osa jak jej matka z Tabrizu, uchowaj nas, Boże! – prawily Mani dzun w isfahańskim dialekcie, którego ospała Miriam-chanum nie rozumiała i nie chciała rozumieć, a staruszka zalała się łzami z żalu i rozgoryczenia, kuląc się w swoim koszu.

Przez stare wspomnienie pewnego zdarzenia z dzieciństwa Miriam-chanum czuła obrzydzenie do kobiecych starań, aby zdobyć uznanie w oczach męża fanatycznym dbaniem o czystość domu i przyrządzaniem przysmaków. Do tamtego momentu Szirin z Tabrizu, krzepka matka Miriam-chanum, krzątała się co rano, polerując szmatami okna i podłogi, czekając na powrót męża z polowań na pszczoły. Gdy wszedł do domu owego pamiętnego wieczoru, jego utyłane błotem buty zostawiły rozmokłe lepkie grudki, ciągnące się jak brudny tren po kamiennej podłodze, z której wyzierała ku niemu jak w kryształowym zwierciadle jego postać.

Mężczyzna zatrzymał się, położył w nogach płócienny tobołek z leśnymi mięsistymi grzybami o czubkach wystających z kapeluszy niczym kobiece sutki, parę krwawiących królików, które niósł na ramieniu, i skrzynkę z bzyzącymi włochatymi pszczołami, wypełnionymi rzadkim nektarem kwiatów ruty. Blask bijący od szyb i szklanych naczyń zadziwił go. Szirin z dziećmi usłyszały jego ciężkie kroki i z radością zgromadziły się wokół niego.

Miriam-chanum miała pięć lat, kiedy zobaczyła przejętą matkę stojącą na palcach, z czarnymi błyszczącymi oczami wpatrzonymi w męża, jak gdyby i je szorowała godzinami drucianą szczotką. Podczas gdy dzieci radośnie przyłgnęły do ojca, on stanął i wbił spojrzenie w żonę. Wydobył z gardła falę gęstej flegmy, wypełnił nią usta i plunął w twarz kobiety. Jakże wielka była obraza wyzierająca z jej oczu wpatrzonych w szczeliny kamiennej podłogi. Szirin starła rękawem z twarzy żółty śluz i zapytała męża drżącym głosem, czym zawiniła.

– Musiałem splunąć – odparł. – A dom jest taki czysty i piękny, że szkoda mi było go zabrudzić. Ale wtedy przyszłaś ty i zobaczyłem twoją brudną twarz, białe suche włosy i szmaty, które masz na sobie, i ucieszyłem się, że zostawiłaś mi miejsce, gdzie będę mógł splunąć.

Od tamtego dnia Szirin posmutniała, z żalu zaczęła zaniedbywać pracę

w domu, który coraz bardziej pokrywał się czarną warstwą tłuszczu jak żałobna szata Ormianki. Dywany śmierdziały moczem dzieci, które pełzały po nich, wkładając do ust robactwo znalezione w szparach w ścianach. Szirin przez całe życie dostawała w skórę od męża, a córkom zaszczepiła próżność i nieróbstwo, wygładzające zmarszczki. I tak do silnych kobiet z jej rodziny przyłgnęła próżniacza natura.

Blask wrócił jednak na czerwone miedziane patelnie, które wniosła w wianie Miriam-chanum, a robaki przestały nawiedzać dom w Zaułku Migdałowców i zaczęło tam przyjemnie pachnieć. Stało się to zaraz po śmierci bliźniaczego brata męża Miriam-chanum i jego żony Mahasti, którzy zatruli się jedzeniem i wymiotowali czarną krwią. W czasie siedmiu dni żałoby Miriam-chanum zauważyła, jak bardzo pracowita jest ich córeczka Nazi, i z radością przychyliła się do próśb męża, aby wychować sierotkę w ich domu. Postawiła tylko jeden warunek: Dziewczynka ma zwracać się do niej z szacunkiem: *amme bozorg* – czcigodna ciociu.

^[3] Chupa – w tradycji żydowskiej baldachim, pod którym zawierany jest związek małżeński.

3.

Skóra na twarzy Miriam-chanum i jej córek była naciągnięta jak zwierzęca skóra na obręczy tamburynu. Brwi miały czarne, bujne i krzaczaste jak u młodego mężczyzny, a kiedy je wyskubano, ukazał się szarawy gąszcz ukłuć igłą. Na stopach nie miały głębokich szram jak po zacięciu nożem, widocznych na twardych niczym kamień stopach kobiet ze wsi, które chodziły boso, a kurz z ulic i ogrodów osiadał im w popękanej skórze. Nie spływały im też z ud, niczym górskie potoki, żyłaki.

Od swojej matki Szirin Miriam-chanum nauczyła się zaniedbywania domu i rozpieszczania ciała. Zaczynała dbać o piękny aromat skóry dzieci, jeszcze kiedy była w ciąży, jedząc cytrony, smarując brzuch sproszkowanym mirtem i olejkiem jaśminowym i gryząc pałeczki cynamonu. Gdy się rodziły, wpychała im pod pachy i w fałdki tłuszczu kawałeczki pachnących goździków i raz na tydzień, do czasu aż dorosły, smarowała im całe ciało znanym z pięknego zapachu miodem z wiosennych kwiatów. Szkraby zamykały się w pokojach ze strachu przed żądłami pszczoł i oblizywały swoją lepką skórę małymi języczkami. Pod wieczór Miriam-chanum kąpała je w gorącej wodzie, szorując im członki włóknami daktyla, aż wrzeszczały z bólu, a potem nacierała im ciało kojącym woskiem. Pocięchom rumieniały policzki, przybierały na wadze, a woń ich potu stawała się słodka. Ten zapach skóry Flory zabrał ze sobą na włóczęgę Szahin Bozidozi, opuszczając Omridzan.

O Miriam-chanum mówiono, że kawalerzy mdleli w noc jej ślubu. Opowiadano, że nawet po tym, jak wydała na świat Homę i Musę i nosiła w łonie Florę, nadal przychodziły do niej spóźnione listy miłosne, w których młodzieńcy grozili, że skończą ze sobą, jeśli poślubi innego.

Również jej córki słynęły z urody. Zanim Homa spadła z dachu, a na jej plecach wyrósł garb, będący obiektem drwin na uliczkach, młodzi goje biegali za nią z falującymi grzywkami, cmokali ją głośno w policzek i uciekali, piejąc z radości. A kiedy Flora przechodziła obok tłoczni oleju sezamowego braci Nasera i Mansura, oni wychodzili do niej z lśniącymi czarnymi włosami, tuptali wokół niej z wygłodniałymi oczami, gruchając jak oszalałe gołębie:

– *Bah, bah, maszallah*^[4], co za cudo, chodź do mnie, chodź do mnie, *azizam*, Flora, chodź do mnie...

Dom Miriam-chanum odgradzał od siebie domy Fattane Delkaszt i jej siostry Soltany Zafarollah. Fattane i Soltana zaglądały z dachów do domu Ratorianów, zerkając na siebie z uśmiechem. Kiedy nakazywały dzieciom wychylić się z okna i bacznie obserwować podwórko sąsiadki, bądź też kiedy układały w stertę skrzynki i garnki, żeby uzyskać lepszy widok, Miriam-chanum rzucała w nie czym

popadło i przeklinała je, ażeby oślepyły. Wierzyła, że wyłącznie przez ich złe oko Homa spadła z dachu, a Flora wyszła nieszczęśliwie za mąż.

– Te wiedźmy badały krągłości piersi moich córek od czasu, gdy miały wielkość oliwki – mówiła do Nazi. – A na koniec niech kruki wydziobią im oczy.

– Pewnego dnia – ostrzegła – Fattane i Soltana, niech je diabli wezmą, skruszą swoimi zazdrosnymi oczami skałę, załamią się fundamenty naszego domu, zawalą się sufity, a wtedy wszyscy zginiemy.

Mąż Soltany Zafarollah wypuszczał z dachu domu gołębie pocztowe, a po kamiennym chodniku w ogrodzie Fattane Delkaszt kroczyły dumnie pawie z wybałuszonymi okami w swoich ogonach-wachlarzach. Ich mięso mąż sprzedawał gojom ze wsi, a pióra gojom za morzem. Fattane przechadzała się po wsi jak paw w wielobarwnych sukienkach z Buchary, trzęsąc tyłkiem jak rozpostartym wachlarzem. Nad Zaułkiem Migdałowców fruwały pawie pióra Delkasztów, gołębie Zafarollahów oraz pióra gęsi i kur sprzedawanych przez męża Miriam-chanum w sklepie drobiarskim, którymi ona wypychała poduszki i pierzyny.

Za młodu siostry zerkały z życzliwością znad niskiego kamiennego muru na Miriam-chanum i pozwalały swoim dzieciom hasać z jej dziećmi, podobnie jak hasały na wietrze pióra ich ptaków. Fattane karmiła pawie, jej siostra poiła gołębie, a Miriam-chanum wysypywała pióra z worków do parującego kociołka pod migdałowcami. Ciężkie opadały na spód, a płatki gęsiego puchu unosiły się na powierzchni wody. Gdy jedna z kobiet miała okres, sąsiadki przyrządzały jej starannie dania, tak aby wychwalano jej błogosławione ręce, sypki ryż i soczyste mięso. Kiedy któraś z nich dźwigała jakiś ciężar, reszta mówiła:

– Chodź, kochana, pomożemy ci, *maszallah*, w nocy włazi ci na brzuch, a teraz ty musisz taszczyć to na plecach – zaśmiewały się razem.

W słońcu i na wietrze Zaułek Migdałowców dźwięczał szaleńczym chichotem tłumionym dłonią kobiet w pogniecionych i okopconych sukienkach i łkaniem golusieńkich brzdąców, siedzących na ich pochylonych miednicach jak na krzesłach. Kobiety wycierały ciekące nosy dzieci chustami okrywającymi głowy, a czadorami zatłuszczone od potraw palce. Wśród dziecięcych krzyków i gdakania drobiu sąsiadki trajkotały również z Mahasti, szwagierką Miriam-chanum i matką Nazi, której dom stał na drugim końcu zaułka, a gdy opustoszał, zamieszkała w nim Homa z mężem. Ale im więcej przybywało dzieci jak piskląt w zaułku, a córki Miriam-chanum rosły i dojrzewały, ciasnota i zazdrość oddalały od siebie sąsiadki, a gorycz nienawiści przeniknęła zapachy potraw.

Fattane i Soltana śpiewały wraz z innymi kobietami ze wsi rymowane kpiarskie przyspiewki o Miriam-chanum, chichocząc szydlerczo, ale w skrytości serca zazdroszcząc urody córki.

– Gdyby nie przespała choć jednej nocy z powodu zmartwień, z bryzgającej

miodem figi przemieniłaby się w zeschniętą wiechę – powiadały.

Rozwścieczała je zwłaszcza wzorowa miesięczka kobiet w rodzinie Ratorianów, której ostry zapach zalewał zaułek i wywoływał zawroty głowy. Pełne podziwu liczyły dni krwawienia, potajemnie paliły gałązki wierzby, stojąc na palcach nad płomieniem, nagie od pasa w dół z rozstawionymi szeroko nogami, błagały, aby dym przedzierający się do łon uczynił ich okres tak lekkim, regularnym i wonnym jak u Miriam-chanum i córek.

O Miriam-chanum opowiadały, że nie pali się do kochania męża, który zapłodnił ją w nocy, gdy śniła, że sunie w łodzi po falach Morza Kaspijskiego. Mówiły też, że napiła go przebiegle własnym moczem i dlatego tak do niej przylgnał. O Homie szeptały, że nie ma szczęścia, bo w swoim kalectwie jest zbyt żadna uciech, całymi dniami nie sika i wpycha sobie tam palce, onanizując się całą noc. Kobiety ze wsi plotkowały też o Florze i jej również zazdrościły, ale wszystkie lubiły jej dźwięczny śmiech i miodową woń jej ciała. Nawet Fattane Delkaszt zapewniała Florę, że jej jajniki są małe i mocne jak orzechy, klepiąc ją z uśmiechem po zaokrąglonym brzuszku jak po dojrzałym arbuzie. Uśmiech Fattane nadawał jej twarzy wyraz niedowierzania, bo urodziła się bez warg. Bez czerwonych ust wyglądała, jak gdyby uśmiechała się wbrew sobie.

Zazdrość kobiet oddaliła Miriam-chanum od sąsiadek i z dumy oraz strachu zamknęła się ona w domu ze swoją kolekcją przekleństw. Sprzedawanym przez męża kurom wydłubywała oczy, konserwowała je, wkładała do małych srebrnych ozdóbek i wieszala sobie i dzieciom na szyi jako talizmany. W ten sposób chroniła się przed złym okiem sąsiadek. Mniej się bała uwięzionego w pierścionku i zawieszono na piersi. Ale im bardziej się od nich odsuwała, tym więcej o niej plotkowały. W miejscu, gdzie duma jest najcięższym z grzechów, Miriam-chanum obwarowała się zaplecionymi wokół głowy warkoczami wyglądającymi jak korona. Wzrok kierowała wysoko nad głowy kobiet, nad ich obwisłe ramiona i niskie czoła, a chybotającym między piersiami kurzym okiem przebijała im serca. Również Homa, mieszkająca niedaleko na drugim końcu zaułka w domu z gliny i słomy, zatrzasnęła za sobą drzwi i poświęciła większość nocy i poranków na rozpaczliwe próby zajścia w ciążę. Kobiety nie prześladowały jej, nadstawiały tylko uszu, delektując się jej jękami.

Ale Flora od dzieciństwa lubiła wychodzić z domu i zjednała sobie nie tylko żydówki, ale też gojki mieszkające za synagogą. Kiedy przechodziła pod oknem jednej z koleżanek, upuszczała coś, wznosząc do góry tyłek i pochylając się, aby to podnieść. Jej nos wyglądał spomiędzy piersi, wyczuwając rozchodzący się po ulicy aromat potraw, a kobiety wylegały przed dom i zapraszały ją na poczęstunek. Flora zapominała o urazach matki, śmiała się nieśmiało, a jej zmrużone oczy zwięzały się w długą linię gęstych rzęs. Kobiety łapały ją za rękę, lekką jak kłębek puchu,

ciągnęły do kuchni, sadzały i podawały pełną słodkości i owoców salaterkę. Gdy Flora zlizywała kożuch ze śmietanki, opowiadała im najnowsze sny i śmieszne historyjki, zasłyszane na ulicy. Kobiety krzątały się dokoła, gotowały, sprzątały, prały, objaśniały jej sny, a słodki śmiech Flory, wznoszący się coraz wyżej i wyżej i zakończony zawsze pośpiesznym chrumknięciem, przynosił im ulgę w ciężkiej pracy. Od śmiechu drżała jej kropelka czekolady na szyi, a twarz jaśniała jak złota moneta. Sąsiadki rywalizowały ze sobą o jej wizyty, wabiąc ją ulubionymi przysmakami i komplementami.

– *Betaraki*, a niech cię, *bah, bah, maszallah*, jaka jesteś piękna dziś, Floro – mówiły z podziwem z rozwartymi oczami, trzymając w zaciśniętych dłoniach słodzone orzeszki ziemne i zwijając je dla niej w zdjętą z głowy chustę, żeby musiała do nich wrócić, gdy będzie chciała ją oddać.

W zimne dni, gdy na wioskę sypał śnieg, kobiety rozpałały we wkopanym w ziemię piecyku, rozkładały na nim wełniany koc, a Flora opatuląca sobie nim stopy. Powoli zapadała w sen. A kiedy się budziła, zarumieniona z rozwichrzonymi włosami, u jej boku spały dzieci gospodyni, a po pokojach rozchodziła się woń kolacji. Flora bawiła się z maluchami, karmiła je i siebie orzechami laskowymi oraz kawałkami kokosa i do zapadnięcia zmroku opowiadała ich matce resztę plotek, zasłyszanych ostatnio u sąsiadów.

W zarze zadymionych sąsiedzkich kuchni Flora usłyszała po raz pierwszy o trójce swojego rodzeństwa, które udusiło się we śnie przed jej narodzinami. Uśmiech Flory, rozciągający się niczym sukienka, którą rozpina kobieta, by wyjąć pierś do karmienia, zniknął powoli. Dopiero wtedy zrozumiała, dlaczego matka jest taka zdenerwowana za każdym razem, kiedy bezdomny niewinny i głodny kot wkrada się przez okno do domu; dlaczego podbiega do dzieci ogarnięta trwogą i natychmiast wygania zwierzę na ulicę, pomimo że kot, polując na myszy, udziela pomocy domownikom. Wieczorem wydobyte z otchłani przeszłości wspomnienie o dziecięcych i młodzieńczych grzechach Miriam-chanum poruszyło przedwcześnie pomarszczone czoło Fattane Delkaszt i jej kobiecy wąsik, który już przestała wyskubywać.

Nikt nie wiedział, dlaczego Miriam-chanum tak bardzo nienawidzi kotów plądrujących śmietniki. Ci, którzy widzieli ją w dzieciństwie znęcającą się nad nimi, myśleli, że to tylko dziecięca złośliwość. A kiedy jej rodzice pszczelarze odkryli, że zamyka koty w drewnianych beczkach pełnych wrzątku, z których mroków wydobywa się udręczone miauczenie, nie ukarali jej, jak to mieli w zwyczaju, wychowawczymi różgami, ale jedynie zbesztali.

Kiedy była już młodą dziewczyną, nękanie kotów stało się jej drugą naturą. Gdy starały się umknąć na mięciutkich łapach, goniła je po dachach aż na skraj

wsi, trzymając w ręku ciężki tłuczek od młota niczym młot kowalski. Gdy łąpała swoje ofiary, nigdy nie okazywała litości, waliła w głowę, aż miażdżyła delikatną czaszkę, a pionowe szparki źrenic zamykały się powoli. Ogony wyrывała, a długie wąsy podpalała, aż się wywijały.

– *Aundare*, co za biedactwa – mieszkańcy wioski wygrażali jej pięścią w powietrzu. – Koci bóg zemści się srogo na tobie, ty nikczemna dziewczyno.

Ale Miriam-chanum lekceważyła ich ostrzeżenia i kiedy w końcu wyszła za mąż i urodziła pewnej upalnej nocy pierwsze dziecko, jej ręce były porane pazurami zgłodzonych przez nią kotów. Wyczerpana i szczęśliwa zasnęła, a świecący nisko żółty księżyc spoglądał na nią i śpiące u jej boku niemowlę. Zżerany nienawiścią kot przybłąda wyprężył gibkie ciało, wdrapał się przez otwarte okno, zbliżył do dziecka i rozłożył na jego ustach i nosie. Gdy przestało oddychać, zszedł z niego po cichu i wymknął się tą samą drogą. Identycznie postąpiły wiejskie koty wobec dwóch kolejnych niemowląt Miriam-chanum, a żeby się zemścić, nie musiały nawet wyciągać swoich ostrych pazurów.

Kiedy Miriam-chanum znalazła trzecie dziecko bez życia z kocią sierścią w uchu, zawyla przeciągle, a wszystkie kocury potarły łapką nosy z satysfakcją. Po powrocie z cmentarza Miriam-chanum z mężem byli zdecydowani zrobić wszystko, aby przebłagać zagniewanego kociego boga.

Półksiężyc na meczecie pojawił się w kuli zachodzącego słońca, gdy Sabija Mansur z siostrami stanęły w kuchni i zaczęły przyrządzać mleczne i rybne specjały znane jedynie perskim kucharzom. W pokoju gościnnym na dywanie z Kaszanu rozłożyły biały płócienny obrus *sofre*, a na nim ustawiły dania, których było tak wiele, że mogłyby nasycić wszystkich wiejskich biedaków, zgromadzonych u bram, gdyby nie wypędzono ich z zaułka. Kobiety otworzyły na oścież okna i drzwi w domu, rozsunęły aksamitne zasłony, zabrały skuloną w koszu Mani dzun i udały się jak żałobnice do rodzinnego domu Fattane Delkaszt i Soltany Zafarollah, by pościć i modlić się o zdjęcie klątwy.

Miriam-chanum nie było w domu, gdy wszystkie koty ze wsi weszły do niego, jak honorowi goście, rozciągnęły się na dywanach, gryzły ryby i lizwały serniki. Kiedy skończyły biesiadę, drzemały obłaskawione na rozesłanych materacach, a gdy się obudziły, kopulowały na stertach worków w kuchni. Rano Miriam-chanum wróciła do opustoszałego domu i zebrała niezliczoną ilość kłaków w kolorze białym, rudym, szarym i czarnym, które koty zostawiły na znak przebaczenia. Zbiła je w jeden zwarty kłębuszek, zawinęła w kwadratowy kawałek materiału, którego brzegi zszyła, tworząc woreczek. Przywiązała go do złotego łańcuszka i zawieszała na szyi, kiedy szła do męża począć dziecko.

– Niech Bóg wybaczy, że ci o tym opowiadam, ale odkąd twoja matka zapłaciła za swoje przewinienia i wyraziła żal i skruchę – Fattane westchnęła i podała bladej Florze talerz pełen czerwonych wiśni i fioletowych jagód – koty nie

mściły się już więcej i urodziła się bidulka Homa, Musa, a w końcu ty. Bądź zdrowa, serce ty moje, tylko wyjdź już za męża, Flora, wyjdź za męża... – Na twarzy Fattane pojawił się pozbawiony warg uśmiech, a wzburzona Flora napełniła usta wiśniami, z których zapomniała wyjąć pestki.

– Wyjdź już za męża, Flora – ponaglała Fattane Delkasz, strasząc, że każdego dnia, który mija bez mężczyzny, wysycha jej coraz bardziej i bieleje czerwona dziurka, aż pewnego dnia jej krawędzie się skleją i zaniknie całkowicie.

Flora poderwała się z miejsca, a wiśnie spadły jej z kolan i rozsypały się jak koraliki po dywanie, i z szeroko rozstawionymi nogami, jak ktoś, kto zsiadł się w majtki, noga za nogą, łza za łzą, udała się z domu Fattane do Homy. Oznajmiła jej, że gotowa jest zrobić dla niej wszystko, niech ją tylko szybko uratuje, bo już zaczęło się jej sklejać, duże wargi przywarły do małych i tak ją piecze, że myśli, że już nie będzie mogła więcej zrobić siku. Homa zaniósł się śmiechem dorosłych, a jej nieokiełznane piersi trzęsły się i śmiały wraz z nią. Grubymi rękami otworzyła okiennice, wychyliła głowę przez okno i wrzasnęła na cały zaułek:

– Mamo! Oj *madar!* Wyjdź na chwilę. Musisz coś usłyszeć! No, otwórz na chwilę, mamo! – Głowa Miriam-chanum z warkoczami splecionymi jak korona pojawiła się w ramie okiennej. – Flora płacze jak głupi bachor i chodzi, jakby spływał jej po nogach daktylowy miód! – krzyknęła Homa i usłyszeli ją wszyscy, czy tego chcieli czy nie. – Bo Fattane, niech wyłupią jej oczy łyżeczką do herbaty, powiedziała jej, że niebawem zaniknie jej dziurka! Słyszysz, mamo? Chodź, powiedz jej, że nieważne, jak bardzo będzie ją tam piekło, dziurka nie zamknie się tak prędko, prawda, mamo?

Miriam-chanum nie zaśmiała się, tylko przeklęła Fattane, ażeby na wieki wieków bolał ją brzuch, *enszallah*, daj Boże, i zatrzasnęła okiennice, aby tak samo zamknęło się złe oko sąsiadki. Homa posłała Florę i jej chodaki do domu, polecając, żeby poprosiła matkę o opowiedzenie historii o bólach brzucha Fattane Delkasz.

Zaraz po nocy poślubnej Fattane chodziła po wsi, jęcząc, że boli ją brzuch. Skamlała jak niemowlę o mleko matki. Nie pomogły napary herbaciane z cytryną, które podała jej siostra Soltana, ani posty, do których ją zmuszała. Bóle i skargi nie ustały. Aż pewnego poranka Fattane położyła głowę na ramieniu Soltany, wybuchła płaczem i powiedziała, że nie wróci więcej do domu męża. Starsza od niej Soltana, która może była żółwowatą diabolicą, ale nad siostrą się litowała, przyniosła olej marchwiowy, żeby natrzeć nim jej brzuch, może to złagodzi ból. Fattane uniosła do góry sukienkę, a jej siostrze z przeogromnego zdziwienia wypadła z ręki butelka, a bursztynowy olej rozlał się po dywanie. Na brzuchu Fattane rozprzestrzeniły się jak atramentowe kleksy niebieskie i fioletowe plamy,

a czarne strumyki krwotoków zatrzymywały się w cieniu jej pełnych piersi.

Od czasu tych przeraźliwych bólów brzucha, gdy błagała siostrę o pomoc, Fattane urodziła sześcioro dzieci, a sąsiedzka nienawiść wyrosła pomiędzy siostrami i Miriam-chanum, której stojący pośrodku dom nie pozwalał stykać się ze sobą ich dachom. Każdemu dziecku Fattane nadała imię, ale kobiety we wsi nazywały je wszystkie potajemnie „pępkowymi dziećmi”, a o kobiecie skarżące się na wyimaginowane bóle brzucha zwykły były mówić, że „cierpi jak bezpłodna Fattane Delkaszt”. Na próżno dziewiczy hodowca pawi próbował przez cały tydzień zapłodnić Fattane przez pępek, który mrugał do niego z brzucha niczym oko ślepcy. Fattane przygryzała bezwargie usta, a pan młody uderzał członkiem ze wszystkich sił, wpychał go i ładował do pępka, nie mogąc się nadziwić, jaką przyjemność mężczyźni znajdują w wyczerpującym i frustrującym wysiłku płodzenia potomków. Dopiero po tym jak Fattane porozmawiała z siostrą i pokazała mężowi włochaty otwór pomiędzy nogami, zagadka została rozwiązana, on z radością wdarł się do środka, a Fattane zaszła w ciążę.

Zazwyczaj Flora wracała od sąsiadek bardzo późno, gdy wioska kładła się do snu. Ojciec i brat już spali z przygotowanymi na nią drewniakami w rękach. Ale matka nie mogła zmrużyć oka, zamartwiając się o dziewictwo córki. Spóźniona Flora przykładła ucho do drzwi wejściowych, próbując dosłyszeć chrapanie domowników, zdejmowała chodaki i ostrożnie przemykała do ciemnych pokojów, gdzie bzycały wygłodniałe komary. Wydając z siebie cichutki, przejęty chichot, zasłaniała dłonią usta i przechodziła obok babci śpiącej w koszu niczym niemowlę w kołysce, po czym wkradała się do pokoju dziewczynek i związała w kłębek na materacu przy Nazi.

Pomimo że Nazi była zmęczona ciężką pracą w domu, tłumiony śmiech kuzynki wyrywał ją z lekkiego snu. Otwierała oczy, przyglądając się jej czarnym konturom rysującym się w pokoju, a później bawiła się z nią pod moskitierą, aż Flora nie zasnęła.

Po kilku chwilach wchodziła do pokoju dziewczynek Miriam-chanum. Trzymała kaganek, osłaniając go dłonią, a on rzucał na ściany migoczące cienie. Pośpiesznie zamykała za sobą drzwi, przyklękała zmęczona obok córki, mamrocząc coś o hańbie i honorze i przeklinając kobiety z wioski, na czele z Fattane i Soltaną, życząc im, by zapadły na choroby, na które nie znaleziono jeszcze lekarstwa. Jej piękna twarz lśniła oleistością zdrowej skóry, oczy błyszczały spod wyskubanych brwi, a jej równe zęby zgrzytały gniewnie.

Najpierw upewniała się, czy mała Nazi śpi, a potem ściągała z Flory koc, podwijając jej sukienkę, rozwiązywała tasiemkę od płóciennych spodni i zdejmowała je jednym pociągnięciem. Tak jakby Flora była niemowlęciem, które

zrobiło kupę, a matka chciała ją umyć i przewinać. Pod cieniutkim baldachimem moskitiery Nazi widziała palce ciotki zwinnie odkrywające długie nogi Flory, lśniące bielą w ciemności. Miriam-chanum rozsuwała ciężkie uda, odsłaniając czarny wełniany gąszcz łona, a Flora chichotała przez sen.

Miriam-chanum nie przestawała mówić ochryłym głosem do swojego zmarłego ojca i przeklinać go za to, że wydał ją za męża wbrew jej woli, opowiadała mu o hańbie, jaką przynosi im Flora, która żywi się u innych ludzi, tak jakby w domu nie było wystarczająco dużo jedzenia, a potem znowu przeklinała kobiety z zaułka, ażeby ich wątroby stanęły w płomieniach. Na kamiennej ścianie płały niespokojnie wydłużone ciemne cienie. Rozmawiając z duchem ojca, Miriam-chanum wpychała dwa palce w łono córki i wywracała oczy do sufitu.

Przez przejrzystą biel falującej moskitiery Nazi widziała ciotkę, której twarz przybierała wyraz uwagi i skupienia, jak u kogoś, kto słucha odległej melodii fletu, i której ręce wetknięte były w jamę między nogami jej córki. Wosk kapał z glinianego świecznika i spływał na podłogę, płomień drgał na suficie, a komary latały wokół niego jak oszalałe. Flora śmiała się po cichu przez sen z rozkoszy i zażenowania, a wtedy matka uderzała ją w policzek i mocno szczypała w miękki tłuszcz na udzie. Po chwili śmiech stawał się kwileniem.

Miriam-chanum wciąż wierciła we wnętrzu półprzytomnej córki, szukając tam złota. Kiedy je napotykała, nieruchomiała na chwilę, a twarz jej łagodniała. Dopiero wtedy wyjmowała wilgotne palce z ciężkiego ciała córki. Zadowolona, że znalazła honor rodziny, badała teraz uważnie piersi i olbrzymie uda Flory, szukając śladów po ugryzieniach i pocałunkach. Na koniec ubierała ją ponownie, okrywała kocem i szła spać u boku męża.

Nie tylko Miriam-chanum bała się zimowego wiatru podwiewającego sukienki Flory i miodowego letniego potu przyklejającego strój do jej piersi i dużymi plamami uwidaczniającego sutki. Również sąsiadki, u których na poduszkach wylegiwała się Flora, rozkładając swoje delikatne włosy na muślinowych zdobieniach, bały się ogromnego ciała młodej dziewczyny. Gdy ich mężowie wracali pod wieczór do domu, melodyjny śmiech Flory tracił nagle swój urok i gospodynie ponaglały ją do wyjścia, przysięgając, że słyszały zbliżające się szczekanie białego psa myśliwskiego Musy. Wszystkie zachowywały czujność, nauczone gorzkim doświadczeniem brzydkiej Nosrat, która nie ukryła przed mężowskimi oczami ciała Flory, aż proszącego się o wyswobodzenie z ubrań, i od tamtego czasu nie było już pokoju w jej domu i miłości w sercu.

Nie przestrzegając zasad swatania, brzydka Nosrat poślubiła przystojnego i wysokiego jegomościa z bujnymi wąsami i okularami na nosie. Jak wszystkie brzydkie kobiety, które żywiły wstręt do szkaradnych jak ich ojcowie mężczyzn

i którym udało się znaleźć przystojnego męża z gęstym zarostem, również przeznaczeniem Nosrat było życie w strachu. Ale Bóg, który poorał licznymi bruzdami jej twarz, dał jej również rozum mężczyzny.

Co noc Nosrat czekała, aż małżonek zacznie chrapać, wychodziła z łóżka i szła do studni. Ukrywała tam słoik świeżego koziego masła. Aby chronić płomień miłości męża, Nosrat smarowała cienką warstwą szkła jego okularów, wracała do pokoju i kładła je u wezłowia łóżka. O świcie mężczyzna wkładał okulary i twarz żony wydawała mu się przyjemna. Skóra jej jaśniała i lśniła jak we śnie, bruzd jakby nie było, a nos zdawał się krótszy. Wieczorem, gdy masło się stopiło w słońcu, jej brzydotę otulała ciemność.

Pewnej nocy Nosrat zasnęła, nie dokonawszy swojego maślanego rytuału. We śnie zeszała na czarne dno morza i zobaczyła obce kobiety o niebieskich twarzach, pocierające nagimi pierściami o szorstką rafę koralową i trzepoczące rybimi ogonami. Obudziła się jak z koszmaru, pobiegła do studni i z pośpiechu wypadły jej z rąk okulary, rozbijając się o kamienny chodnik. Rankiem, kiedy wracała od szklarza do męża, czekającego w domu na okulary, przypomniała sobie, że obiecała Florze, że jeśli ją odwiedzi tego dnia, upiecze jej sezamowe ciasto z orzechami.

Gdy Flora pojawiła się u Nosrat, miała już trzynaście lat, była obdarzona hojnymi krągłościami, a związane włosy przypominały ogon jednego z rumaków szacha Mohammada Rezy Pahlawiego. Ubrana była w czerwoną sukienkę z wyhaftowanymi kwiatami wilczomlecza. Mąż Nosrat przyjął ją w drzwiach w naprawionych i czystych okularach na nosie. Wydała mu się sznurem czerwonych, ostrych jak ogień papryk. Palił go język i wyciągnął rękę, aby zerwać i spróbować jednej z nich. Od tamtego czasu Flora nie przychodziła więcej do Nosrat, a Nosrat przestała wciskać sobie kostki cukru w gęstwinę pod pachą i wkładać je mężowi do ust, aby słoność potu i słodycz cukru ślizgały mu się razem na języku.

^[4] Powszechnie używane przez muzułmanów określenie *maszallah* (arab. Jak Bóg zechce) służy wyrażeniu podziwu i uznania.

4.

Ugotowane ziarnka ciecierzycy, moczone w wodzie od poprzedniej nocy, już zmiękły i zrzuciły swoją przezroczystą skórkę, odsłaniając żółte twarze i spiczaste czubki przypominające czapki pajaców. Nazi biła je ciężkim tłuczkiem w kamiennym moździerz i przy każdym głuchym stuknięciu rozdrabniały się jeszcze bardziej, aż stały się miękką żółtą pastą. Potem rozgniotła kawałki kurczaka, które wcześniej porozdzierała palcami i ugotowała z suszonymi cytrynami. Miarowy łomot tłuczka w moździerz i uderzenia kamienia o kamień dyktowały stały rytm pieśni Flory i spowolniały myśli Nazi.

Dziewczynka otrząsnęła się, wsunęła pod garnek kilka kawałków suchego drewna, które zebrała rano, i dodała kości gotowanego kurczaka. Do tego dołożyła resztki zmiażdżonych oliwek i rozżarzony węgielek, który zręcznie wygrzebała gołą dłonią z pieca, nabrała w płuca powietrza i dmuchnęła w płomień.

– Nazi, ty głupolu. Czemu tak kopcisz? – Flora przestała śpiewać, bo dusił ją dym, i przetarła oczy piąstkami. – Nie widzisz, co robisz? Przez ciebie płaczę. Nie dość płaczę i bez tego?

Nazi nie odpowiedziała, a jej zaczerwienione oczy zwęziły się od piekącego dymu i zaczęły łzawić, gdy ogień się rozpałał. Płomyki tańczyły wśród łez, lecz ona zasłoniła je brudnymi rękami, po czym powoli przysunęła wyprostowane i złączone palce z obgryzionymi paznokciami do żywych i drażniących języków paleniska. Przez szpary między palcami prześwitywało migoczące światło. Wstrzymała oddech, dopóki ogień nie zaczął podpiekać jej opuszków. Flora, kaszląc, nie spuszczała wzroku z Nazi i wydała z siebie krótki okrzyk, gdy ta wyciągnęła dłonie z ognia i pospiesznie włożyła przypieczone palce do ust, ssąc je jak dziecko, a resztki ciecierzycy pod paznokciami rozpuszczały się jej w ustach.

– Ty głupolu – Flora zaśmiała się z przestraczem, a jej uśmiech był jak ciężka rozsuwająca się kurtyna. Również Nazi chichotała, stając na palcach i wyciągając się nad piecem, aby otworzyć jedyne małe okienko w gorącej kuchni. Przywarła do okopconej i pożółkłej od tłuszczu ściany, a jej spódnica podciągała się w ślad za ramionami, wznosząc się ponad chude, dziecięce łydki. Z zawiasów okiennych i z jej gardła wydobył się pomruk zmęczenia, po czym okno się otworzyło. Do kuchni wdarł się wieczorny chłodny podmuch wiatru wczesnej zimy i owionął Florę siedzącą na łabędziach. Również szum kołyszących się w zaułku migdałowców przenikał serca dziewcząt. Płomień zadrżał, a obłok gęstego dymu wzniosł się do nieba.

Zamknięta w pancerzu smutku Nazi nie wiedziała, skąd pojawia się na

ustach Flory gromki śmiech, nie rozumiała, jak to możliwe, że bita przez Musę po całym ciele, tak straszliwie, że cała wieś słyszała jej wrzaski i truchlała ze strachu, wciąż się śmiała, a jej ogromne oczy zwężyły się niczym oczy małej Chinki. Nawet zeszłego roku w przededniu święta Pesach, gdy Musa nie mógł już znieść jej radosnych parskań i wyciągnął skórzany pas z odświętnych spodni ojca, Flora nadal chichotała z przerażenia i chrumkała jak prosię. Diabły z Omridżanu zabawiały się rozsądkiem Musy, wywracając jego oczami oraz wydobywając z niego krzyki o hańbie i honorze. A pasek w jego ręku wystrzeliwał pod nogi siostry, jakby sam budził się do życia. Jedną ręką Flora trzymała poobijane stopy, a drugą zasłaniała usta, by stłumić nieokiełznany chichot i ochronić zęby przed wijącym się pasem.

Meble i inne domowe rzeczy wyrzucono na ulicę, aby je przewietrzyć, a Nazi krzątała się w kuchni, przyrządzając świąteczną ucztę. Przez cały ubiegły tydzień szorowała i pucowała dom, a domownicy jedli w ogrodzie, siedząc w kółku na dywanie w cieniu migdałowca. Po posiłku wchodzili ostrożnie do środka okręgu i starannie otrzepywali ubrania. Nazi prażyła właśnie orzechy laskowe, migdały i orzechy ziemne w piecu, wyciągając pestki z delikatnego i soczystego mięszu daktyli, gdy usłyszała znad obłąkanego mamrotu Mani dżun coraz donośniejszy charkoczący śmiech Flory i świst pasa chłuszczącego skórę. Wiedziona odgłosami dotarła do zamkniętego spichlerza. Próbowwała otworzyć drzwi, ale Musa opierał się o nie z całej siły, więc nakazała Miriam-chanum, by szybko sprowadziła Homeę i męża ze sklepu drobiowego, bo Musa morduje Florę.

Nazi łomotała pięściami w drzwi, wrzeszcząc, aby je otworzył.

– Na Boga, Musa, przestań, wpuść mnie!

– Ażebyś mi tu nie przychodziła, Nazi, odejdz stąd, nie przychodź mi tu! – jego głos drżał po drugiej stronie.

– Chodź, Nazi, proszę, chodź, on mnie morduje – śmiała się Flora.

Na dworze czekał myśliwski pies Musy, jakby i jego torturował diabeł, a drzwi w końcu poddały się pod naporem uderzeń Nazi. W szczelnie zamkniętym spichlerzu Miriam-chanum przetrzymywała posag Flory – pościel i prześcieradła w wiklinowych koszach, miedziane naczynia i kryształowe talerze na Pesach, zimowe i letnie ubrania – ale też suszoną żywność, prażone owoce i kiszzone warzywa, trunki w butelkach odzianych w słomiane plecionki i puszki pełne opium do palenia dla przyjemności i złagodzenia ciężkiego oddechu Musy, cierpiącego od dziecka na astmę. Flora była ściśnięta między drewnianą beczką z kiszoną kapustą a luźnym workiem do połowy wypełnionym brązową soczewicą. Podarła go paznokciami i soczewica rozsypała się po podłodze niczym robactwo, które rozeszło się po spichlerzu i podjadało pokarm. Stopy Flory związane rybacką siecią trzepotały jak nogi zbuntowanej kury i krwawiły. Aby zadać jej większy ból, Musa posypał je chropowatymi kryształkami soli. Flora była bliska omdlenia, a palce

brata wciąż więziły jej włosy.

– *Aundare*, litości, Musa, litości... – Nazi wepchnęła się małym ciałem pomiędzy Musę i Florę i objęła go obydwoma rękami. Głowę przyłożyła mu do brzucha, a jej nozdrza wypełnił smród mięsa z masarni. Zalana potem twarz Musy połyskiwała dziwnym światłem, a pryszcze płonęły mu na policzkach. Nad węglowymi zmrużonymi oczami jeszcze czarniejsze brwi łączyły się w jedną gęstą krzaczastą linię. Jego uszy i nozdrza czerwieniały jak nogi Flory, a na śliwkowej skórze szyi widniały świeże zadraśnięcia. Oddech miał płytki i donośny niczym warczenie jego psa, a z kącików szeroko rozwartych ust ciekła ślina.

– Teraz już się nie śmiejesz? Co? – wrzasnął Musa, odsunął się i poszedł w kąt spichlerza, odsłaniając wszystkie zęby. – Boże, dopomóż mi, *enszallah*, jeśli jutro nie wezmę cię do synagogi, gdy wszyscy przychodzą na modlitwę trzech świąt pielgrzymich. Złapię twoją prawą nogę i przywiążę ją do bramy synagogi, a później lewą, rozumiesz? – odwrócił się do rodziców i Sabii Mansur, którzy wpadli w popłochu do spichlerza, gdy w tym samym czasie myszy w popłochu czmychały na ulicę.

– I wszyscy mieszkańcy Omridżanu przybędą jutro rano z żonami i dziećmi i przejdą przez bramę synagogi, żeby zajrzeć do dziury mojej siostry i zobaczyć, że jest dziewicą. Dziewicą! Dziewicą! Żeby nie mówili o nas, że panny Ratorian latają po wsi jak wygłodniałe kocice, żeby nie mówili, rozumiesz? Nie będą gadać, że rozum Flory i jej dziura grają razem w tryktraka, tak? Przysięgam na to święto, że to zrobię, rozumiesz? Jestem kundlem, jeśli tak się nie stanie. Niech cię diabli wezmą...

Musa ucichł, gdy Nazi wróciła z miedzianą miseczką wody i garścią kwiatów jaśminu w ręku, łagodzącego kaszel i jego nadwerężone płuca. Mężczyzna otarł ślinę z kącików ust i wypił duszkiem zawartość naczynia. Wypląnęły mu świeże krople, ale z twarzy nie schodził grymas złości. Gdy się uspokoił, Nazi podała wodę pobladłej Miriam-chanum i jej mężowi, stojącemu bezradnie na progu spichlerza w wysoko podciągniętych spodniach i rzeźnickim fartuchu pobrudzonym krwią. Sabija Mansur skrzyżowała ramiona na piersiach i raz po raz potrząsała głową, mlaskając językiem.

Pies Musy przestał ujadać na dworze, a sąsiadki kłębiące się przy drzwiach wraz z dziećmi rozeszły się, aby opowiedzieć mieszkańcom wioski, co takiego wydarzyło się u Ratorianów. W ciszy, która zaległa w spichlerzu, słyhać było jedynie odgłos wysypującej się powoli z porwanego worka soczewicy i dochodzące z kosza wrzaski Mani dżun, która błagała Boga, aby zabrał ją wreszcie do siebie.

Podczas kolacji sederowej^[5], kiedy wszyscy okładali się szczypiorkiem i porem, śpiewając pieśń *Dajenu*^[6], Musa znowu stłukł Florę. Od silnych oparów piekły ją oczy i zaczęły łzawić, a Musa tryumfował. Ale następnego dnia rano nogi Flory nie rozstały się ani w bramie synagogi, ani w nocy podczas snu, bo od

wieczoru pesachowego aż do końca Święta Tygodni nie wychodziła z domu i nie widziała żadnego obcego człowieka. Gdy Miriam-chanum chciała iść na zakupy, jej mąż zostawiał sklep pod opieką Musy i sam spieszył do domu, aby pilnować córki. Wzywano również Homę do czuwania nad siostrą i kiedy matka wracała, zastawała je sprzeczące się jak w dzieciństwie, a na skórze Flory widniały czerwone ślady po uszczypnięciach. Dziewczyna nie chodziła sama nawet do wychodka, a Nazi, która miała jej towarzyszyć, podtrzymywała kuzynkę, kuśtykającą przy stawianiu stłuczonych stóp.

Sąsiadom, którzy pytali o Florę, Musa z ojcem mówili, że jest ciężko chora, ale nikt im nie wierzył, ponieważ Fattane i Soltana opowiadały o krzykach dochodzących ze spichlerza, a poza tym panny Ratorian słynęły z dobrego zdrowia. Kobiety ze wsi próbowały odwiedzić Florę. Przynosiły swojej młodej przyjaciółce ulubione ciasta i słodkości, pukały do drzwi żelazną kołatką w kształcie ryczącego lwa i zaglądały z zaciekawieniem i tęsknotą przez ramię Miriam-chanum, która tarasowała wejście własnym ciałem. Po ich odejściu opierała się plecami o drzwi i zaciskając mocno oczy, życzyła kobietom, by w najszcześniejszym dniu życia cierpiały na ból zębów.

Ostatecznie jednak wszyscy uwierzyli, że Flora jest chora, nawet Fattane i Soltana. Mówiono, że dziewczyna jest żółta i chuda niczym księżyc pod koniec miesiąca. Powiadano także, że ma zapalenie nerek, ponieważ matka, kocia fleja, zaniedbała dom i zdrowie dzieci, i taką to należałoby potraktować dymem z palonych kozich odchodów. Z kolei Fattane Delkaszt roznosiła plotki, jakoby Flora, którą dojrzała z dachu, miała czarną ospę. Podobno wargi jej wyschły, zrobiły się szorstkie, wyblakłe i nie mogła ich już rozdzielić, aby śmiać się jak kiedyś. Soltana dodawała, że okres u Flory pojawia się raz na trzy miesiące w postaci czarnych skrzepów i jest bardzo bolesny, a wszystkie kobiety uśmiechały się z zadowoleniem.

Nazi ponownie oprzytomniała i odkroiła kawałek z *dombe*, tłustego baraniego ogona, przechowywanego nad studnią, który handlarz owiec wyrwał znad tylnych nóg zwierzęcia. Kawałek sadła, dyndający jak wymiona, gdy owca szła za grającym fletem, odpadł bez sprzeciwu. Nazi roztopiła zjełczały tłuszcz w garnku, a jego ostry zapach rozniósł się po całym domu. Szalotki, smażone na skwierczącym tłuszczu, stawały się coraz bardziej szkliste. Nazi uformowała kulki z pasty z ciecierzycy i kurczaka, włożyła je do ryżu i nakryła pokrywką. I nim Musa z ojcem zamknęli sklep drobiowy i wrócili głodni do domu, aby sprawdzić, co Nazi upichciła z upierzonej kury, którą przesłali owiniętą w brązowy papier, ona zdążyła upiec już na odwróconej miedzianej patelni *lawasz*, płat cieniutkiego chleba. Ale gdy przewróciła ciasto, aby podpiec je z drugiej strony, Flora

wyciągnęła ją na dach, kuszący oko i ucho, by wdzierać się na sąsiedzkie podwórka, bo usłyszała dochodzący z daleka płacz kobiety przypominający lament konającego.

^[5] W judaizmie seder to tradycyjna wieczerza spożywana pierwszego dnia święta Pesach, w diasporze również drugiego.

^[6] *Dajenu* (hebr.) – Już by nam wystarczyło.

5.

Pomimo niskiego wzrostu i uporu Szahin Bozidozi nie był szczególnie utalentowanym kupcem bławatnym. Sztuki targowania nauczył się od ojca, którego nogi były jeszcze bardziej krępe. Gdy Szahin miał pięć lat, ojciec pchnął matkę do paszczy rozpalonego pieca. Odtąd syn towarzyszył mu w podróżach kupieckich i nauczył się, jak sprzedawać tanie lniane płótno w cenie jedwabiu.

W dniu śmierci matka Szahina z dłońmi oprószonymi mąką piekła chleb. Syn siedział z nią w kuchni, a ona podśpiewywała mu stare miłosne pieśni. Wróciwszy do domu, ojciec przystawił ucho do drzwi, by posłuchać jej śpiewu, i owładnęła nim zazdrość. Podejrzewając, że nuci tęskne pieśni, bo zakochała się w innym mężczyźnie, a może nawet go z nim zdradziła, wrzucił ją w sam środek płomieni, a Szahin został sierotą zgłodniałym chleba matki. Na grzbiecie skradzionego osła ojciec rozłożył wielki wór z arabskiego płótna z wyhaftowanymi sowami, które miały przynosić szczęście w interesach. Ojciec wysmarował twarz syna masą z awokado, aby jego młoda skóra nie spaliła się na słońcu podczas wyprawy, i obaj wyruszyli w drogę. Do wora z sowami przywiązali rolki tkaniny, na oslej szyi powiesili torbę z obrokiem, aby zwierzę mogło jeść, kiedy mu się zachce, i przez całą podróż torba i rulony tkaniny kołysały się na boki. Szahin szedł pierwszy, ciągnąc postronkiem z włókna palmowego osłą szyję, a owdowiały zielony na twarzy ojciec, marząc o hodowli jedwabników, którą chciał się zająć pewnego dnia, człapał za ogonem zwierzęcia z głową pełną motyli i pieniędzy.

Po śmierci ojca Szahin odziedziczył marzenie o jedwabnych motylach, skradzionego osła, kilka sztuczek kupieckich i hańbiące nazwisko Bozidozi, oznaczające złodzieja kóz. Pochował ojca w rodzinnym Babolu u boku matki, wsiadł na osła i rozpoczął wędrówkę po całym kraju, który kształtem przypominał przestraszonego kota z postawionymi uszami i wygiętym grzbietem. Pierwszego wieczoru podróży piętrzące się na niebie chmury były tak niskie, ciężkie i czarne, że Szahin myślał, iż zaraz runą na Persję i ją zmiażdżą. Ziemię od firmamentu oddzielała tylko cienka żółta smuga światła. Gdy pasek zniknął za chmurami, a niebo całkiem poczerniało i scaliło się z lądem, w ciemności zerwała się straszliwa burza. Donośne grzmoty biły w olbrzymie bębny, a diabelski biały piorun trafił w osli ogon. Prerażone zwierzę zaskowyczało, zrzucając Szahina i padając zwęglone u jego boku.

Szahin powstał, wytrzepał pelerynę z błota i ruszył w dalszą drogę do Teheranu pieszo, zalękniony jak ktoś, kogo klepnął po karku anioł śmierci, aby zaraz potem zniknął. Nożyce wsunął jak sztylet za pas, a w rękach niósł utyłane pyłem kolorowe rulony tkaniny, walcząc z silnym wiatrem, który smagał nimi jak chorągwiami.

W Teheranie Szahin ukradł nowego młodego osła, którego brzuch był biały tak samo jak białe łatki wokół oczu, aby ten padł zamiast niego podczas następnej burzy z piorunami. W drodze do Isfahanu, leżącego na pępku perskiego kota, Szahin zabrał ze sobą ucznia muzułmanina, kruchego młodzieńca o źrenicach małych niczym główki szpilek. W burzliwe noce, gdy przerażający srebrzysty piorun przeznaczony dla Szahina migotał nad jego głową, uczeń trzymał go za rękę i głaskał, a w upalne letnie noce jego mały wąsik łaskotał mistrza w szyję, gdy go całował.

Uczeń potrafił zaprowadzić Szahina do najzamożniejszych i najpróżniejszych szyitek w każdym mijanym mieście i w każdej wsi, za co Szahin hojnie go wynagradzał. Najpierw chłopak wskazywał na piękny kamienny dom, otoczony niskim murem zbudowanym z suszonych na słońcu cegieł i uśmiechał się. Obydwaj szukali dogodnego schronienia w pobliżu, zdejmowali ładunek z osła, rozkładając na ziemi haftowane sowy. Młodzieniec odkręcał mały kranik w samowarze z nalewką ze śliwek, nalewał jej sobie do szklanki i dmuchał, jakby studził gorącą herbatę. Gdy sączył trunek, Szahin palił opium w fajce z długim cybuchem. Po krótkim relaksie uczeń odwracał się do mistrza plecami, a twarzą na wschód, aby jego oczy otworzyły się wraz z pierwszymi promieniami dnia, i razem zasypiali, spleceni ze sobą.

Gdy słońce wschodziło i niebo nad Persją błękitniało, Szahin z uczniem patrzyli na wychodzących z domu na ulicę gospodarzy z synami. Kupiec wyglądał rozczochrane brwi poślinionym małym palcem, potem spluwał w prawo i lewo na szczęście i nakazywał uczniowi, aby złożył mu na ręce i wepchnął pod pachy rulony tkaniny. Następnie towarzysz miał zastukać za niego w drzwi kołatką i uciec.

Za każdym razem gdy Szahin stosował techniki kupieckie, których nauczył się od ojca, stawały mu w oczach łzy na myśl o szacunku, jakim darzył zmarłego. Słabe oko trzepotało mu jak motyl, a zdrowe na znak solidarności zezowało podekscytowane. Gdy stał na progu domu z uśmiechem błyszczącym niczym olej i z wilgotnymi, uczesаныmi brwiami, słyszał w duchu ryczący głos taty: „Robak zawsze tęskni do swojego kokonu, ty gamoniu!” Za jego życia ten tryumfalny okrzyk przypieczętowywał każdą udaną transakcję.

Podobnie jak ojciec, Szahin, obładowany kolorowymi tkaninami, był zapraszany do środka. Witła go mieszanina kwaśnych nocnych zapachów i jogurtu zjedzonego na śniadanie, unosząca się w pokojach i wydobywająca się z ust gospodyni. Szahin naśladował zamaszyste ojcowskie gesty i jego dreptaninę, gdy rozwijał tkaniny i rozkładał je na podłodze niczym szerokie i głębokie rzeki. I nim ziewająca pani domu zdążyła zaprotestować, cały pokój zalewały różnobarwne

materiały, a Szahin zaczynał snuć opowieści o wędrownkach po Chinach, skąd przywiózł kunsztowny towar. Gospodyni przenosiła się wraz z nim oczami wyobraźni w dalekie krainy, a falujące tkaniny wachlowały delikatnie i kusząco jej rozwichrzone włosy. Gdy w końcu wybierała materiał, który podobał jej się najbardziej, Szahin przypochlebiał się, stwierdzając, że odcień i tekstura tkaniny bardzo do niej pasują. Prawił jej rozliczne komplementy o urodzie i dobrym guście, nawet gdy miała skórę pomarszczoną, zielonkawą i oszpeconą bliznami po ospie. Dopiero wtedy rozpoczynała się pomiarka.

Taśmą z koziej skóry sprawdzał dokładnie wymiary gospodyni, skupiając się na obwodzie talii i biustu, a jego zezujące oko chciwie i nerwowo łypało na jej ciało. Niektóre kobiety poddawały mu się, już gdy mierzył ich krągłości, wychwalając duże piersi bądź przywierając do nich z tyłu, aby sprawdzić obwód ramienia, i ocierając członkiem o ciepły tyłek. Inne ulegały mu i jego sztucznemu jedwabowi dopiero wtedy, gdy ciął z niesłychaną finezją wybraną na nową sukienkę tkaninę i aby pokazać im, jak jest wytworna i miła w dotyku, przesuwiał nią po gładkiej szyi, przyciskał mocno do sutków, aż te twardniały, albo pocierał nią ze znanstwem między ich nogami.

Jeszcze jednej ważnej reguły nauczył go ojciec w młodości: nigdy nie wtykać robaka wiszącego mu między nogami w kokony obcych kobiet, aby nie wyskakiwały z nich gojskie motylki. Wierny przysiędze, którą dał tacie, Szahin zawsze miał pod ręką mały kwadratowy kawałek jedwabiu, aby zawinąć w niego nasienie i wytrzeć nim członek.

Po wszystkim Szahin zawiązywał z powrotem spodnie, zakładał pelerynę i zwijał tkaniny, pogniecione od kotłowania ciała i poplamione potem. Próżnej gospodyni zostawiał kawałek płótna, nie żądając za niego zapłaty, poklepując ją i wychwalając jej dorodne wdzięki. Zachwycona po dwakroć szczęściem, jakie ją spotkało, i pewna, że nigdy już nie ujrzy kupca z Babolu, który ją uwiódł, projektowała w myślach uszycie nowej sukienki z podarowanego jedwabiu. Dziękowała mu, życząc szerokiej drogi i zaopatrując w chleb i ciastka, ponagliła go, niemal wyganiając z domu, aby nie natknęły się na niego dzieci biegające golusieńkie na dworze.

Ale tego samego wieczora, kiedy wspomnienie ciała Szahina zdążyło się już zatrzeć w jej sercu, ten znów stukał żelazną kołatką do drzwi i pojawiał się na progu domu. Zezujące oko obracało się, a kupiecki uśmiech rozjaśniał mu twarz.

– Ach, dobry wieczór panu, *szab bechejr*, dobry wieczór pani... – mówił grzecznie, potulnie spuszczać oczy, aby umknąć przed spojrzeniami białej jak ściana kobiety i osłupiałego męża. – *Bebachszi*d, proszę mi wybaczyć, że nachodzę o tak późnej porze. Proszę pozwolić, że zapytam: czy pańska szanowna małżonka pokazała już panu tkaninę, którą wyciąłem jej dzisiaj rano? Czy spodobał się panu odcień i wyhaftowany wzór? Przepraszam uniżenie, ale czy nie miałby pan nic

przeciwno temu, żeby mi zapłacić? Jestem głodnym włóczęgą, nie miałem nic od wczoraj w ustach i chciałbym znowu wyruszyć w długą i znojną podróż.

I kiedy mąż wydierał się na żonę za trwonienie jego pieniędzy na stroje, kosmetyki i biżuterię, a ona przysięgała, że to ostatni raz, błagając ze łzami w oczach, aby zapłacił kupcowi żadaną wygórowaną sumę, byleby ten łajdak wyszedł z domu, Szahin opierał się o framugę drzwi, przerzucając z ręki do ręki jedwabny woreczek, w którym nasienie kupców bławatnych z Babolu już się zestaliło od rana. W końcu wracał do osła z trzykrotnie większą zapłatą, pobraną od męża gojki, a jego zmrużone oczy ponownie zachodziły łzami na myśl o uznaniu, jakie żywił dla zmarłego ojca, który wychowywał go sam od dzieciństwa, wskazując mu życiową drogę.

– Kokon zawsze tęskni do swojego robaka, ty gamoniu! – krzyczał tryumfalnie do ucznia i chłostał w zadek osła, aby się rozbudził i zaryczał.

Nie zawsze jednak kupiecka metoda taty zdawała egzamin. Niektóre kobiety wyganiały go z domu, wrzeszcząc i bijąc za zuchwałość jego palców. I były też dni swawoli, pod koniec których Szahin zostawał i bez tkaniny, i bez pieniędzy, a jedynie z woreczkiem z nasieniem, podrzucanym z jednej ręki do drugiej. A wszystkie członki jego małego ciała były poobijane i pokaleczone, bo zdarzyło mu się wylądować między nogami kobiety, której mąż był zazdrosnym krzepkim skąpcem.

W trzecim wiosennym miesiącu, na krótko przed Świętem Tygodni, Szahin przybył do Omridżanu, wioski u podnóża gór Elburs. Pieniądze, jakie uzyskał ze sprzedaży szkarłatnej tkaniny z książęcej peleryny, prawie się skończyły, a on był potłuczony po nieszczęśliwym wypadku, z którego powodu postanowił chwilowo porzucić ojcowskie dziedzictwo. Udało mu się uwieść siedemnastoletnią starą pannę za pomocą kawałka czerwonego jedwabiu, którym przewiązał jej nagie biodra, nakazując się kołysać. Śpiącego w sąsiednim pokoju ojca obudził nagle szelest sztucznej tkaniny, a gdy zobaczył nagą córkę kołyszącą biodrami i broczącą krwią między nogami, grzmocił Szahina nieprzerwanie przez długi czas, aż zaniepokojony uczeń wtargnął do domu i wyniósł mistrza na rękach na ulicę, ocalając mu życie. Kiedy Szahin wziął Florę Ratorian za żonę, złamaną prawą rękę nadal miał w gipsie, wysmarowaną żółtkiem i kuminem, a zdrowe oko wyglądało jak pomalowane proszkiem antymonowym. W noc poślubną Flora odkryła długoskrzydłego pasikonika wytatuowanego na jego kości ogonowej.

Szahin Bozidozi z uczniem wjechali na osłe przez Darwaze-je Mosztari, szeroką Bramę Kupców, znajdującą się w północnej części zębatego muru, przez którą wchodziły i wychodziły karawany z towarami. Opuścili Omridżan przez Południową Bramę, Darwaze-je Jahudan, w pobliżu zatłoczonej żydowskiej

dzielnicy Dżubare. Natomiast przez wschodnią Bramę Słoneczną co rano przedzierały się promienie zaglądalego do wioski słońca, a po jego zejściu wchodził przez nią księżyc.

Gdy wjeżdżali do wsi, Szahin trzymał za uszy osła, a uczeń przywierał do mistrza z tyłu, trzymając go za pas. Już gdy przekraczali Bramę Kupców, uderzył ich smród Omridżanu, oddech stał się płytszy, a na skutek zawrotów głowy stracili równowagę i spadli z rulonami tkaniny z zataczającego się niczym pijany osła. Ramię przy ramieniu stali w południowej części wioski i sikali do kanału u podnóża muru, do chłodnej i mętnej wody spływającej z ośnieżonych szczytów górskich. Przeniknęła ich słodka woń kwitnących migdałowców z gęstego zagajnika, który otaczał żydowską dzielnicę, oddzielając ją od innych dzielnic i uliczek wijących się pośród drzew. Zagajnik nie chronił mieszkańców tak dobrze jak warowny kamienny mur otaczający ormiańską dzielnicę, ale wiosną zapach rozkwitających kwiatów górował nad smrodami wsi i otulał Dżubare niczym obłok.

Flora i Szahin spotkali się owego poranka pełnego zawrotów i bólu głowy. Szahin, który postanowił tymczasowo porzucić metodę kupiecką ojca, planował pozbyć się reszty rulonów, korzystając z bardziej konwencjonalnych praktyk. Gdy zapukał do drzwi Ratorianów, nie splunawszy uprzednio na szczęście i nie zaczesawszy śliną brwi, matka Flory zaprosiła go do środka, aby pokazał jej materiały, ułożone na rękach w stertę, zza której wystawało jedynie jego czoło i rzadkie włosy. Pomimo iż mąż z synem zakazali wpuszczania kogokolwiek do domu, by oczy żadnego nieznanego nie spoczęły na ciele uwięzionej Flory, próżna Miriam-chanum nie mogła oprzeć się pokusie. Wychyliła pospiesznie głowę na ulicę, chcąc się upewnić, że donosiciele nie widzą, kogo wprowadza do środka, ale na dworze zobaczyła tylko skołowanego osła i ucznia, skąpanych w promieniach wiosennego słońca.

– Szybko, szybko, wchodzić szybko, *wawejła*, o rety, zanim przyjdzie mój mąż i cię tutaj zobaczy... – powiedziała i zamknęła za nim niziutkie drzwi.

Zataczając się, Szahin wkroczył powoli do domu, podrapał się w zagrzybione czoło piegowate od słońca i niepewnie uśmiechnął. Nie mógł uwierzyć, że sława jego miłosnych podbojów rozeszła się tak szybko, pokonywała z nim odległości, wędrując z wioski do wioski, a kobiety same czekały rano, gdy dom był do ich wyłącznej dyspozycji, ponagłując go, aby rozwiązał kolorowy pleciony sznurek w spodniach. Ale choć Szahin zawsze starał się stąpać ścieżką ojca, poprzysiągł sobie i uczniowi, że przez jakiś czas zachowa powściągliwość, przynajmniej dopóki nie zrosną mu się kości i nie zbledną siniaki.

– Ale proszę pani, ja już nie prowadzę w ten sposób interesów... nie, nie, *na, na*. Chce pani kupić, niech pani kupuje... Ja... – powiedział i dotknął ze smutkiem złamanej ręki na wspomnienie bólu, jaki przyniósł mu jego fach. Poczuł ulgę, gdy dotarło do niego, że Miriam-chanum nie słyszała o jego transakcjach pakietowych,

choć duma przebudzonych lędźwi nieco ucierpiała. Nie znając zwyczajowych kupieckich metod i nie wiedząc, co robić bez opowieści o wyprawach i bez działalności jego sprytnych palców, stał na dywanie z Kaszanu zadumany i niepewny jak nowicjusz. Miriam-chanum, obawiając się, że mąż bądź syn przyjdą niespodzianie do domu i narobią hałasu z powodu złamania zasad, rozkazała mu rozłożyć tkaniny, a on wykonywał polecenia posłusznie i w milczeniu.

W czasie, gdy głaskała pożądliwie płótna i muskała nimi policzki, Szahin stał w kącie pokoju i czując zapach pikantnych smażonych w kuchni papryk z siekaną cebulą, przyprawioną kuminem i kurkumą, spoglądał na pomarszczoną Mani dzun, skuloną w koszu, uśmiechającą się do niego przez sen jak bezzębne szczenię. Z wolna docierało do niego, że w domu jest więcej niż jedna kobieta, która pragnie nowej sukni na lato, i więcej niż jedno danie na obiad.

Kiedy Miriam-chanum nakazała mu wykroić kawałek z wybranej przez nią tkaniny – szarej z wplecionymi srebrnymi gruszkami, Szahin pohamował się i nie owinął jej, jak miał w zwyczaju, na głęboko wyciętym dekolcie kobiety. Do jego nozdrzy dotarł zapach rzecznych ryb pieczonych na rozżarzonych węglach. Gdy zobaczył dziewczynkę z nożem w ręku, udającą się do ogrodu po warzywa, domyślił się, że będzie też sałatka z ogórków, kapusty i rzodkiewek oraz sterta świeżych liści bazylii na przekąskę. A gdy Nazi wróciła z ogrodu z białą główką kapusty, nie mogła się zdecydować, czy wybrać kwiecisty czy gładki aksamit, więc zawołała na pomoc Florę. Ta wyłoniła się z ciemnego pokoju, zarumieniona od snu i śmiejąca się na widok nieznanego w ich domu. Wtedy Szahin zrozumiał, że jest też deser, i to słodki.

6.

Aby upewnić się, że szczęśliwie wyswatano córkę, Miriam-chanum wraz z mężem udała się do wróżbity Azizollaha, który był też wielkim znawcą sztuk magicznych. Początkowo kobieta myślała, że poradzi sobie sama, ponieważ wierzyła, że ma wrodzony dar do interpretowania snów. Napisała zaklęcie derwiszowe i usiadła na rogu uliczki prowadzącej do łaźni, aby słuchać, co powiedzą przechodzący tamtędy ludzie. Gdyby mówili o swoich dzieciach, rybach, które zamierzali kupić na targu, bądź o nadchodzącym upalnym lecie – znak, że dobrze wyswatali córkę i Miriam-chanum obeszlaby się bez wróżb Azizollaha. Przechodnie jednak rozmawiali o śmierci bliskich, biedzie i chorobach, więc zdjęta grozą matka, przekonana o nieszczęściu, które czeka Florę, pospieszyła z mężem do wróżbiarza.

Mężczyzna siedział po turecku na dywanie, szepcząc z zamkniętymi oczami modlitwę. Fioletowymi od wystających żył rękoma zaprosił gości, aby weszli do środka i usiedli przed nim. Przesunął opuszkami palców prawej dłoni po brzegu zamkniętej Księgi Przepowiedni, macając ją z góry na dół jak niewidomy, i nagle otworzył na proroczej stronie, która miała wyjawić losy wyswatanej pary. Następnie otworzył oczy i zagłębił się w tekście, a jego oblicze spochmurniało. Przez dłuższy czas milczał, brwi ułożyły mu się w łuk, jak gdyby przed oczami roztoczyła mu się czarna przyszłość, a fioletowe żyły na rękach stały się niebieskie. Miriam-chanum zaczęła przeklinać po kolei wszystkich wrogów, ażeby trzęsienie ziemi pochłonęło ich domy, aż raptem twarz Azizollaha się rozjaśniła. Odkrył, że trzymał Księgę Przepowiedni do góry nogami.

Odwróciwszy ją, przekartkował siedem stron do przodu, siedem do tyłu i tym razem przeczytał tekst jak należy, spiesząc się, by rozwiać wszystkie wątpliwości i obawy Miriam-chanum. W zamian za trzy monety obwieścił, że Florę i Szahina czeka świetlana przyszłość, wieńcząc wypowiedź zwyczajową sentencją:

– Przyjdzie dziesięciu panów młodych, dziesięciu panów młodych będzie spoglądać na pannę przez okno, ale tylko jeden pan młody wejdzie i zabierze ją w końcu do swojego domu...

Narzeczeni spędzili trzy ostatnie dni przed ślubem na słońcu, on z zamkniętymi oczami, ona myjąc mu włosy naftą, wypędzając setki rojących się wszy. Gdy włosy były już wypłukane i wysuszone, Szahin ułożył tyłek na poduszce z wyhaftowanymi łabędziami, głowę między nogami przyszłej żony, a Flora wyskubywała wszy jedna za drugą, zaciskając zęby z wysiłku i przebierając delikatnie palcami we włosach. Odurzone naftą owady roztrzaskiwała w paznokciach i rozlegał się śmiercionośny chrzęst. Szahin, oddający się bez reszty

słońcu i pieszczotom palców głaszczących mu głowę, przysypiał raz po raz między miękkimi udami. Pozbył się też pasożytów jelitowych po wetknięciu gruboziarnistej soli i pestek dyni do odbytu. Długie białe robaki wypełzły na zewnątrz wraz z kałem.

Homa umyła włosy Florze naparem z kwiatów rumianku, aby nadać blask jej lokom. Wybieliła żółte zęby, nacierając je z góry na dół zieloną skorupką pekana, aż Florze zaczęły krwawić dziąsła. Na koniec pomalowała powieki niebieską henną, dodając psotnym oczom siostry wyrazu niebieskawej złośliwości, a swoje poszerzyła, upodabniając je do oczu diabła.

Wiejska depilatorka wysmarowała skórę Flory cienką warstwą stopionego cukru, usunęła włosy z nóg i te spod pach, które urosły i zeszywniały pod ubraniem, oraz gęste czarne owłosienie łonowe, sięgające tylnej części ud pokrytej złogami tłuszczu i wspinające się równomiernie i uparcie do tyłka. Choć depilatorka słynęła z delikatnych i zręcznych palców, Flora wrzeszczała z bólu. Wściekła, że rozpieszczona córka Miriam-chanum zniesławia jej dobre imię krzykami, zadawała jej ból celowo, rozdzierając skórę, a wrzaski stawały się jeszcze donośniejsze.

Kobieta wyskubywała małymi żelaznymi szczypcami delikatne włoski, wijące się po kręgosłupie ku kości ogonowej, rozgałęziające w przeciwnych kierunkach na lędźwiach i otulające miękkim futerkiem krągłości. Gdy zaczęła wrywać pasmo meszku między piersiami, zsuwające się jak puchaty ogon na słodki dziecięcy brzusek, Flora zaskowyczała niczym torturowany jeniec. Wszystkie mieszkanki wsi dopingowały ją głośno, dodając odwagi. Wiwaty stały się jeszcze donośniejsze, gdy depilatorka zanurzyła bawełniane nitki w stopionym cukrze, owinęła je wokół kciuków i wskazujących palców obu dłoni i pocierała nimi z góry na dół, aby usunąć wąsik dziewczęcia i delikatny puch, który wyrósł za uszami.

Flora widziała wybałuszone od wielkiego wysiłku oczy kobiety, starającej się nie zostawić na skórze ani jednego pojedynczego włoska. Z odległości, jaka dzieli kochanków przy pocałunku, uważnie oglądała jej ściągające się i zaokrąglające usta oraz łączące się w wianuszek nad górną wargą zmarszczki starości, złości i skupienia. Rozdrażniona niewiasta przyłączyła się do śpiewu pozostałych, a Flora czuła jej nieświeży oddech i zdumiewała się, że pomimo wykonywanego fachu twarz depilatorki pokryta była grubą szczeciną jak u mężczyzny – pod nosem, na policzkach, a nawet na jej czarnym czole. Kiwała głową do przodu i do tyłu, niczym drepczące w zaułku ptaki, a jej zwiotczałe mięśnie ramion kołysały się jak korale na szyi indyka. A kiedy Flora wetknęła nos między piersi kobiety, spostrzegła ukryty pod pachą gąszcz czarnych kręconych włosów.

– A co ty poczniesz, Flora, jak przyjdzie ci rodzić dzieci? Jak ty się będziesz

darła, gdy będziesz rodzić dzieci – wycedziła depilatorka, wrywając, ciągnąc, zadając ból i przytrzymując nogi klientki kolanami, aby się nie ruszała i nie uciekła.

Twarz Flory czerwieniała i płonęła. Dziewczyna nie mogła już znieść bólu i nie pozwoliła wyskubać sobie puszkę, który wyrósł za drugim uchem. W przeddzień ślubu tylko jeden policzek był gładki i czerwony, a drugi pozostał włochaty jak w czasach panieństwa i wszystkie kobiety we wsi przyznawały: „Piękna jak matka i tak samo leniwa”. Ale dopiero gdy dała sobie wyrwać zbędne włoski z brwi i wokół purpurowych sutków, depilatorka zgodziła się nałożyć czerwoną hennę, na którą Flora tak czekała. Kobieta rozsmarowała starannie rozcieńczony proszek, który stał się gęstą mazią o ostrym jak pot zapachu, na dłoniach, szyi i między palcami u stóp dziewczyny. W lustrze, które jej podano, Flora zobaczyła pomarańczowe plamki rozkwitające na czerwonej skórze i wydały jej się bardzo piękne.

Ślub odbył się w domu rodziców Flory siedem tygodni po święcie Pesach. Na wieży wioskowego muru dzwoniły głośno dzwony, a na ogrodzeniu domu płonęły pochodnie, wabiące gości i ćmy. *Ketuba*, kontrakt małżeński, została przystrojona wizerunkami pawi i fikcyjnych ptaków o dziwacznych skrzydłach i barwach, nigdy niewidzianych w wiosce. Rabi mułła Netanel, który był również swatem i skrybą, spisał ją na czerwono i srebrno na pergaminie i obramował złoconymi zakrętami.

Wszyscy mieszkańcy wsi przybyli gromadnie, aby ujrzeć wreszcie pannę młodą, śmieszkę, w butach na płaskim obcasie, by nie zawstydzić niskiego męża, i w falującej sukience uszytej z ogromnej ilości białego materiału. Szahin opowiedział jej, że to wyjątkowo drogocenna i wytworna tkanina, którą sam sprowadził z gór Atlas w Maroku, narażając się na wielkie niebezpieczeństwo. W nosie miała ślubny kolczyk, błyszczące złote kółko. Słyszając drwiące przyspiewki dzieci o słodkich twarzach i gładkiej skórze, które wymknęły się z łóżek, uciszyła je, pokazując im język.

Gdy muzykanci grający na tarze i kamanczy zajęli swoje miejsca na tarasie wychodzącym na ogród i rozgrzali na ogniu skóry na bębnach, dostali pierwszy kieliszek araku, nalany z brzuchatej butelki z wąską szyjką, w której znajdował się żółty, duży jak serce człowieka, cytron. Już kiedy był pączkiem na gałęzi na podwórzu, nie większym od oka ryby, wsunięto na niego ostrożnie życiodajną butelkę. Butelka została przywiązana do gałęzi i cytron dojrzewał w spirytusie, który chronił go przed gniciem. Ojciec Flory uniósł wysoko arak i rozlał go do miedzianych kielichów, wytwarzając obfitą pianę, świadczącą o dobrej jakości trunku. Podał je muzykantom, a jeden zostawił sobie. Zanim wstali i opróżnili puchary, przypatrywali się uwięzionemu cytronowi z szeroko otwartymi oczami, bo wiadomo, że ktokolwiek będzie nań patrzył, nie stanie się ociemniały na starość.

Brzdąkali na strunach taru cienkim piórem, wydobywając delikatne dźwięki i akompaniując głosowi Mahtab-chanum, śpiewaczki wiejskiej, teściowej Homy. Pod koniec wieczoru grajkowie byli kompletnie pijani, wywracali oczami, Mahtab-chanum ochrypla, a wąs ojca Flory wywijał się jeszcze bardziej od rozlicznych uśmiechów.

Gdy Flora tańczyła z Szahinem w środku koła biesiadników, wszyscy bili jej brawo i brzęczały dzwonki przyczepione do łańcuszka na jej kostce. Spleciona palcami z Szahinem, przyciągała go do siebie i odpychała, przysuwała i odciągała, czekoladowa kropla na szyi drżała, a jej oczy błyszczały ze szczęścia i śmiechu. W ustach Szahin trzymał nóżkę kieliszka wypełnionego winem, a w rękach duże kawałki cukru, którymi pocierał o siebie, jak gdyby chciał wykrzesać iskry z krzemieni. Bryłki cukru chrzęściły rytmicznie, a drobinki spadały na głowę Flory, bieląc jej włosy i osładzając życie.

O sukience Miriam-chanum zazdrośni goście powiadali, że została sprowadzona z Heratu w Afganistanie i wybrano ją po dogłębnym namyśle. Mówili, że pan młody z Babolu zamknął się na cały dzień w jednym pokoju z kocią fleją, rozwijając przed nią wszystkie rulony jedwabiu, jakie miał, aż wybredna niewiasta zdecydowała się na jeden z nich. Opowiadali też, że sam dokonał pomiarów i wykroił materiał. Mąż Miriam-chanum, syn i zięć ubrani byli w jedwabne kaftany i nowe lakierki, będące prezentami od pana młodego, który nie miał rodziny, a którego gośćmi był jedynie osioł i wędrowny uczeń.

Flora rzucała na wszystkie strony uśmiechy, jak gdyby rozsypywała ziarna ptakom, zataczając ręką koła. Panny ze wsi, których zamążpójście się opóźniało, tłoczyły się razem na stronie, czerpiąc pocieszenie ze wspólnego nieszczęsnego losu i przeszywając ostrym spojrzeniem zęby i oczy Flory. Aby ochronić ją i całą rodzinę przed zawistnicami, Miriam-chanum krzyczała podczas posiłku:

– Nóż! Igła! Szpilka! Igła! Szpilka! – ażeby jej krzyki wykłuły oczy wszystkim, którzy zazdroszczą szczęścia i chcą je zniszczyć.

Nawet Musa, przypisujący sobie wielką wnikliwość, stwierdził tamtego wieczoru, że Szahin jest uczciwym, lojalnym mężczyzną i będzie dobrym mężem dla jego siostry. Ze skulonymi ramionami i spuszczone w zakłopotaniu rękami schowanymi w rękawach jedwabnego kaftana wyglądał jak ktoś, kto nie znajduje odpowiedzi na zadawane sobie pytanie.

Również osioł Szahina został przystrojony jedwabnymi wstążkami i kwiatami, a uczeń podawał gościom *aszreszte*, gęstą zupę z makaronem, ziołami, soczewicą i szafranem, przygotowywaną na szczególne okazje. Nazi przyrządziła ją na weselną ucztę, przygotowując szczyptą soli i wieloma liśćmi kopru. Co ciekawe, wieść niesie, że właśnie takie proporcje przypraw stosował szach Mohammad Reza Pahlawi. Ale choć gotowała danie bardzo starannie razem z Sabiją Mansur, z jakiegoś powodu wyszło ono zbyt wodniste i brakowało mu

słynnej gęstości. Biesiadnicy kręcili nosem i przykładając usta do uszu sąsiada, szeptali, że Nazi zepsuła potrawę, zbyt często ją mieszając. Być może pamiętała o przesądzie mówiącym, że kobietę, która będzie mieszać *aszreszte*, czeka szybkie zamążpójście.

Pewnego dnia podczas ślubnych przygotowań, gdy uczeń zobaczył Nazi wyszeptującą pragnienia serca nad parującym garnkiem, ośmielił się poprosić Miriam-chanum i jej męża o rękę dziewczynki. Oznajmił im, że potrawy Nazi zdobyły jego serce, ale w rzeczywistości ciężko mu było rozstać się z mistrzem Szahinem.

– Urządzimy wielką i podwójną uroczystość, dwie piękne panny młode i dwóch szanowanych panów młodych – powiedział, a jego małe jak główki szpilek źrenice zaiskrzyły. Miriam-chanum prychnęła mu pogardliwie w twarz, jej mąż wyjaśnił, że Nazi jest obiecana od dzieciństwa Musie, a Musa chwycił go za kołnierz, popchnął do ściany, spoliczkował, grożąc, że zabije go na wiele osobliwych sposobów, i puścił dopiero, ulegając błaganiom Nazi.

Zanim podano talerze z bobem, sygnalizującym koniec uroczystości oraz zwiększającym ilość wydzielin ciała – również tych mężczyzny i kobiety biorących udział w poczęciu – poczęstowano gości orzechowymi ciastkami z cynamonem oraz obranymi jabłkami, aby pomóc w wytrzeźwieniu wszystkim pijanym. Gdy jedzono owoce, gawędziarz Omridżanu opowiadał bajki, które wymyślił o młodej parze, i legendy o mieszkańcach Babolu, znanych z wielkiego tchórzostwa.

– W urodziny naszego wspaniałego szacha – zaczął podchmielonym, słodkim i nieco świszczącym głosem, ściągając usta, jak mają to w zwyczaju gawędziarze – odbył się w pałacu turniej oceniający odwagę i bohaterstwo. Każdy okręg naszego ukochanego kraju wysłał do Teheranu delegata o muskularnym ciele i zuchwałej duszy i wszyscy oni zebrali się na placu przed pałacowym balkonem. Na znak naszego najdroższego władcy zagrzmiały armaty i odezwały się wszystkie wojenne trąby. Przerażeni widzowie i zawodnicy uciekali gdzie pieprz rośnie, żeby ocalić skórę. Na środku placu zostało tylko dwóch mężczyzn – wysłannik Babolu oraz wysłannik Jazdu. Ale gdy podeszli do nich szachowscy słudzy, aby wręczyć im medale za odwagę i bohaterstwo, wybuchli śmiechem, bo odkryli, że reprezentant Babolu posikał się z przerażenia w spodnie, a ten Jazdu ze strachu się zesrał. Wstyd, który ich ogarnął, był większy nawet od trwogi i bali się ruszyć z miejsca i uciec...

Goście zanosili się od śmiechu, a Szahin wbijał wzrok w czubki butów. Ręka mu już prawie wyzdrowiała, miał na sobie jasnoniebieski kaftan z żółtym szerokim pasem, a głowę przyozdobił zielonym filcowym kapeluszem nałożonym na podłużną jarmułkę. Unosiła się od niego woń mydła i perfum, ale zapach nafty

bijący z włosów był o wiele silniejszy. Dlatego idący złożyć mu życzenia goście, odepchnięci przykrą wonią, porzucali swój zamiar, kierując ostatecznie kroki do panny młodej.

W pierwszych dniach pożycia małżeńskiego Szahin nadal wyciągał członek spomiędzy nóg Flory, a ten wymykał mu się tęsknie ku jedwabnym woreczkom. Ale kiedy jego ręka wyzdrowiała całkowicie, kupiec bławatny zabrał Florę w dziesięciodniową podróż poślubną do miasta Babolsar, przywykł do nowego stanu i zapłodnił żonę.

Pewnej nocy podczas rzadkiego zaćmienia Księżyca Miriam-chanum uświadomiła sobie, że zapomniała ostrzec córkę, aby nie zachodziła wtedy w ciążę. Dziewczyna, która staje się *kuczek-madar* w tę przeklętą noc, jest skazana na zgubę. Flora, jak wszystkie inne panny w tym wieku, słyszała o zakazie, ale matka bardzo martwiła się jej beztroską naturą, ulegającą każdej pokusie. Tej samej nocy Miriam-chanum zwróciła się o pomoc do diabłów, a one życzliwie przyjęły wołanie i postanowiły wysłuchać jej prośb. Pomimo tego nazajutrz przepelniał ją niepokój, wywracając wnętrzności. Wymiotowała tego dnia z mozołem trzy razy po posiłku, próbując wyrzucić z siebie złe przecucie i broń Boże nie pozwolić mu stać się rzeczywistością. Ale na wszelki wypadek przeklinała też Szatana i jego upadłe anioły, ażeby ogłuchły, oślepyły i nie mogły usłyszeć i zobaczyć, kiedy zdarzy się nieszczęście. Mąż śmiał się z jej łatwowierności, że wierzy w boga słońca i boga księżyca jak przekłęci zaratusztrianie. Ale kiedy młoda para wróciła z podróży poślubnej, a Flora, jak zawsze, chrumkając, śmiała się z najmniejszego głupstwa, Miriam-chanum uspokoiła się i zapomniała o swoich obawach i szyderstwach męża.

W poranek odjazdu Szahina Bozidozi z Omridżanu na jasnym niebie nie było ani jednej niepokojącej chmurki. Kupiec załadował na wór z sowami resztkę rulonów z tkaninami, jaka mu została po przyodzianiu całej rodziny Ratorianów na ślub, a Flora wyszła z nim do zaułka, by odprowadzić go do Południowej Bramy. Tam zerwała z oślich uszu ostatnie wstążki i nakarmiła zwierzę rodzynekami i orzechami, aby wzmocnił się i szybko przyprowadził z powrotem swojego pana. Szahin obiecał, że wróci za dwa, najwyżej trzy miesiące, i pocałował Florę w czarne włosy na czubku głowy. Ona przygarnęła go mocno do serca, obejmując wielkimi rękami głowę, a on trzymał poły jej sukni, macając ze znanostwem materiał.

Żona wydawała mu się piękna jak niebieskie kwiaty lnu, z których łodyg powstały jego tkaniny. Woń jej skóry wypełniła mu nozdrza. Dziewczyna podrapała się po głowie i z jednej z gnid, które zostawił jej na włosach, wylęgła się wesz. Matka, ojciec, Musa i Nazi przypatrywali się temu ze swojego okna, Homa

z mężem ze swojego. Także siostry Fattane i Soltana przesywały parę złymi spojrzzeniami, opierając się na parapecie. Również handlarze w zaułku i inni sąsiedzi wlepiali oczy w nowożeńców. Szahin w pasiastej pelerynie trzepoczącej na wietrze kazał uczniowi skończyć przeżuwać orzechy, które Flora podarowała osłu, i żegnał się ze wszystkimi dokoła, gestykulując przy tym zamazyście.

Chwilę zanim uderzył batem osła, kierując go ku Bramie Żydów, Flora przypomniała sobie o czymś i czknęła w popłochu. Wyjęła pośpiesznie zawiniątko z jedwabnymi chusteczkami, starannie złożonymi i pachnącymi wodą różaną, o których wykrojenie poprosił ją mąż. Szahin zmarszczył wysokie czoło i zwinnie niczym złodziej wyrwał prezent, wciskając go do worka z sowami. Objął żonę i powiedział, wędrując zezującym okiem ponad jej ramiona ku zaśnieżonym szczytom:

– Jesteś dobrą kobietą, Floro. Kiedy tylko będę ich używać, pomyślę o tobie, *azizam*.

Szahin nie pojawił się już jednak w Omridżanie. Nie powrócił, aby zobaczyć grubiejące nogi Flory, coraz bardziej nabrzmiałe żyły na udach i fioletowe naczynka wijące się na łydkach niczym węże i pękające niczym bańki. Również jej powieki spuchły i zrobiły się ciężkie od ciągłego płaczu. Wyrzyła sobie żałobne rysy na policzkach, a włosy wypadały jej pękami, aż straciły słynną gęstość. Nie pomagał już nawet złoty pyłek rumiankowy, przetrzymywany dla niej przez Homeę w słoiku z zakręcaną pokrywką, którego zimny dotyk przyprawiał jej skórę o dreszcze.

Co rano Flora rozbijała obsikane jajko w zagajniku pod migdałowcem, skorupka rozpadała się, a śliskie żółtko drżało w promieniach wschodzącego słońca. Wioskowe muchy ciągnęły do mieszaniny nieprzyjemnych woni drzewa, a ptaki trzymały się od niej z daleka. Flora z żalem zaniechała jedzenia słodkich migdałów, bo ich smak budził nienarodzone dziecko, a jego radosne wierzgania przypominały tylko, że mąż zniknął i nie ma mężczyzny, który by przyłożył kochające ucho do jej brzucha.

Dni piętrzyły się jeden na drugim jak materace rankiem w pokoju gościnnym, a w sercu Flory została pustka. Przestała pudrować twarz z nadzieją, że mąż pojawi się nagle na osle w jednej z wiejskich bram, i zaczęła o nim mówić bez entuzjazmu, tak jak się mówi o zmarłym, naśladowując sposób mówienia starych ciotek z rodziny Ratorianów. Tak jak one wzdychała często, kiwała głową z rezygnacją i brała głębokie oddechy, jakby afiszując się przedwczesną starością. Wdychany przez nią dym z palonych pączków ruty stepowej potęgował ziewanie, tak że stawała się ospała jak nigdy wcześniej. Wstawała z łóżka jedynie na czas posiłków, aby płakać i odśpiewać swoją pieśń.

7.

Odwrócona miedziana patelnia już się rozgrzała i cienkie niebieskawe smugi dymu unosiły się znad palącego się tłuszczu. Pochylona Nazi kołysała się na boki i rozwałkowywała ciasto długim kijem na posypanej mąką podłodze, aż stało się cienkie i przezroczyste jak ludzka skóra, a następnie zręcznie rzuciła je na rozżarzoną miedzianą kopułę. Płat ciasta zbrązowiał i zabulgotał.

Gdy dziewczynka przewróciła na drugą stronę *lawasz*, z ulicy dobiegły przeraźliwe krzyki kobiety, która nie wstydzi się bólu i nie próbuje go ukryć. Flora podniosła głowę i kręciła nią gwałtownie z szeroko otwartymi oczami, raz po raz wpatrując się w kuzynkę. Ale Nazi, której uszy wypełniał dźwięk skwierczącego tłuszczu, stała, wycierając spokojnie ręce połami czadoru, wchłaniającymi mąkę i olej spomiędzy jej palców. Głowę miała schowaną między ramionami, oczy przybrały rozmarzony wyraz, a usta lekko się rozchyliły.

– *Wawejla!* O rety! Nazi, słyszysz? Nie słyszysz tego, co ja? Posłuchaj, posłuchaj, ktoś strasznie płacze – Flora odsunęła kolana od brzucha, dotykającego podłogi, wyzwalając splecione szyjami łabędzie spod ciężkiego tyłka, i podniosła się, stękając z wysiłku. Ale do Nazi wrzaski męczonej kobiety dotarły dopiero wtedy, gdy zdjęła z paleniska rozżarzoną patelnię i ucichło skwierczenie tłuszczu.

– Tak, słyszę, a niech mnie. To pewnie ta Ormianka Hajda, której mąż sprzedaje sól. Pewnie znowu ją katuje, biedaczka – powiedziała Nazi.

Trzymając rączkę patelni, widziała oczyma wyobraźni mężczyznę popychającego wózek z usypaną w stos gruboziarnistą solą, której kryształki iskrzyły na słońcu, krzyczącego z grymasem twarzy: „*Namak! Namak! Sól, sól!*” Za każdym razem gdy przybywał do zaułka, Miriam-chanum nakładała w pośpiechu czador, zbierała resztki spleśniałego chleba i wymieniała je na trochę soli. Mąż Hajdy ważył sól na ręcznej wadze, a otrzymany stary chleb sprzedawał na paszę dla zwierząt.

– Chodź, zobaczymy, kto tak płacze, no chodź, głupolu, zostaw to już, no...

Flora owinęła głowę kolorowym czadorem. Podtrzymując dłońią wklęsłe plecy, ruszyła, ciągnąc za sobą Nazi, która rozejrzała się dokoła i łapiąc poły spódnicy, dobiegła do kuzynki. Ze sterty butów przy wejściu wyłowiły własne i opierając się o siebie, otrzepywały je z robaków. Gdy wspinały się na dach, zaszczekał na nie pies Musy. Na górze odkryły, że wrzaski dochodzą z domu głuchej akuszerki Zolejchy, mieszkającej z mężem i starą matką na skraju dzielnicy, w małym pokoju przylegającym do synagogi. Dwie kobiety mieszkały tam same, aż pewnej nocy przybył do wsi pięknooki cieśla, zapukał w ich okno i zapytał, czy może przespać się na progu do rana. Matka, która rozglądała się za mężem dla głuchej córki, zaprosiła go do łóżka śpiącej Zolejchy, a ten już tam

pozostał na zawsze.

– To jakaś biedna rodząca kobieta, Flora. Chodźmy do domu. Boję się – powiedziała Nazi.

W upalne letnie noce Nazi i Flora wchodziły na dach razem z resztą rodziny, aby spać w poświęconym księżycu na słomianych matach. Przysuwały swoje maty do siebie, zasypiając splecione jak mężczyzna z kobietą, a ich sny zalewał blask gwiazd. Teraz jednak nadeszła już zima i klująca burza piaskowa szalała na dachach wioski, Nazi miała więc stracha.

Flora, która spędziła wiele dni na dachu, wyśpiewując pieśń Szahinowi, nie zwracała uwagi na ostrzeżenia kuzynki. Wypchnęła brzuch do przodu, przeskoczyła przez szczelinę między dachami Miriam-chanum i Fattane Delkaszt, nie szerszą niż krok dziecka. W pawich kojcach panował zgiełk, a rozbrzmiewające piski mieszały się z trzepotaniem ogonów z setkami zielonych oczek.

– Poczekaj na mnie, Flora, uważaj na swoje dziecko, spadnie i rozbije się, poczekaj na mnie – Nazi biegła za nią wzdłuż rzędu żydowskich domów, których dachy, zgodnie z rozporządzeniem władcy, były niższe od domów muzułmanów, podobnie jak ich drzwi, żeby nie zadzierali nosa. Wiatr wprawiał w ruch piaskowe wiry, które przyćmiły popołudniowe światło, i trząśł naciągniętymi sznurami do bielizny, wyglądającymi jak płoty wokół dachów, wydymał pranie i odpędzał ptaki. Flora potknęła się i niemalże spadła na jedno z podwórek, ale Nazi podbiegła do niej i ją podtrzymała.

– Widzisz, prawie zleciałaś, no Flora, wracajmy.

– Jak chcesz, to sama sobie wracaj. Chcę zobaczyć, kto tak płacze.

Gdy dotarły do ostatniego dachu dzielnicy Dżubare, w oknie Zolejchy ukazała się rodząca dziwka.

Nazi oparła się na Florze i z wielkiego podekscytowania popuściła odrobinę moczu. Na dole zobaczyła kobiety owinięte w czarne czador, o zmarszczonych troską czołach, biły się we własne piersi i dłonie, pokazując sobie nawzajem, w jak złym stanie jest dziwka Mamu i jak bardzo cierpi. Już na początku ciąży, gdy jej brzuch zaczął robić się spiczasty, przepowiadano jej trudny poród. Ale im bardziej brzuch rósł i sterczał niczym stożek między olbrzymimi piersiami, kobiety w łaźni zaczęły rozpowiadać, że Mamu zapłodnił nie jeden z klientów burdelu, ale sam król diabłów Omridżanu.

Nazi i Flora trzymały się za ręce i patrzyły z przejęciem na nogi dziwki rozpostarte jak wachlarz z otworem rozdziawionym pośrodku, jakby krzyczał. Mamu skryła głowę w czadorze, który przykleił się do jej wilgotnych włosów i do szala związanego wokół piersi. Wrzaski się wzmagaly, pościel czerwieniała niczym zachodzące słońce w Bramie Księżycowej i wszystkie dzieci z sąsiedztwa tłoczyły się zaciekawione, aby ją zobaczyć, krzycząc najpierw z podekscytowania, a zaraz potem z przerażenia. Tumany pyłu krążące po niebie nad wioską niczym kolosalny

welon panny młodej czerwieniły im oczy i mieszały się ze śliną ciekącą im z otwartych ust. Przestraszone ptaki fruwały nad dachami, nie mogąc znaleźć schronienia i tnąc skrzydłami niebo, a z meczetu na placu targowym dochodził bolesny i przeszywający głos muezina, zawodzący i zatrwajający serca. Gdy z ciała dziwki wynurzyła się główka, dzieci umilkły i słychać było we wsi tylko wycie muezina i lament matki zdjętej grozą na widok noworodka.

Płód Mamu miał jedną głowę z czworgiem oczu w zagłębieniach czaszki, gdzie powinny być uszy. Kiedy Zolejcha wyciągnęła go oblanego krwią matki, niemalże wymknął się jej ze zdumionych rąk na kamienną posadzkę. Czworo oczu patrzyło na nią ze spłaszczonej twarzy, a z jej ust wydobył się krzyk głuchej struchlałej kobiety. Jedno serce biło w szerokiej piersi, usianej czterema sutkami, a z boków wyrastały mu cztery ręce. Dwadzieścia palców było rozpostartych, dwa małe członki sterczały pośród czterech małych jąder, a pod nimi trzepotały cztery nogi. Drżał jak wszystkie niemowlęta, oddech miał charczący, uwięziony między skrzyżowanymi żebrami. A wtedy krzyknęły jedne jedyne usta, obnażając zęby.

Diabelskie bliźnięta trzęsły się w rękach przerażonej Zolejchy. Kobiety wstrzymały oddech na widok zdeformowanego stwora płaczącego jak ludzka istota, zasłoniły oczy w obliczu takiego koszmaru, przepędziły ciężarne, aby nie oglądały tego straszliwego obrazu i żeby, nie daj Boże, nienarodzone dzieci nie podzieliły losu przeklętych bliźniaków dziwki. Młode dziewczęta czmychnęły z zamkniętymi oczami, wyjąc z odrazy i przerażenia, pył na ich włosach był jak przedwczesna siwizna, a dzieci darły im się na rękach. Przygarbione staruszki kręciły się w miejscu w popłochu. Flora popatrzyła na wykrzywioną strachem twarz Nazi i przyłożyła głowę do płaskich piersi kuzynki z sutkami małymi niczym główki drutów do dziergania. Nazi tuliła mocno wielkie ciało, myśląc, że ze strachu za chwilę pęknie jej pancerz. Flora wychyliła się z objęcia i zdobyła na odwagę, by zerknąć na straszliwego skrzyżowanego stwora, którego małe serce nie wytrzymało pod naporem obrzydzenia tłumy i którego jedyne usta ucichły na wieki.

8.

Owego wieczoru Flora zjadła cztery knedle *gondi*, łatwe do pogryzienia, ale trudne do strawienia. Owe kulki z ciecierzycy i kurczaka, nad którymi Nazi pracowała mozolnie przez całe popołudnie, gotowała w gęstym sosie z *dombe* i podawała na posłaniu z białego ryżu, są znaną potrawą przeznaczoną dla mężczyzn, pomagającą powiększyć skurczone jądra i podnieść obwisłe członki. Kobiety natomiast musiały rozkruszyć w palcach knedel, zanim włożyły go do ust.

Musa z ojcem poluzowali pasy, ale pomimo tego trudno im było zjeść do końca drugi knedel. Mani dzun i chudy mąż Homy zadowolili się ryżem z bazylią i pietruszką. Nazi wylała na cieniutki chleb *lawasz* złoty napar z szafranu, a Homa i Miriam-chanum rozdrabniały i dziobały knedle. Ale Flora ze skupionym i zaabsorbowanym spojrzeniem zjadła cztery *gondi*, jeden za drugim. Przewiązała dwukrotnie czador wokół głowy, a jego końce wetknęła sobie pod rękę, przyciskając do ciała, aby się nie wysliznęły. Lśniącą od tłuszczu dłonią uformowaną w miseczkę czerpała kulkę za kulką, szczypiąc je tłuszcikami palcami, rozgniatając i wpychając do ust. Następnie zamlaskała łakomie i ułamała sobie kawałek chleba, plamiąc jego biel żółtawym olejem, którym umazane były jej palce. Moczyła go w gorącym sosie i zbierała nim ryż, usypując z niego kopczyk na talerzu i również go pochłaniając.

Dziewczyna znalazła także miejsce w żołądku na dwie pieczone pigwy, bo matka obiecała jej, że wniosą radość do smutnego serca. O mężczyźnie, na którego twarzy widnieje rano uśmiech, wyjaśniła Florze Miriam-chanum, mówi się, że żona włożyła mu do ust przed zaśnięciem kawałek pigwy. Wiadomo, że opary z pigwy podchodzą do głowy śpiącego, odganiają od niego koszmary i osładzają sny. Potem mężczyźni wydłubowali sobie z zębów resztki jedzenia i mówili o bliźniakach dziwki, że włoży się je do słoja na marynatę z formaliną, zakorkuje i hańba będzie zakonserwowana i wystawiona na wieki w centrum wioski.

Flora ułamała sobie dwa kawałki cukru, położyła na końcu języka i rozpuściła w szklance czarnej gorącej herbaty. Wydawała się Nazi syta i spokojna, gdy przełykała herbatę, opierając się o delikatne poduszki z pierza i głęboko wzdychając. Nogi Flory swobodnie spoczywały na dywanie z Kaszanu, ręce trzymała splecione na zaokrąglonym brzuchu, a twarz zapadała się na tłusty podbródek niczym u wysiadującej jajka kury. A wtedy niespodzianie poprosiła o arbuza.

Miriam-chanum, używając języka zmarłego ojca, twierdziła później, że w tamtym momencie dom z uporządkowanego ula zamienił się w gniazdo os w spróchniałym drzewie. W jednej chwili pobladła i wymieniła przerażone spojrzenia z mężem, córką, zięciem, synem, teściową i Nazi. Mani dzun była

zatopiona we własnych urojeniach, zadowolenie żołądka wygładziło zmarszczki na szarej twarzy, ale oblicza pozostałych pożółkły jak pozostałości ryżu na talerzach. Opadnięte szczęki odsłoniły odłamki cukru na językach, a te rozpuściły się szybko w pieniającej się i nerwowo przełykanej ślinie.

Poza Florą, której żarłoczność była większa od rozsądku, ciało duże, ale rozum mały, wszyscy wiedzieli, że nastąpiła już zima i minęło wiele miesięcy, odkąd czerwony miąższ ostatnich arbułów jarzył się w skwarze lata. Ale wiedzieli też, że nie wolno lekceważyć zachcianek brzucha ciężarnej i Flora musi dostać teraz arbuza, bo jeśli, nie daj Boże, nie ugryzie pożądanego owocu, jej biedny syn może urodzić się z paskudnym znamieniem przypominającym kształtem kawałek arbuza, upstrzony czarnymi pestkami na środku czoła.

Nazi oprzytomniała pierwsza i próbowała przekonać Florę, aby zjadła słodzone czerwone truskawki, soczysty granat, który dla niej rozłupała, napełniając małą dłoń czerwonymi pestkami, a nawet pulchnego rumianego pomidora, którego przed nią położyła. Ale Flora kopnęła wszystkie owoce i oświadczyła, że chce arbuza, tylko arbuza. Jej czarne obrażone oczy biegały po pokoju, wahając się, czy zalać się łzami, w końcu poddała się im i wybuchła gorzkim płaczem. Gryząc grzbiet dłoni, kołysała się do przodu i do tyłu, jak modlący się mężczyzna.

Homa chwyciła Florę za płatek ucha ze srebrnymi kołami. Stała nad nią ogromna i garbata, szczypała i ciągnęła za ucho ze wszystkich sił, grożąc siostrze, że sprawi zaraz takie straszne lanie jej pięknemu ciału, że będzie miała o wiele lepszy powód do płaczu. Musa chodził tam i z powrotem po pokoju, przystając w każdym kącie, kaszląc ochryple i wykrzykując coś o hańbie i honorze. Ojciec Flory przyklęknął przed córką i próbował odwrócić jej uwagę od smaku arbuza straszliwymi historiami o epidemiach cholery i czarnej ospy, które dotknęły wioskę, gdy była małą dziewczynką. Mąż Homy złażał go warkotliwym głosem i dodał, że takie opowieści mogą zaszkodzić apetytowi dziecka, gdy dorośnie. Miriam-chanum chodziła z pokoju do pokoju, załamując ręce i przeklinając zmarłego ojca, ażeby stado wołów stratowało mu grób i zniszczyło jego pamięć. Wiedziała, że to środowa noc, gdy diabły obchodzą swoje cotygodniowe święto, a tej nocy mają szczególny powód do biesiadowania, bo ich król spłodził przekłętą syna dziwce Mamu. Chcąc odwrócić ich uwagę, Miriam-chanum posłała Nazi po wiadro zimnej wody i wylała je na próg, aby udobruchać diabły i przywrócić domowi pokój.

Również Mani dżun dała się ponieść emocjom. Wrzaski dokoła przypomniały jej przeszłe zdarzenia i prostując się w koszu z twarzą pełną bruzd jak popękana ściana, wywracała oczy ku sufitowi. Po raz kolejny zaczęła snuć historię o swojej zmarłej córce, młodszej siostrze rzeźników, ojców Flory i Nazi. Kiedy wszyscy krzyczeli, ciesząc się z narodzin chłopców bliźniaków, okazało się, że ciąża była trojaczna. Za synami bowiem wynurzyła się czekająca cierpliwie

w głębi łona córka i uradowała serce matki.

– *Choda ja!* O Boże! Tylko twojej córki nam tu brakowało! *Zochm bad!* Ażebyś ty szeszła, bądź cicho, wariatko! – zrugła ją zdenerwowana Miriam-chanum. Mani dzun nie posłuchała jej i tak jak kobieta ujawniająca bolesny sekret pierwszy raz w życiu, opowiedziała, jak długie i gęste były włosy jej córeczki. Gdy miała siedem lat, fryzjer goj zawiązał jej wokół szyi chustkę, starannie podciął jej czarne pukle, ale potem zaciął nożyczkami jej delikatną szyję i dziewczynka zginęła od ran. Jakby żałując, że opowiedziała historię, staruszka złapała się za głowę, zasłoniła uszy, aby nie słuchać lamentu wnuczki o arbuza, a łzy popłynęły jej do kosza pomiędzy skrzyżowane nogi. Pociągnęła za srebrzyste warkocze, a w głowie zamajaczył jej obraz śmiejącego się fryzjera, wyciągającego rękę po zapłatę.

– Arbuza, tak bardzo chcę arbuza, mamó, mamó... – zawodziła Flora bezwiednie.

– W samym środku zimy, w środku nocy zachciało jej się arbuza! – krzyczał Musa z twarzą wykrzywioną złością. – Ażeby wyskoczyła z niej gęba małego arbuza z pestkami tak jak dziobata gęba brzydkiej Nosrat!

– *Bah, bah, maszallah,* od tych wszystkich konfitur z dyni i pigwy, którymi ją żywiliście, i od różanej wody, którą podawała jej matka dla pięknego zapachu – Homa krzyczała, wybałuszając oczy – myśli sobie teraz, że jest królową Persji.

Małżonek Homy znowu stwierdził, że tak to już jest, gdy wydaje się córkę za kogoś, kto nie jest jednym z nich.

– Przechodził koło waszego okna, zajrzał do środka, a wy od razu zrobiliście z niego członka rodziny. Tak to już jest, gdy łapie się pana młodego z ulicy, tak to już jest.

– *Wawejla,* biada, dość tego! Nie mówcie tyle, Floro, serce ty moje, *azizam,* oby zawsze spływały ci na głowę i spadały do stóp kwiaty, migdały i pistacje, nie płacz już, sza... – błagała Miriam-chanum, ale nie zbliżyła się do córki, by ją przytulić i pocieszyć.

Musa szarpał za włosy szlochającą siostrę, jak gdyby chciał je wyrwać, przyciągnął głowę i uderzył ją.

– No zobacz, sama zobacz, jaka głupia jesteś, jeśli nie przestaniesz natychmiast płakać, wysmaruję ci czoło kawałkiem psiego gówna takim jak twój mąż gnom i przyniosę ci lustro z pokoju matki, żebyś zobaczyła, jak jesteś durna, ty kupo gówna... – Musa zadławił się, a pryszcze na twarzy niemal mu eksplodowały. Gdy odzyskał swobodny oddech, plunął Florze w twarz, a ślina spłynęła jej wraz ze łzami.

– Chcę arbuza... – szlochała Flora, nic nie słysząc.

Nawet własny płacz wydawał jej się daleki i niewyraźny niczym płacz innej osoby. Nie otarła też śliny z twarzy, jedynie przygryzała wargi, ssąc je między

ściśniętymi zębami, które odcisnęły krzywy ślad na ustach.

– Płać, ty brudna żydówko, twoja piękna córka czeka na ulicy! – wrzasnęła Mani dzun i zanurzyła się w koszu, bucząc po cichu i wysiadując jajka, z których nigdy nic się nie wykluje.

– Dosyć, dość już tych krzyków, niech cię diabli wezmą, wszyscy żydzi są już na ulicy. – Miriam-chanum krzyczała na teściową, szczypiąc jej sutki, tak jakby chciała je odkręcić. Podeszła do Flory, zdjęła z jej głowy chustę i wytarła dziewczynie ciekący nos. – No, dość tego, dosyć płaczu. Dmuchaaj mocno, dmuchaaj mocno! – nakazała, pompując nos Flory, a następnie otarła jej twarz i próbowała uspokoić łagodną mową. Flora pochlipywała jednak dalej, a Miriam-chanum zaczęła znów cedzić przekleństwa, życząc, by wszystkie poranki córki były czarne i złe jak ta noc pisków.

– Co mogłam zrobić, *azizam*, jak mi zarznął moją córeczkę? – Mani dzun rzuciła pytanie w powietrze. Jej ręce trzęsły się i trzepotały niczym skrzydła ptaka, a dłońmi próbowała wyrwać z głowy dziewczęce warkocze.

– Spójrz, mój drogi skarbie, zobacz tylko, jaką dziurę drążysz w sercu swojej mamy... Może chcesz... – Mąż Miriam-chanum nie zwracał uwagi na matkę i przemawiał do córki łagodnym głosem, niemalże niedosłyszalnym pośród zgiełku. Nieśmiało głaskał jej zmierzwione włosy rzeźniczymi rękami, a twarz czerwieniała mu od prób pohamowania emocji. Spodnie podciągnięte nad pępek z krótkim wykończeniem obszytym grubym ścięciem odsłaniały wąskie, niemal dziewczęce kostki nad luźnymi skarpetkami. Wąsy przeplatane srebrnymi nićmi przekrzywił ku Florze w smutnym uśmiechu. Mężczyzna golił je od czasu do czasu i rosły mu gęsto jak jego tłuste włosy. Bez wąsów twarz ojca wydawała się Florze gołą, a z wąsami obca.

– Chce jedynie, żeby mąż wlał jej między nogi i dał to, czego potrzebuje. Trzeba jej tylko wepchnąć gorący rożen do środka. Może wtedy uspokoi się trochę i będzie cicho... – rzuciła pomysł Homa, oparła się na kulawej nodze i zademonstrowała agresywnym gestem propozycję. – Prawda, Flora? Prawda? *Choda ja*, o Boże, ażeby twoje dziecko miało zezę i było karłem jak jego ojciec oszust, amen, niech będzie dokładnie jak dzieciak Mamu! Zobaczymy, czy przyniesie ci arbuzy w środku nocy, ty zakuta pało! Pocieraj, pocieraj tyłkiem o podłogę, aż zapali ci się i wyjdzie z niego dym, a może wtedy się trochę uspokoisz, ty tępą zakuta pało!

– Homa, zamknij się! – krzyknęła Miriam-chanum. – Jak można tyle mówić! Ażeby drzewo języków stało w płomieniach i spaliło się doszczętnie, do diabła z tym przeklętym drzewem, które rozdziawiło twoje paplające usta, zamknij się na chwilę, żydów jak kotów na uliczkach. Zamknij gębę!

Homa nie mówiła do wieku pięciu lat i uważano ją za niemowę. Matka dawała jej do zucia rano i wieczorem ziarnka gorczycy, ale to nic nie pomagało. Dlatego z nadejściem wiosny Miriam-chanum odbyła daleką podróż do Isfahanu po jeden z czterdziestu liści, wyrastających co roku na drzewie języków. Te skrupulatnie liczone liście były czerwone, wydłużone i zaokrąglone na końcach niczym ludzki język. Uzdrowiciel z Isfahanu powiedział jej, że jeśli niemowa napije się wody ze studni, którą zagotuje się z pływającym w niej liściem z drzewa języków, jej gardło się otworzy, a język zacznie się ruszać. Powtarzał jednak, że należy zagotować nie więcej niż jeden liść.

Mimo to Miriam-chanum zerwała trzy, zrobiła z nich napar i podała córce do wypicia. Kilka dni później otworzyły się małe usta Homy i wykrzyczała ona swoje pierwsze słowa. „Kukurydza na gorąco, kukurydza na gorąco!” – wrzasnęła, naśladując krzyki domokrażców na uliczkach, wyławiających żółte kolby z parujących garnków. „I od tamtego czasu” – Miriam-chanum opowiadała ze złością – „dziewczyna nigdy nie zamyka buzi, mówi i mówi, a jej paplanina nie ma końca”.

Musa nie mógł dłużej znieść tumultu dokoła, zawistnych kazań Homy, zawodzenia Flory, obłąkanego mamrotu Mani dżun oraz błagań i przekleństw matki. Z gorzkim sercem wyszedł na zimne Dżubare, dzierżąc w dłoni srebrny kielich wielkości wazonu, aby zapełnić go śliną sąsiadów i napić nią Florę. Był to wyjątkowo skuteczny derwiszowy talizman przeciw złemu oku i jego matka zdecydowała, że nadszedł czas, by z niego skorzystać.

Biały myśliwski pies Musy przypominał w ciemności wilka. Szedł za napiętym jak struna ciałem pana, rzucając się na każdego napotkanego pachnącego kota i ćwierkającego świerszcza. Nie wiedział, że Musa wyszedł, aby upolować złe oko, które dotknęło Florę. Zaczął padać deszcz, a ich dwójka stała, ociekając wodą, na progach domów sąsiadów, którzy dopiero co się obudzili i przymykali powieki. Musa pochylał się pod niskimi futrynami i prosił każdego sąsiada, by plunął do kielicha. Fattane całkowicie rozbudzona czekała na niego z wymuszonym uśmiechem i z radością spełniła jego prośbę. Inni mieszkańcy również nie oburzali się za nocne najście, rozdziawiając usta w głębokim ziewnięciu, przechodzącym w lubieżny uśmieszek.

– Na co ci teraz puchar śliny, Musa? – pytali z błyszczącymi oczami, łaknąc smakowitych plotek, które będą mogli zaserwować gościom. Wszyscy przysięgali, że to nie ich oczy doprowadziły do szaleństwa jego siostrę, i odchrząkując głośno, wystrzelili mętłą pianę do kielicha.

Po wyjściu Musy Homa pokuśtykała do chudego męża, przygarnęła go do siebie i udali się do domu w nerwowym milczeniu. Wychodząc, palnęła siostrę

dwukrotnie w głowę, a potem pochyliła się i uszczypnęła ją w uda.

– Idź już do domu, Homa. Idź do siebie – ponagliła ją Miriam-chanum, wymachując ręką.

– Dobrze, że sobie poszła – westchnęła z ulgą.

Nazi wiedziała, że nie z powodu łakomstwa czy chęci dogadzania sobie Flora pragnie arbuza, i krzątała się, usuwając z dywanu plamy po truskawkach, granacie i pomidorze. Kiedy brat i siostra Flory opuścili dom, mała przytuliła się do kuzynki i głaskała powoli jej brzuch, zataczając ręką kręgi, podobnie jak gdy czyściła plamy po owocach na dywanie. Płacz Flory z wolna cichł, a Nazi czuła, że jej ręce stopniowo go poskramiają, wyznaczając okrężnymi ruchami tempo łkania. Duże ciało przywarło do małego z wdzięcznością, a Nazi niemalże się udusiła pod jego ciężarem, ale nie ruszyła z miejsca, kontrolując własne ruchy. Kiedy tylko okrąg przestawał być perfekcyjny, Flora zauważała, że ociąga się w swoim skowycie, i bez zwłoki znowu zaczynała głośno szlochać. Nazi wpatrywała się nieruchomo w haftowany wzór na dywanie z Kaszanu, którego nigdy nie mogła rozpracować, i za każdym razem, gdy próbowała podążać za wijącymi się bez końca kształtami, wydawał jej się coraz bardziej zagmatwany. Flora zmęczyła się płaczem i oczekiwaniem. Tęskne zawrodozenie za arbuzem przeszło w ciche mamrotanie rozpacz.

Choć Nazi bardzo jej współczuła, bardziej bała się o dziecko, na którego czole kształtowała się właśnie plama i którego ojciec zniknął bez śladu. Położyła głowę w zagłębieniu między piersiami Flory i szeptem błagała o wybaczenie diabły, które niańczyły niemowlę w brzuchu kuzynki:

– *Parhiz... parhiz... parhiz...* – jak matki, które proszą czarty, opiekujące się śniącym dzieckiem, o pozwolenie na przeniesienie ich z kołyski do łóżka, aby z zemsty za zakłócanie im spokoju nie włożyły mu do głowy złych snów.

W końcu arbuz z białymi pręgami na zielonej skórce znalazł się w jednej z piwnic. Krzyki Flory obudziły ze snu brzydką Nosrat i jej dobre serce przypomniało sobie dni, gdy śmiech, chrupkanie i ciepła woń dziewczyny roznosiły się po jej kuchni. Ubrana jedynie w koszulę nocną zeszła do zimnej piwnicy i wyciągnęła spomiędzy beczek z winem arbuza, przechowywanego tam, aby uchronić go przed zgniciem. Gdy Musa dotarł do jej domu, zapukał do drzwi i poprosił ją i męża o splunięcie do kielicha, owoc już czekał na niego jak podtrzymywany rękami pękaty brzuch brzemiennej.

Był to dziki okaz, który rósł na skraju pól uprawnych Daszte Kawir, Wielkiej Słonej Pustyni, znajdującej się w centrum kraju. Każdy, kto się tam zapuszczał, zniknął bez śladu. Arbuzy dojrzewające na krańcu pustyni nie były nawadniane ani wodą deszczową, ani rzeczną, lecz jedynie poranną rosą, która osadzała się na

pnączach i gasiła ich pragnienie, osładzała miąższ owoców i podnosiła ich cenę. Mokry po deszczu i rumiany od nadszkwania, Musa przytrzymał arbuza niczym ciężarna swój brzuch i nalegał, aby brzydka Nosrat przyszła następnego dnia do sklepu drobiarskiego. Obiecał dać jej dwie kaczki ważące razem tyle co arbuza.

Stojąc na progu domu, jeszcze zanim zamknął za sobą drzwi, Musa klepnął w prążkowaną skórę, która rozpadła się pod naciskiem. Palcami rozdarł szparę, odsłaniając czerwony miąższ. Twarz wykrzywiła mu się z obrzydzenia, gdy cisnął spory kawałek siostrze, tak jak rzucał psu pod koniec dnia resztki tłuszczu i kości ptactwa.

Nazi odsunęła się od Flory, która pożałowała owocu jak pocałunków męża, gryząc go z furią i żując. Krew kipiała w niej bardziej niż tamtej nocy w Babolu w hotelu ze ścianami ozdobionymi tapetą w słoneczniki. Jej tyłek zsunął się z poduszki na dywan, a cała rodzina przypatrywała się, jak Flora zbiera pomiędzy skrzyżowanych nóg soczyste kawałeczki, wkłada je sobie do wciąż pełnych ust i gryzie bez przerwy, a czerwony sok wycieka na zewnątrz. Chłód piwnicy, w której arbuza był przechowywany, nie ostudził jednak jej krwi.

Pierwsza odezwała się Miriam-chanum.

– Niech ten arbuza oczyści krew Flory ze wszystkich trucizn, którymi napełnił ją Szahin, a diabły niech przestaną się nad nią znęcać – powiedziała, a mąż dodał:

– Niech tak się stanie, niech tak się stanie.

Ale Flora nie słuchała, tylko gryzła issała, pozwalając, by słodki sok skapywał jej na nadgarstki, łokcie i sukienkę. Kiedy skończyła jeść, między nogami zostały tylko białe skórki.

Gdy Nazi uspokajała Florę, masując jej brzuch, zaraziła się od kuzynki tą samą ochotą. Na widok rozłupanego przez Musę owocu otworzyły jej się z zazdrości szeroko oczy, nozdrza rozszerzyły, a woń dotarła aż do gardła. Kiedy zostały same skórki, Flora beknęła głośno i wszyscy pomyśleli, że czuje się lepiej, ale po chwili rozbolał ją brzuch. Wybiegła z domu i zaczęła wymiotować na cuchnące drzewo migdałowca, a Miriam-chanum stwierdziła, że Flora ma bóleści przez przekłete dziecko dziwki i przez złe oko, ale tym razem nie Fattane i Soltane miała na myśli, tylko Nazi. Wszyscy widzieli jej rozszerzające się źrenice i oblizujący usta język. Nazi zasłoniła sobie oczy, zebrała porzucane po dywanie resztki i zniknęła zawstydzona w kuchni.

Zanim wrzuciła skórki do worka na śmieci, wyskrobała pozostałości różowawego miąższu. Oblizywała issała palce, a potem obejrzała się za siebie w ciemność, upewniając się, że nikt jej nie widzi. Nie było tam jednak nikogo, bo wszyscy stali pochyleni nad Florą, która opierała się ręką o migdałowiec. Przeklinali Szahina i jego osła, życząc im wielu bezsennych nocy, i rozmawiali o wiarołomstwie mieszkańców Babolu, współczując biednej Florze.

Nazi też chciała wyjść na dwór i powiedzieć, że Flora jest biedna i bardzo jej współczuje, ale oczy napełniły jej się łzami i nie ruszyła się z miejsca. Myślała jedynie: Nazi jest biedna, szkoda biednej Nazi. W brzuchu Flory jest różowe niemowlę, w brzuchu Flory jest czerwony arbuza, a jego czarne pestki zwraca teraz pod drzewo. W brzuchu Nazi nici splotły się w jeden gąszcz przypominający zimową grubą kamizelkę. Przyłożyła sobie łupiny do ust, bo chciała krzyknąć, że i ona ma ochotę na arbuza, że i ona chce owoc z innej pory roku, że i ona pragnie, żeby Musa udał się z psem i przyniósł jej od sąsiadów miskę pełną brzoskwiń, śliwek i winogron. Skórki wysliznęły jej się z rąk. Stała i słuchała chrapliwych pokasływań dochodzących z ogrodu, po których następowały chlustające wymioty, a rodzina poklepywała Florę po plecach, cmokając z niezadowolaniem.

Przez kotarę z drewnianych kolorowych koralików, która wisiała w drzwiach kuchennych, Nazi widziała twarz księżniczki Iranu Sorai. Małżonka szacha przypatrywała się jej ze znużeniem ze swojego stałego miejsca w przedsionku, który był jednocześnie jadalnią, pokojem gościnnym i sypialnią Musy. Portret Sorai wykonano z czarnych, białych i zielonych tanich wełnianych nici. Rzemieślnik, który utkał na krośnie delikatną, bladą jak księżyc twarz, nie miał czerwonej wełny na stworzenie cienkich wiśniowych ust. Kruczoczarne, zaplecione w warkocz włosy owinął dokoła głowy, słynne zielone oczy umiejscowił bardzo blisko siebie. Brakowało tylko ust. Piękna i bezpłodna królowa wydawała się Nazi smutna i stara bardziej niż kiedykolwiek.

Nazi odwróciła oczy od portretu pozbawionej uśmiechu księżniczki, oplukala rumianą twarz w wiadrze wody, aby nie złapano jej na zazdrości, i czmychnęła do łóżka, by sprawdzić, czy jej życzenie zostało wysłuchane. Wciąż trzęsąc się od zimnej pościeli, ale pełna nadziei, wsunęła się pod wełniany koc i tak jak każdej nocy wetknęła palec między nogi i szukała. Palec wyłonił się czysty, niepobrudzony krwią. Nie dała jednak za wygraną i polizała go, ale nie poczuła ani krztyny dziwnego smaku, a jedynie znany smak własnego ciała i resztek arbuza. Znowu w jej oczach stanęły łzy, a wraz z nimi obraz swata rabiego mułły Netanela wdowca, grożącego jej starym palcem i mamroczącego, że Nazi musi się spieszyć i szkoda czasu. Widziała postaci kobiet, które prały z nią ubrania w łaźni, patrząc na nią podejrzliwie, jak gdyby między nogami płynęła już jej krew, ale ona nie mówiła o tym nikomu. Cienkie wyskubane brwi coraz bardziej unosiły się na czole, a ich kpiące głosy rozbrzmiewały jej w uszach.

9.

W dniu, w którym odbywało się pranie, o poranku, Nazi pakowała brudne ubrania w prześcieradła i związywała ich rogi węzłem, tak jak końce chusty na głowie. Musa wracał do domu ze sklepu, brał tobołki na plecy, a dziewczynka dreptała za nim, niczym żebraczka, zbierając wypadające skarpetki. Gdy dochodzili do drogi prowadzącej z targu do łaźni, a stamtąd biegnącej w stronę gór, Musa zatrzymywał się, podnosił wysoko ładunek i rzucał nim, grzmocąc o kamienny bruk. Nazi upierała się, by pokonać resztę drogi do łaźni sama, aby kobiety nie plotkowały o nich więcej, niż robią to teraz.

Ciężkie tobołki rozdzielała na mniejsze, zarzucała sobie na zgarbione plecy i zanosila jeden za drugim, aż usypywała z nich wielką stertę u stóp odźwiernej w łaźni. Mała ocierała przedramieniem pot z czoła i zasłaniała oczy przed oślepiającym słońcem, próbując dostrzec Musę, który przykucnął i przyglądał się jej ze swojej kryjówki w zagrodzie dla owiec, czekając na jej leciutki uśmiech. Chłopak siedział w kuckach wśród beczących jagniąt i obserwował, jak płaciła odźwiernej, zdejmowała filcowe pantofle, wciskała je pod pachy i znikala w podziemnej łaźni.

Środy, ale również wczesne godziny poranne każdego innego dnia, były stałym czasem kąpieli diabłów i duchów mieszkających w wiosce. Łaźnia stała wtedy dla nich pusta. Ktokolwiek zabłądził w podziemne czeluści w godzinach kąpieli czartów opowiadał, że słyszał, jak puszczają niczym dzieci bańki w wodzie, a z myjni dochodzi śpiew „plum, plum, plum”. Ale w pozostałe dni tygodnia kłębili się tam ludzie. Pod koniec tygodnia mężczyźni powierzali głowy fryzjerowi, który pielęgnował pukle nad czołem bądź pucował łysiny, a oni zanurzali się w basenach z gorącą wodą, jęcząc z rozkoszy: „Ach, jak dobrze... ach, jak dobrze... *Bah, Bah, wspaniale...*”. Natomiast w niedziele, poniedziałki i wtorki w łaźni kąpały się kobiety.

Rankiem długie i wąskie snopy światła przenikały przez szczeliny wentylacyjne w ścianach niczym boska poświata. Promienie słońca ukazywały drobiny kurzu, wirujące w powietrzu, załamywały się na powierzchni wody, rzucając blade cienie na kamienne ściany. W kątach przestronnej sali, gdzie woda była gorąca, myły się kobiety. Stamtąd woda, letnia i brudna, spływała słabym strumieniem do basenu na pranie.

Pomocnice w łaźni pilnowały, aby unosiła się para, wylewając wiadra pełne wody na sterty rozgrzanych do białości kamieni na paleniskach. Nazi uwielbiała mgliste opary, które zraszały twarz, i jak inne kobiety wkładała pod kolana słomę, aby nie bolały od klęczenia na twardej kamiennej podłodze. U handlarki mydłem, której krzyki: „Mydło, mydło!” roznosiły się głuchym echem, kupowała dwie tłuste

bryłki, wtykając w nie palec i sprawdzając, czy są dobre i suche. Jeśli mydło było wilgotne, targowała się z handlarką, która obniżała cenę.

Szukając miejsca, gdzie mogłaby przykleknąć, starała się spocząć blisko kobiet z rodziny Tamizich, które prały ubrania i pościel zamożnym mieszkankom wsi. Praczki pracowały pieczołowicie i w milczeniu, ponieważ utrzymywały się z tego zajęcia. W rodzinie były cztery niewiasty, o gładkiej lśniącej cerze i o zniszczonych rękach. Najpierw stara przygarbiona staruszka zanurzała pranie w basenie. Jej córka szorowała je mydłem. Jedna z wnuczek płukała je, a druga wykręcała czyste ubrania i układała w stertę. Ale pewnego dnia Nazi zobaczyła Szahnaz Tamizi – wnuczkę, która płukała pranie – wdzięczącą się do Musy w masarni, jak ktoś, kto stoi przed wielkim lustrem i zachwyca się swoim odbiciem. Od tamtego dnia odsunęła się od niej oraz jej rodziny i pracowała sama.

Szahnaz skrywała dziobatą twarz w czadorze, dzierżąc w rękę kosz *kaczkul*, przeznaczony na zarżnięte kury, który dała jej matka. Jej twarz jaśniała w półmroku panującym w sklepie jak pita nasmarowana żółtkiem, a czarne włosy wyglądały na miękkie i błyszcząły. Stojąc pod hakami z mięsem, Musa pieścił oczami czarne włosy, a Nazi chciała złapać je i szarpać ze wszystkich sił, aż Szahnaz wykrzywi twarz i zacznie wrzeszczeć.

Kobiety lubiły dzień kąpieli i prania. Do późnych godzin wieczornych ciężko pracowały, mocząc, szorując i wykręcając odzież i pościel, a mimo wszystko był to dzień zadowolenia i odpoczynku, cały wypełniony paplaniną, śpiewem i śmiechem. Pocięchy wkładały do płytkich wanienek, a pod koniec dnia ich skóra marszczyła się niczym skóra starców albo noworodków. Skryte przed oczami mężczyzn, wszystkie rozbierały się do naga, kołysały piersiami, a para wodna koila i oczyszczała ich ciała. Na włosy nakładały czarną i czerwoną hennę wraz z łupinami granatów i żółtkiem, a następnie owijały je kawałkiem muślinu, aby przybrały kolor herbacianych fusów i lśniły. Namaszczały się wzajemnie oliwą z oliwek, zmieszaną ze zmielonymi migdałami i orzechami, by ich skóra przesiąkła słodyczą. Dziewka służebna z łaźni chodziła wśród nich i za miedziaka szorowała im plecy gąbką roślinną i smagała je wonnymi gałązkami szałwii. Pocierała im stopy czarnymi kamieniami bazaltowymi, zdzierając twardą jak kopyto skórę. Od czasu do czasu przechodziła wśród nich, sprzedając owoce i szklanki zimnego *falude*, nitek makaronu polanych syropem.

Kobiety trajkotały nieustannie o mężu, którego żądza jest ciągle niezaspokojona, o cierpiącej na rozwolnienie i wymiotującej córce, o synku, który nie chce rozstać się z piersią matki i doprowadza krzykami do szału ojca. Rozmawiając, rozłupywały solone pestki arbuza i dyni, tak że pod koniec dnia ich sandały były przysypane warstwą mokrych łupinek. W mglistych oparach wychodziły na jaw najbardziej skrywane wioskowe sekrety, ujawniały się ciężce, pieczołowicie chowane pod sukienkami, a wszystkie pogłoski stawały się prawdą.

Niezameżne dziewczęta kroczyły dumnie jak pawie Delkaszów, szcząc się naprężonymi ciałami, karmiące piersią matki raczyły maluchy mlekiem ogrzewanym parą, a bezpłodne kobiety obmywały brzuchy w Miednicy Kluczy, błogosławionej wnęce wyrytej w ścianie łaźni. Na dnie niszy leżało czterdzieści miedzianych kluczy, zieleniących się w wodzie, będących własnością czterdziestu najpłodniejszych kobiet, które żyły niegdyś we wsi. Matka bezpłodnej wlewała czterdzieści szklanek wody do wnęki i myła zamknięty brzuch córki, jęcząc nabożnie, aby jej łono się otworzyło i wydało na świat wielu synów.

Nazi nie uczestniczyła w rozgardiaszu czynionym przez kobiety, nie przyłączała się nawet do ich wrzasków, gdy zauważały młodzieńca, który wspiał się na dach i podglądał je przez oszklone okrągłe okienka w suficie, karmiąc zgłodniałe oczy widokiem nagości. Cały ranek nie rozpiniała sukienki i pod pachami rozkwitały jej szare kwiaty potu. Rozbierała się ostatnia, gdy rozłożone na kamieniach przed łaźnią pranie suszyło się już na słońcu. Zdejmowała wstydliwie sukienkę i szybko kąpała się pod skąpym strumieniem wody.

Im bardziej zatapiała się w pracy i milczeniu, tym bardziej kobiety dokuczały jej, zadając wścibskie pytania. Nazywały ją drwiąco Nazicze, małą Nazi.

– Gdzie jest Musa? Dlaczego nie pomagał ci dzisiaj w dźwiganie prania?

– Może boli cię brzuszek, Nazicze? Idź i sprawdź, Nazicze, idź sprawdź...

Fattane i Soltana, które widziały z okien, jak sierotka Nazi haruje niczym niewolnica w domu znienawidzonej przez nie ciotki, litowały się nad nią i pocieszały ją, że okres się spóźnia, bo jej błogosławionej pamięci matka Mahasti, której dobra dusza unosi się w raj, wywodzi się z pokolenia Lewiego i wiadomo, że okres kobiet należących do tego rodu jest święty i przychodzi późno, czasem dopiero w dniu ślubu. Życzliwe znajome zgadzały się z nimi, ale inne powiadały, że nigdy nie będzie miesiączkować, że Nazicze nigdy nie zostanie *kuczek-madar*, bo była wcześniakiem i wyraźnie widać, że ma ciało dziecka.

Odkąd Homa pochowała swoje maleństwo, a ciężarna Flora została porzucona przez męża, kobiety nie trudziły się, by odgarniać sobie wzajemnie pukle z uszu i zasłaniając dłonią usta, wyszeptywać historie o pannach Ratorian. Ich donośne głosy odbijające się od ociekających potem ścian przytłaczały jej serce podłością i nękały przez całą drogę do domu ciotki, sprawiając, że mała Nazi cała się kuliała. Dopiero gdy pracowała sama w kuchni, warkotliwe głosy z wolna ucichały, ale nigdy nie milkły całkowicie.

Nazicze nie ma rodziców, ciotka przywłaszczyła sobie jej posag – mieszkanki wsi wyliczały na palcach nieszczęścia, jakie zsyłał na nią los. Nawet jedna kropla krwi nie wyciekła jej z dziury i jest chuda i płaska jak niezdrowe pisklę – cmokały i spoglądały na nią karcąco. To były prawdziwe stwierdzenia, sprawiające Nazi długotrwały przeszywający ból. Ale gdy kobiety opowiadały bajdy, aby się zabawić, zdumione okropnościami, które tworzyły w wyobraźni, ból

Nazi prędko znikał. Mówiły, że w domu Miriam-chanum popełnia się zabronione czyny, a ona jest zbyt leniwa, a może i zbyt podła, aby położyć temu kres. Oszczerczynie z przestachem gryzły zaciśnięte pięści, błagając Boga o wybaczenie, że ich niewinne uszy muszą słuchać tego, co wypowiadają usta. Historii o tym, co wyrabia Musa Ratorian co noc swojej małej osieroczonej kuzynce za zgodą matki – kamratki diabłów, które przynoszą jej nocną porą łupiny cebuli, zamieniające się na jej nadgarstkach w złote bransoletki, przez której grzechy dzieciństwa koty nie przestają się mścić na wiosce i jej mieszkańcach.

– *Aundare, aundare*, biedna sierotka – wzdychały, zerkając na Nazi ze smutkiem. – W jej wieku liczy się już pisklęta, a ona nawet nie złożyła jajek, biedactwo.

– Gdyby nie wielkie piersi Flory, a niech ją diabli wezmą, jaka ona piękna, dzieci, które Musa robi Nazi, z pewnością umarłyby z głodu...

Na skutek wielogodzinnego moczenia w mętnej wodzie ręce Nazi były blade jak wyblakła od słońca i prania pościel, a skóra wyschła i łuszczyła się. Dziewczynka przyglądała się swojemu odbiciu w myjni i aby zagłuszyć łgarstwa kobiet, bełtała praniem wodę, wytwarzając wzburzone fale. Rozbrzmiewający chlupot brał górę nad głośną paplaniną, a Nazi przygryzała wargi.

Część druga

Nazi chce

spać

10.

Nazi, gdy się urodziła, miała tak maleńkie ciało, że miejscowi znachorzy klaskali w dłonie ze zdumienia i nie chcieli jej leczyć, twierdząc, że diabły upatrzyły ją sobie na zabawkę dla swych dzieci.

Tak opowiadała Nazi Soltana Zafarollah. Widząc przez szparę w dachu, że Miriam-chanum wychodzi z domu, a Flora zaszywa się w kuchni u jednej z sąsiadek, Soltana wspinała się do gruchającego gołębnika na dachu, wybierała pulchnego gołębia z różową koronką i zanosila krzątającej się w kuchni Nazi. Przeciągała swoją wizytę, ukręcając łeb ptakowi i skubiąc pióra, i snuła małej historie o jej zmarłej matce Mahasti, które Miriam-chanum nazywała głupstwami.

W roku narodzin Nazi zarazki czarnej ospy rozprzestrzeniły się w wodzie płynącej wioskowymi kanałami, w których przez całe lato pluskały się roześmiane boscie dzieci. Powiadano, że szyjcy wracający z pielgrzymki do świętego miasta Maszhad sprowadzili zarazę na przedgórze gór Elburs i miasta leżące na równinie przybrzeżnej. Szyjcy zabierali do Maszhadu obłąkanych i przywiązywali ich do meczetu bądź do grobu świętego, aby przywrócić im zdrowe zmysły. Wariaci wracali zdrowi na umyśle w towarzystwie krewnych umocnionych w wierze, ale we krwi przynosili chorobę. Gdy zalążki śmierci dotarły do Omridzanu i okolicznych wsi, zaatakowały najpierw muzułmańskich mieszkańców, a potem ogarnęły jak bryza pozostałe dzielnice.

Przerażająca zaraza płynęła ściekami po ulicach, latała z kłującymi komarami i roiała się w zębach szczurów. Z łatwością pokonała obwarowania dzielnicy ormiańskiej i rozkwitła szkaradnie na skórach żydów mieszkających wśród migdałowców. Początkowo muzułmanie myśleli, że choroba nie dotyka żydów z powodu wina i piwa, które bez przerwy żłopią, ale ich zawistna furia zelżała, kiedy i z uliczek Dżubare zaczęły dochodzić wrzaski bóleści i również tam przemękały, niczym bezdomne koty, żałobne zawodzenia.

W oknach mieszkańcy wsi powiesili czerwone płótna. Chorych owijali w jelenie skóry i koce moczone w garach z gotowanym winem i burakami. Kobiety wpinały sobie czerwone pióra we włosy, spryskiwały szmaty kurzą krwią, otulały nimi niemowlęta, smarując sobie policzki ziemią, masą daktylową i henną. Zamożni mieszkańcy ozdabiali domy czerwonymi kamieniami, a wszyscy okręcali nadgarstki i szyje szkarłatnymi wstążkami. O zachodzie słońca cała wieś różowiała od płomienistej barwy, która miała przyspieszyć krążenie krwi i ochronić ludzi przed chorobą. Mułła Abbas, okryty ognistoczerwoną peleryną, z równie karmazynową chustą z wełny narzuconą na biały turban *ammame* i twarzą nasmarowaną rdzawą henną, ale ustami bladymi ze strachu, przemówił z podium w meczecie do zarumienionych wiernych. Wyjaśnił, że zaraza rozjusza krew

chorych, gdyż jeden z pochowanych na wsi zmarłych żuje całun. Mieszkańcy wioski odkopali więc groby na zboczu góry w poszukiwaniu winnego nieboszczyka, by przestał skubać płótno, ciągnąc ich za sobą do ziemi. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach gnijących ciał, a angielski szpital, oddalony od Omridżanu o jeden dzień pieszej wędrówki, wypełnił się pacjentami w konwulsjach, których twarze puszczały bańki niczym staw przy młynie w czasie ogromnej ulewy.

W roku, w którym wybuchła zaraza, porody należały do trudnych i hałaśliwych. Ze skurczonych łon kobiet wychodziły martwe i żółte noworodki z nabrzmałymi brzuskami. Te, które upierały się urodzić żywe, wyłaniały się maleńkie, wątłe i bez sił na płacz, większość z nich nie przetrwała jednego dnia. Przedwcześnie urodzona Nazi przeżyła jednak, leżąc w kołysce splecionej z liści palmowych, ale wcale nie rosła. Za radą Miriam-chanum Mahasti nacierała czarne, powiększone od częstych porodów sutki czystym mleczkiem pszczelim, ale mleko i miód, które ssała Nazi, nie dodały jej słodkiego dziecięcego tłuszczu. Gdy miała pół roku, ważyła tyle co siedmiomiesięczny płód, a wielkie migdałowe oczy wystawały jej z twarzy niczym oczy kijanek. Rabi mułła Netanel wdowiec nakazał Mahasti karmić Nazi wersetami z Księgi Psalmów, spisowanymi przez niego na skrawkach papieru i szeptać jej nieustannie do ucha groźby, aby urosła. Sąsiadki poradziły żywić dziecko tłustymi rozdrobionymi owczymi wnętrznościami nadziewanymi ryżem, na które wszystkim mieszkańcom wsi ciekła ślinka. Nic jednak nie pomagało. Znachorzy, którzy nie chcieli leczyć Nazi, zdumiewali się przedłużającym się bezsensownie życiem i czekali na jej śmierć.

– *Wawejla*, biada! Jeszcze nie zmarła ta malutka? Łupina czosnku jest grubsza od jej prześwitującej skóry! Jak to możliwe, że Bóg jeszcze nie zabrał jej do siebie? – dziwiły się kobiety w ogrodach Dżubare.

Wiele z nich straciło dzieci podczas zarazy i wbijało zjadliwe oczy w kołyskę z liści palmowych, którą uplotła dla córki Mahasti, przesywając spojrzaniem maleńkie niemowlę, trzymające się kurczowo życia.

– Jest mała jak młody nietoperz – mówiły do siebie, czerpiąc radość z przerażenia Mahasti. – To pewnie przeklęte stworzenie diabłów, niech spotka to wszystkich naszych wrogów... Biedactwo, nie ma nawet siły, żeby nabrać do ciała powietrza... Jak przyjdzie zima, nie będzie mieć dość mięsa, żeby ją chroniło przed zimnem. I gdybyś jej nie tuliła do piersi, Mahasti *azizam*, górskie wiatry porwałyby ci ją z rąk, nie rozumiesz? Idź rób mężowi synów i pozwól temu biedactwu umrzeć.

– Tragiczne nawałnice – wieszczyły kobiety z zamkniętymi oczami – nadciągają z mroźnych gór do Omridżanu, trzęsąc ziemią. Powiadają, że całe lasy wyrwane są z korzeniami jak młode sadzonki. Powiadają, że dachy domów fruują niczym kapelusze, a ubrania, Boże wielki, zdierane są z ludzkich ciał jak

ze sznurów do bielizny i znikają na wietrze... Wszystko porywa tegoroczna nawałnica, a czego ona nie zabierze, pochłonie do swojego brzuszyska ziemia, niczym wracający do domu głodny mąż.

– *Choda ja!* Oj Boże... – wołały niewiasty, przerażone drzeniem ziemi i wybałuszając oczy, gryzły się w miękką skórę między kciukiem a palcem wskazującym. Staruszki trzymały się za kolana i jęczały, że czują już w starych kościach zbliżające się piekielne zimno.

Otoczona zaratusztrańskimi amuletami, które Mahasti przyczepiła do kołyski, oraz niebieskimi kurzymi oczami, włożonymi przez Miriam-chanum do srebrnych ozdóbek i zawieszonymi na szyi; okryta czterema czerwonymi kocami z koziej wełny, Nazi wpatrywała się w matkę ogromnymi oczami, śmiejąc się do talizmanów, biżuterii i sukienek. Od czasu wyjścia za mąż Mahasti zaszła w ciążę cztery razy i urodziła cztery córki, wszystkie martwe. Bezustannie otulała czterema kocami szyję Nazi, przyciskając do nich głowę, aż stawały się mokre od łez. W głębi serca wierzyła, podobnie jak wszyscy, że diabły nie pozwolą Nazi żyć i oddadzą ją swoim dzieciom.

Zima jednak była zwyczajną zimą, a ziemia pohamowała się i nie otworzyła paszczy. Ale pewnego poranka, gdy Mahasti rozwiązywała zawiniątko koców i pieluch, w którym znajdowała się małeńka Nazi, spostrzegła na prześwitującej szyi córki grudki śmiertelnej choroby wypełnione ropą, rozkwitające jak posępne kwiaty. Pociemniało jej w oczach. Ukryła głowę w kołysce i rwała sobie włosy.

– I ta ci umarła? – zapytał mąż, który usłyszał, jak szlocha, i poderwał się na równe nogi, by ją uderzyć.

Ale Mahasti sama już się biła, szczypała cienką skórę na grzbiecie dłoni, policzkowała się i uderzała w piersi.

– *Choda ja*, co ja teraz zrobię, *Choda ja*?

– I ta ci umarła? Ty uparta kobieto – mąż podniósł rękę z wściekłością i zdzielił Mahasti w głowę. – Kiedy dasz mi moich upragnionych synów? Kiedy? Zobacz, jaki masz słaby brzuch, plugawa kobieto, tylko córki mi rodzisz, nędzne córki. Ażeby i ta w końcu umarła, uparta jak jej matka i szkaradna jak diabeł. Innej kobiety, wiem, trzeba mi innej kobiety, kobiety z gorącą krwią, która da mi synów. Ty mi tylko tragedie przynosisz ze swoją zimną krwią. Ty jesteś kobietą? Wyziębiasz mi nasienie niczym deszcz, ty, z której łona wychodzą zmarłe dziewczynki, ty suko... – wrzeszczał i kopał ją, a wystraszona Nazi kulila się między piersiami matki.

Sąsiadki, słysząc krzyki, opuściły domy z rozrabiającymi w nich przebudzonymi dziećmi i udały się zawołowane do domu Mahasti. Domyślały się, co tam się wydarzyło, i wyciągając się wzajemnie z mrocznych kuchni, formułowały już na językach słowa pocieszenia.

– Tak nam ciebie szkoda, dziecino, *nakon*, nie rób tego sobie... – stworzyły bolejący krąg wokół kobiety, która pochyłona nad płaczącą córką, drapała sobie do krwi policzki, a one rękami wykonywały gesty nad jej głową.

– Idźcie stąd, dziwki – krzychała na nie Mahasti, podnosząc golusieńką Nazi, potrząsając nią i demonstrowując jej rany. – Zobaczcie, coście zrobiły swoim złym okiem, ażebyście oślepyły! Idźcie stąd, idźcie do swoich dzieci i mężów, wynocha!

– Zostaw je w spokoju – zasyczał ojciec. – Zamknij się, suko. – Zabrał kobiecie córkę i oglądał chłodnym spojrzeniem wysypkę na skórze.

– Nade mną się litujecie? – Mahasti podskoczyła i wyrwała mu Nazi z rąk. – A nie szkoda wam mojej córeczki? Czy nie mówiłyście, że umrze, gdy spadnie pierwszy śnieg? Ale ja szczelnie zamknęłam okna, gadziny jedne, otulałam ją kocami i karmiłam moim ciepłym mlekiem – jak miałyby umrzeć? No jak? To nie zimnica ją zabrała, to wasze złe oko, które wdarło się przez wełniane koce jak mrówki w ścianach. To złe słowa, które wyrzekłyście, dziwki. Przeklęłyście mnie i moje córki, i wy bądźcie przekłete! Idźcie stąd, wynocha, ażebyście zapłacili za to życiem, moje biedactwo... – Znowu wybuchła płaczem, a łzy zagłuszały jej słowa.

Urażone niewiasty okryły się czadorami i wyleciały z podwórka niczym wystraszone ptaki.

– Wstyd – ryczał ojciec Nazi po ich wyjściu. – Tylko wstyd mi przynosisz, dziwko! To Szatan, który w ciebie wstąpił, sam widziałem. Widziałem, jak w nocy rozkraczasz nogi, żeby wlały do ciebie wszystkie diabły Omridżanu i zapłodniły cię nasieniem Szatana. Szatańskie córki mi dajesz, wszystkie martwe, umrzyj i ty w nocy, suko!

Mahasti opanowała się i przestała bić, bo Nazi płakała coraz głośniejsze. Padła na kolana przed mężem, błagając go, by się nad nią zlitował, wdział płaszcz i poszedł po ormiańskiego lekarza oraz po rabiego mułkę Netanela wdowca, którzy byli ostatnią deską ratunku dla ich córki.

Mężczyzna zmiękł i wyruszył w drogę. Ale tak jak obawiała się żona, szedł powoli ze zwieszoną głową, jak ktoś, kto pogodził się z losem. Witający go przechodnie nie widzieli w nim ojca w pośpiechu szukającego lekarza, który uzdrowi chorą córkę. Pochylony, przypominał raczej człowieka rozglądającego się opieszale za grabarzem. Po głowie krążyły mu gorzkie myśli, serce coraz bardziej zamierało, a nogi wlokły się po ziemi.

Mahasti została w domu, szlochając po cichu nad uporem męża, nad podłością kobiet siedzących w oknach i nad ciemnym niebem. Gdy łkanie Nazi stało się cichsze, straciła cierpliwość. Przecięła zaułek i rzuciła się na szyję Miriam-chanum, obsypując ją pochlebstwami i błagając, by poszła po śladach człapiących po śniegu stóp męża.

– I jeśli go nie znajdziesz, *azizam*, zlituj się nade mną, idź do masarni

i poproś, żeby twój mąż poszukał i przyprowadził tutaj szybko doktora – syna Dżandżan *sabziforusz*^[7], handlarki świeżymi ziołami. Idź, Miriam-chanum, idź, a Bóg niech błogosławi twoje nogi, idź natychmiast.

– Pozwól umrzeć dziewczynce – Miriam-chanum odepchnęła ją od siebie. – Takie krótkie i nędzne życie miała twoja córeczka. Nawet jeśli przeżyje, to któż ją zechce? Tylko kaleka albo głupiec weźmie twoją córkę, czy nie lepiej, żeby już umarła?

– Będzie żyła, zobaczysz, będzie żyła... – płakała Mahasti, a łzy paliły jej podrapane policzki.

Miriam-chanum w czerwonym kapturze wychyliła głowę na ulicę, wznosząc oczy do nieba. Śnieg wirował na wietrze, a czarne chmury piętrzyły się nad wioskowym zębatym murem, przypominając rozgniewane oblicze Boga.

– Jeśli będzie żyć – kobieta wsunęła z powrotem głowę do pokoju i obrzuciła Mahasti zachmurzonym spojrzeniem – dam jej mojego Musę na męża, składam ci tę przysięgę, Mahasti. Ale Nazi nie przeżyje, bo chce umrzeć, i widzę już leciutki uśmiech ulgi na jej ustach, które nie chcą ssać nawet piersi, biedactwo. Żyje tylko dzięki tobie, Mahasti, i twoim niestrudzonym rękoma, niech Bóg ci błogosławi. Masujesz jej klatkę piersiową, żeby utorować drogę oddechowi, bo płuca ma nadal zamknięte jak dziecko w łonie matki... Nie widzisz, że jest jeszcze niegotowa niczym nie do końca ukiszony bakłażan? No powiedz...

– Proszę cię, idź, idź po syna Dżandżan, ona umiera, idź – błagała Mahasti.

W końcu Miriam-chanum wyruszyła w drogę. Florę zostawiła z Musą w domu, zabierając ze sobą na zimnicę siedmioletnią Homę, którą niosła na rękach. Buty jej grzęzły w śniegu i brodziły w błocie, ale nie dogoniła ojca Nazi. Podobnie jak on nie wierzyła, że dziewczynka dożyje wieczora, i dlatego też nie lękała się obiecać jej Musy na męża.

Ormiańskiego lekarza znaleźli w domu żydowskiego młynarza Pinchasa. Młynarz konał wiele dni z rozdziawionymi ustami i opuchniętym językiem. Po jego śmierci z domu dobiegały głośne lamenty, a w ogrodzie zaczęli tłoczyć się sąsiedzi, którzy wzdychając i mamrocząc, wychwalali zmarłego. Ojciec Nazi, jego brat bliźniak i Miriam-chanum z Homą na rękach przecisnęli się przez tłum żałobników i wkroczyli do zaciemnionego domu.

Żona i córki Pinchasa opłakiwały go w podartych sukienkach, a synowe stawiały miedziane garnki z wodą na piecu. Synowie i zięciowie siedzieli oniemiało wokół nakrytego kocem ciała i słuchali rabiego muły Netanela, rozprawiającego z napiętym wyrazem twarzy o sprawunkach związanych z pochówkiem.

Ratorianie wnieśli do domu na butach błoto i śnieg. Łagodnym głosem złożyli kondolencje pogrążonej w smutku rodzinie, a potem poprosili syna Dżandżan *sabziforusz*, aby poszedł z nimi obejrzeć konającą dziewczynkę.

– Dobrze, dobrze. Poczekać przed domem. Już idę... – Zirytowany

odprawił ich machnięciem ręki. Zawsze kiedy wzywano go do chorego, utyskiwał na skłonność rodziny do dramatyzowania, dla której każdy kaszel był gruźlicą, a każdy świąd trądem. Przesunął palcami po włosach, które tak jak włosy jego matki pachniały ziołami, założył futro i spakował skórzaną torbę. Dżandżan ciułała grosz do grosza ze sprzedaży mięty i bazylii, aby móc wysłać syna na naukę do wyższej szkoły medycznej w stolicy. Po wieloletniej służbie lekarskiej w wojsku szacha Mohammada Rezy Pahlawiego wrócił do wsi bardzo zaradczym. Stał się najbardziej pożądanym kawalerem i był zmuszony poślubić dwie kobiety, jedną żydówkę – ze zdrowym rozsądkiem, drugą muzułmankę – ze zdrowym ciałem, odtąd spędzał noce raz u jednej, raz u drugiej.

Doktor natarł ręce olejkami kamforowymi i pokropił Nazi ostro pachnącym octem. Następnie pochylił się nad nią, pomacał nabrzmiałą szyję i od razu zawyrokował, że nie ma nadziei – dziecko niebawem umrze. Mahasti, która wniosła ku niemu z przestachem oczy, znowu się rozszłochała. Miriam-chanum przycisnęła głowę Homy do piersi, aby ochronić ją przed nadchodzącą śmiercią. Lekarz otulił Nazi pieluchami i dając za wygraną, narzucił na siebie owcze futro. Podobnie jak inni mieszkańcy wsi nie wierzył, że taka maleńka i wątła istota zdoła przeciwstawić się tak straszliwej chorobie, i dziwił się, że żyła tak długo. Nazi zaczęła dławić się płaczem, ale on nie zmienił zdania i kiedy Mahasti schyliła się, by utulić córeczkę, on odepchnął ją ze zniecierpliwieniem jak ktoś, kto odgania natrętną muchę, która wleciała do pokoju.

Zebrani wpatrywali się w ponurą twarz doktora, który szeptał o czymś z ojcem Nazi. W pokoju zapadła cisza i wszyscy stali w bezruchu, próbując dosłyszeć zza cichego szlochu maleństwa i jego matki chichot dzieci diabłów zacierających z niecierpliwości ręce. Nagle rozległy się donośne odgłosy z orszaku pogrzebowego młynarza Pinchasa zbliżającego się do Zaułka Migdałowców. Rżenie koni ciągnących karawan z nieboszczykiem mieszało się z wyciem kobiet. Mahasti zdumiała się na widok lekarza chwytającego dziewczynkę i wylatującego z nią na ulicę.

– Na-zi! – krzyknęła, zerwała się na równe nogi i chciała za nim biec, ale mąż pochwycił ją w objęcia.

– Nie ruszaj się. Przysięgam na swoje życie, że cię zabiję, uduszę własnymi rękami, stój cicho! – Jedną dłoń przycisnął jej do ust, a drugą złapał za kręcącą się na wszystkie strony szyję.

Lekarz stanął na dworze wyprostowany i wznosząc rękę do góry, zatrzymał żałobny orszak. Lament kobiet dźwięczał wśród wyjącego żałośnie wiatru. Żałobnicy tłoczyli się ściśnięci na wąskich uliczkach Dżubare, by osłonić się przed zimnem, wlekąc się długim szeregiem niczym mrówki. W ręku dzierżyli lampki oliwne z migoczącymi płomykami. Przed nimi była jeszcze długa droga, ale ciekawość okazała się silniejsza od smutku i zatrzymali się, aby posłuchać doktora.

Wdowa i płaczki otaczające karawan przestały drapać sobie twarz i szczytać piersi. Kiedy okrzyki ucichły, rabi mułła Netanel ponaglił skinieniem głowy doktora, by przemówił, bo bardzo im było spieszno. Lekarz odczekał dłuższą chwilę, aż wszyscy zamilkli i trzymając w rękach czapki, zwrócili ku niemu oczy, jak gdyby w swojej torbie niósł pośród jodyny i soli trzeźwiących słowa samego Boga i miał je im teraz odczytać.

– Moi drodzy mieszkańcy – wykonał zamaszysty gest jedną ręką, a drugą potrząsał wciąż płaczącą Nazi.

Ludzie mrużyli oczy i wyciągali szyje, starając się dosłyszeć jego głos pośród gwizdów zimnego wiatru.

– Litościwi ludzie, ta biedna dziewczynka jest jedyną córką Ratoriana rzeźnika i za kilka minut umrze. Próbuje wydostać duszę ze swojego chorego ciała i zwrócić ją Stwórcy. A ponieważ Anioł Śmierci już zstąpił z nieba, tfu... – doktor splunął gwałtownie przez szczerbę w przednich zębach, aby ostudzić zapal diabłów, a po nim plunęli też żałobnicy. – Tak, zadał sobie trud, zstąpił z nieba do wioski i wziął duszę biednego młynarza, a teraz jego sześć aniołów zniszczenia czeka na niego w niebiosach, aby spełnić wolę Boga... Dlatego proszę zezwolić, czcigodny rabi, aby wstrzymać pochód na cmentarz, kiedy Anioł Śmierci, tfu tfu tfu, stara się wydobyć niemowlęcą duszę z ciała dziewczynki. Poczekajmy, pozwólmy mu zrobić to, co ma do zrobienia, i dopiero wtedy wyruszmy w drogę. O to proszę, przezacni ludzie – zwrócił się uroczyście z włosami bielejącymi od śniegu do rodziny nieboszczyka, która stała skulona za rabinem. – Czcigodni mieszkańcy, ta śmiertelna plaga wyczerpuje nas wszystkich. Biegamy na cmentarz niczym człowiek z rozwolnieniem do wychodka. Poczekajcie godzinę, aż umrze to biedactwo, a wtedy pójdziemy pochować obydwójce nieszczęśników, niech Bóg zlituje się nad nimi. Nie marnujmy naszych sił, pokonując tę samą drogę cztery razy na dobę, bo umrzemy z wysiłku, a nie z powodu choroby. I nie będziemy też fatygować sześciu aniołów zniszczenia, które może zlitują się nad wami...

Żałobnicy zaśmiali się gorzko. Apel lekarza chwycił ich za serce. Czarna gromada ludzi zaczęła kłębić się wokół domu Ratorianów niczym mrówki wokół przewróconego chrząszcza. Karawan ze zmarłym postawiono przy wejściu do domu, a doktor umieścił Nazi w zagłębieniu, które wykopał w śniegu. Biały puch topniał dokoła gorączkującego ciała. Krewni Pinchasa usiedli niemrawo na niskim kamiennym murku. Żałobnicy odłożyli oliwne lampki, rozpostarli karakułowe futra na ziemi skutej lodem, rozsiedli się i słuchając upartego płaczu Nazi, czekali, aż ucichnie.

Po niebie krążyła para sępów. W powietrzu unosił się zapach zwłok dotkniętych chorobą, ale niektórzy oddawali się wesołej pogawędce, bo wyleciała im z głowy przyczyna zgromadzenia w Zaułku Migdałowców. Inni ze spuszczonej głowami, posępnym wyrazem twarzy i założonymi z tyłu rękami

chodzili tam i z powrotem wśród stojących i siedzących osób. Dzieci zaczęły wymykać się matkom i rozrabiać. Porywały z głów czerwone wełniane czapki, rzucając śnieżkami i wdając się w bójki, a matki je rozdzielały i wiązały w mocnym uścisku. Gdy jedno z nich kichnęło, nieświadome tego, że kichnięcie w czasie pogrzebu ściąga na ludzi nieszczęście nieboszczyka, matka wyrwała mu z głowy pięć włosów, aż zaczynało wrzeszczeć.

Nagle z domu wyskoczyła Mahasti. Po drodze porwała dwie gęgające, białe i pulchne jak obłoki gęsi i krzyżąc, wybiegła na zaułek. Oczy miała wybałuszone, a usta drżące. Rozpruła gardziele trzepoczących ptaków i rozdarła palcami tłuste mięso. Białe pierze fruwało na wszystkie strony, a krew tryskała strumieniami, obryzgując jej twarz i włosy. Spod kupra gęsi wypadły brudne białawe jajka i rozbiły się na czerwieniejącym śniegu.

– Bierzcie, żydzi! Bierzcie! – wrzasnęła, rzucając ludziom ciepłe kawałki mięsa. – Weźcie okup i idźcie go sobie pogrzebać na cmentarz! – Psy, szczekając, rzuciły się na ociekające krwią skrawki mięsa i rozdzierały je kłami. – Chcecie jeszcze jednego trupa, leniwi żydzi? Niech was piekło pochłonie – weźcie to sobie i pochowajcie! Na cóż wam nagle moja biedna córka? Co się stało? To przecież jedynie skóra, kości i bąble. Niespełna dwa kilo płonące z gorączki. Weźcie sobie zamiast niej te tłuste gęsi, każda waży dziesięć kilo, zostawcie mi moją córkę i niech umrze w spokoju – głos matki się załamał, łzy zmieszały się z krwią na twarzy, a ona runęła na śnieg przy walczących psach.

– *Aundare*, biedna kobieta – słyszała mieszkańców mamroczących ze współczuciem. – Uchron nas od nieszczęść, Boże, zwariowała od tych wszystkich córek, biedaczka... – Nikt jednak nie ruszył się z miejsca, wszyscy siedzieli i się gapili.

Mahasti leżała z twarzą zakopaną w śniegu, nad nią stał, szczerząc zęby, mąż, aż nagle usłyszała, że płacz dziecka ucichł. Zerwała się przerażona, podbiegła do córki i zaczęła nią potrząsać, żeby ta ponownie zaczęła płakać. Oczy Nazi pozostawały jednak zamknięte i dziecko nie wydawało z siebie żadnego głosu. Matka przyłożyła ucho do małej poranionej piersi i usłyszała serce bijące tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej do jej ucha, by podzielić się jakąś tajemnicą. I ona zamknęła oczy, ale po chwili położyła filigranowe umierające niemowlę na ramieniu i umknęła chyłkiem niczym żałobnica w ślad za ujadającymi w oddali psami.

Soltana Zafarollah snuła Nazi swą opowieść, a jej oczy przybierały daleki wyraz. Powiadała, że dziewczynka zawdzięcza życie niemej Szarafat, której mądrość samotnego bytowania i rady płynące z melancholijnej natury wydobyły Nazi z choroby, aż urosła, osiągając sto czterdzieści centymetrów wzrostu. Niema

Szarafat była znawczynią kabały i umiała wróżyć z chmur, ale nie korzystała często ze swojej wiedzy. Sporadycznie rozmawiała z mieszkańcami wsi, przez większość czasu ukrywając się w swojej pomiętej duszy. Już za czasów panieństwa nie była zbyt gadułą, ale milczenie ryb przyswoiła sobie dopiero po wyjściu za mąż za Pachnącego Jaakowa, handlarza perfum i kosmetyków, który w małym sklepiku na targu sprzedawał także uzdrowicielskie kamienie i kryształy. Co wieczór wracał do domu w Zaułku Migdałowców z woskami i owłosioną klatką piersiową pachnącymi kobiecymi perfumami niczym cudzołożnik. Gdy kładł się do łóżka, próbował zwabić żonę, ale wonności wzbudzały w niej zazdrość i podejrzenia. Odwracała się do niego plecami i leżała tak, dopóki nie dał za wygraną i nie zasnął. Dopiero wtedy Szarafat obracała się w jego stronę, przykładając ucho do jego ucha i słuchając szmeru jego snów, zgrzytała zębami do rana.

Z wielkiej udręki Szarafat zaciskała zęby tak mocno, jak gdyby chciała zmiażdżyć nimi własną wściekłość, aż w końcu się połamały i pokruszyły, a ona wypłuła je jak resztki jedzenia. Zostały tylko gołe dziąsła, a opróżnione usta zwarły się jak u staruszki. Soltana mówiła, że Szarafat wraz z uzębieniem straciła również rozsądek, a żeby nikt nie widział, co wyrządziła samej sobie z powodu zazdrości, zamknęła puste usta i stała się niemową. Ponieważ jadła tylko papki dla niemowląt, schudła i zbrzydła, a pachnący mąż zaczął ją zdradzać z młodymi muzułmankami, które przychodziły namaszczać się wonnymi mazidłami i kupować kamienie szlachetne do srebrnych pierścieni.

W ową noc, gdy matka Nazi pojawiła się na progu jej domu, czerwona od gęsiej krwi, z konającą córką na rękach, niema Szarafat rozwarła wargi po raz pierwszy od wielu lat. Z jej ust doleciała przykra woń zgnilizny, a z gardła zaczęły wydobywać się ciężkie i nieczyste sylaby. Słowa jednak brzmiały wyraźnie.

– Idź stąd – zatrzasnęła Mahasti drzwi przed nosem.

– Otwórz mi! Na litość boską, otwórz! – Mahasti waliła w drewno pięściami.

Wołania matki były głośnie i uporczywe, toteż Szarafat wyszła, aby ją uciszyć przesywającym spojrzeniem. Mąż spał mocno, wyliczając we śnie imiona kobiet, z którymi kochał się w sklepie, i aby nie zbudził go hałas, Szarafat wciągnęła Mahasti z córką do domu. W powietrzu unosiła się dziwna mieszanina zapachów perfum i kadzideł, a na zakurzonych półkach stały słoiki z opium i ludzkimi embrionami zakonserwowanymi w mglistym płynie.

Ze zgaszonym spojrzeniem i zaciśniętymi ustami Szarafat wzięła Nazi od matki, rozłożyła w milczeniu prześcieradło na dywanie i rozebrała dziecko. Mahasti pochyliła się nad golusieńkim ciałkiem i delikatnie masowała zakażoną skórę. Szarafat wyjęła ze słoika chropowate pestki brzoskwini, rozłupała je pięścią i prażyła na ogniu. Następnie wyjęła z nich nasionka i rozgniotła małym moździerzem do przypraw. Pokój wypełnił się mocnym aromatem kwitnących owoców. Rozdrobnione nasiona zmieszała z jaśminowym olejkiem wydobywym

z jednej z butelek męża i całymi dłońmi nałożyła gęstą maź na chudziutkie ciało dziecka, starannie nacierając i nawilżając skórę wonnym olejkiem i zbliżając go ostrożnie do pęcherzyków. Kiedy wytarła watą wydzielinę, Nazi wydeła wargi i zaczęła znowu płakać. Gorączka rozgrzewała lśniący na skórze olejek i sprawiała, że brzoskwiniowa maź fermentowała. Z oczu Mahasti popłynęły gorące łzy. Tymczasem Szarafat starannie ozdobiła twarz dziewczynki, jak gdyby malowała obraz. Naniosła jej na usta żywą czerwoną szminkę, na powieki cienie, rysując na nich niebieską kreskę, a policzki rozświetliła kurkumą.

– Jak dziewicza panna młoda – wyszeptła niema Szarafat do matki, która wpatrywała się w córkę, jakby śniła. Choć głos był łamliwy jak gałązka, obudził śpiącego męża. Wyrwany ze snu o dziewczętach z targu, przywędrował osłupiały do pokoju w kraciastej koszuli nocnej, płonąc dawną miłością ku żonie, której usta ponownie się otworzyły. Szarafat wypędziła go delikatnym ruchem dłoni do łóżka, jakby wyganiała lunatyka, i ubrała Nazi w maleńką białą koszulę. Napinając się, przybrała skupiony wyraz twarzy i ostrożnie rozdarła wzdłuż szwu kołnierzyk. Serce Mahasti zadrżało, bo wiedziała, że Szarafat przestawała z diabłami bardziej niż ktokolwiek inny z mieszkańców wsi, i przez chwilę obawiała się, że rozerwanie materiału utoruje im drogę do duszy Nazi.

– Teraz – odezwała się Szarafat, a słowa syczały jej w ustach jak rozżarzone węgle – zostaw ją u mnie i idź do męża rodzić mu synów.

– A co ty z nią zrobisz, co? Co z nią zrobisz, Szarafat? – wyjąkała młoda matka, jak gdyby i jej usta były nieprzywykłe do mowy, i zwróciła wzrok ku córce przebranej za maleńką dziwkę.

Jeśli dzieci diabłów zapragną jej do swoich igraszek, wyjaśniała niema Szarafat, od wartkiej mowy tracąc dech, ukąszą ją skorpiony i pokłują jeże, a ona umrze. Ale jeśli jej nie zechcą, Nazi zostanie znaleziona rano w nienagannie zszytej sukience poplamionej krwią z czarcich palców. Wtedy wyzdrowieje, urośnie i będzie zdrową i szczęśliwą *kuczek-madar* jak wszystkie dziewczynki.

Gdy Mahasti usłyszała, że córeczka ma spędzić noc, leżąc na plecach w wapiennym dole pełnym żółtych skorpionów i jeży o spiczastych nosach, skoczyła na równe nogi jak oparzona. Porwała ją z dywanu, zdarła z niej białą koszulkę, splunęła do dłoni i wycierając pomalowaną twarz, starała się zmasać wyraziste kolory i złe duchy, które zdążyły już przywrzeć do maleńkiego lica. Ślina matki mieszała się z czerwoną szminką, z cieniami do powiek, kurkumą i niebieskim mazidłem, i popłynęła do ran na skórze Nazi.

Szarafat próbowała coś powiedzieć, ale Mahasti nie zamierzała zawrzeć przymierza z wiejskimi czartami. Ponownie położyła niemowlę na ramieniu i wyszła z domu, nie wiedząc, co dalej począć. Cykanie świerszczy rozbrzmiewało jej w uszach, okna w domach były pozamykane i ciemne, a ona biegła rozpaczliwie po uliczkach, wykrzykując:

– Moja córeczka, moja córeczka! Boże, zabij mnie i daj życie mojej córeczce! – Samotność i łzy przesłaniały jej oczy, aż w końcu potknęła się i upadła.

Niema Szarafat z suchym, białym językiem i z zatłuszczonymi rękami pachnącymi jaśminem i kwitnącymi brzoskwiniami ruszyła za nieszczęsną matką, zabrała od niej maleństwo i zaprowadziła z powrotem do domu. Po zabandażowaniu krwawiących stóp Mahasti czystymi paskami juty kobieta zaproponowała alternatywny sposób leczenia, tak by Nazi mogła w pełni wyzdrowieć, urosnąć, wyjść za mąż i mieć dzieci.

O świcie zgnębiona matka, powłócząc poobijanymi nogami, ponownie udała się do domu z suszonej cegły niemej Szarafat. Jedną ręką przytrzymywała córkę, w drugiej niosła kosz na ryby wypełniony po brzegi znoszonymi skórzanymi sandałami i podartymi filcowymi pantoflami. Na rozkaz wieszczki chodziła od domu do domu ze wzrokiem wbitym w czubki palców, zbierając niczym żebraczka buty od ludzi – męskie, damskie, dziecięce, w większości pojedyncze, bez pary. Wszystkie razem ważyły w przybliżeniu tyle co kości Nazi. Szarafat położyła kaszlące maleństwo na wadze i poklepała lekko gałązkami ruty po ranach na jej skórze, aby intensywna woń rośliny przegoniła diabły i duchy siedzące z dzieckiem na szali dla zmylenia wagi. Gdy liście zakryły prawie całkiem niemowlę, Szarafat zaczęła kolejno wyciągać z kosza buty i stawiać je na przeciwnej szali. Kiedy szale się zrównoważyły, zasłoniła bezzębne usta, mówiąc do Mahasti:

– Weź córkę i idź spać, bo życie dziecka zostało ocalone i nikt nie chce ci go zabrać.

^[7] *Sabziforusz* – może występować zarówno jako określenie zawodu (handlarz świeżymi ziołami), jak i nazwisko. Tutaj – określenie zawodu.

11.

Gdy Nazi miała pięć lat i ważyła piętnaście kilo – tyle samo co kawałek mięsa, który gospodynie Omridżanu kupowały na wielką świąteczną ucztę – jej rodzice zmarli na skutek zatrucia pokarmowego, a bliźniaczy brat ojca przekonał Miriam-chanum, aby przygarnąć sierotkę do siebie. Do ciotki dziewczynka zwracała się *amme bozorg* – czcigodna ciociu, ale wuja nazywała tatą, bo przypominał jej z twarzy ojca. Ogromnie tęskniła za matką. Kiedy tylko mąż Miriam-chanum spostrzegł, że trójkątnie oblicze Nazi przybiera smutny wyraz, chwycił jej ostry podbródek i potrząsał nim z miłością, aż bratanica zaczynała się uśmiechać, a następnie szczypał go, jakby próbował oderwać czubek wywróconego do góry nogami trójkąta. Na koniec, puszczając podbródek, całował z głośnym cmoknięciem koniuszki swoich palców.

Gdy Nazi miała sześć lat, Flora oznajmiła jej:

– Idź stąd, to nie jest twój dom, to nie twoja mama, to nie twój tata, idź stąd!
– Słyszac to, Musa zachrypniętym głosem dorastającego chłopca nakazał siostrze się zamknąć.

W roku wielkiej suszy, gdy Nazi miała siedem lat i nie wiedziała jeszcze, że przeznaczono ją na żonę Musy, chłopak poszedł pewnego ranka do opustoszałego kurnika muzułmańskiego hodowcy drobiu i ukradł jedno jedyne jajo, które świeciło ku niemu jak białe, owalne słońce. Tamtego roku wszystkie zbiorniki wodne uległy zniszczeniu, jeziora wyschły, a stawy rybne zanikły. Na dnice kanałów otaczających wieś w promieniach prażącego słońca migotały srebrne monety, które przez lata wypadały dzieciom z rąk. Nawet słone jeziora w dolinach stały się oślepiającymi białą solniskami, doprowadzającymi do rozpaczy głodnych i spragnionych.

W owym czasie pojawiło się całkiem sporo oszustów, którzy przechodzili po kolei na chrześcijaństwo, islam i judaizm, aby otrzymać jedzenie, ubrania i pieniądze. Wypróbowałszy już wszystkich wyznań, włóczyli się wygłodzeni po uliczkach. Wielu mieszkańców okolicznych wsi przeniósł się tamtego roku do Szahrudu i Babolu w poszukiwaniu pracy w przemyśle jedwabniczym, ale w końcu i ten upadł po wymarciu jedwabników, a przędzalnie ograniczyły się do tkania bawełny i lnu.

Podczas klęski głodu diabły Omridżanu nie rozpieszczały wiejskich gospodyń podwójnymi i potrójnymi żółtkami w kurzych jajach. Prawie wszystkie kury zdechły z głodu i pragnienia, a ich grzebienie zrobiły się niebieskie od rozpaczliwego gdakania za wodą. Nieliczne jajka znajdujące się na wioskowych straganach sprowadzono z za morza, niczym olbrzymie perły otulone w kłębki bawełny. Kupcy sprzedawali je rybakom, a ci wędrownym handlarzom, a kiedy trafiały na drobiowe stragany w Omridżanie, w większości były już cuchnące czy

popękane i kosztowały tyle, co młoda kura w roku pełnym obfitości. Jedynie zamożni ludzie mogli obchodzić sięgające swoimi korzeniami czasów zaratusztriańskich święto Nouruzu, z którym wiązało się wierzenie, że świat spoczywa na rogach byka, przekładającego go sobie co roku z jednego rogu na drugi. Na środku obrusu rozłożonego na dywanie kładziono lustro, a na nim tyle jajek, ilu biesiadników, i w momencie narodzin nowego roku, gdy byk przerzucał świat z jednego rogu na drugi, z domu bogaczy dochodziły entuzjastyczne krzyki i dane im było zobaczyć jajka trzęsące się przez moment na lustrze wraz z całym światem.

Gdy Musa pędził do domu przez bazar, napotkał snujących się ludzi z wymalowaną na twarzy rozpaczą. Kupcy nie wychwalali śpiewem swoich towarów, ale znużeni machali brzoźowymi miotłami, odganiając muchy, i błagali głodnych klientów, aby sami wrzucali sobie towary do podniesionych płaszczy i czadorów. Mieszkańcy wsi przetrząsali góry zgniłych pogniecionych warzyw, wachali ze wstrętem usypane w sterty ryby z rozdziawionymi pyskami i uporczywie wpatrywali się w wychudzone zwierzęta i ptactwo zawieszane na hakach.

Przygnawszy do rodzinnego domu, Musa trząśł się z podekscytowania jak początkujący złodziej i z trudem łapiąc zgrzytliwy oddech, nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Nazi chciała pójść zrobić mu napar z kwiatów jaśminu, ale on chwycił ją za ramię i ułożył ręce tak, że przypominały małe ptasie gniazdko. Rozejrzał się dokoła, by upewnić się, że nikt ich nie widzi, i czarnymi spoconymi palcami, które drżąc, omal nie rozgniotły cieniutkiej skorupki, wsunął jajko w dłoń dziewczynki. Na widok drogocennego okazu jaśniejącego bielą w półmroku kuchni zabłyszczały Nazi oczy. Musa splótł palce, przykrywając nimi dłońe Nazi, i razem wymknęli się bez słowa za dom, a następnie ukryli w krzakach rozmarynu i mirtu. Niebieskie kwiaty rozmarynu spadały im na włosy, woń mirtu wypełniała nozdrza, a odbicie jajka w ich czarnych oczach było niczym biała źrenica.

– Daj mi jeszcze raz je potrzymać – poprosiła Nazi po tym, jak przez dłuższy czas stali i przyglądali mu się w milczeniu.

Musa przetoczył jajko z powrotem do Nazi, a ona zakryła je w dłoniach. Raz po raz przenosili je z czarnego posłania jego palców do ciepłej kryjówki jej rąk, przywierając do siebie jak rodzeństwo z powodu wielkiej rozkosznej tajemnicy. Potem postanowili zakopać swój skarb w piaszczystej ziemi pod granatowcem, śnić w nocy o jajkach na miękko i na twardo i zjeść je dopiero następnego dnia. Zdecydowali też nie mówić o nim nikomu, nawet Florze.

Nazajutrz rano, gdy Miriam-chanum po wyjściu męża do wyludnionego sklepu drobiarskiego rozciągnęła się w łóżku po jego stronie, Homa przewróciła się na wznak, Flora na bok, a Mani dzun chrapała w swoim kąciку, Musa i Nazi

wydobyli jajko z ukrycia, obmyli z ziemi granatowca i zachwyceni tańczyli wokół niego w podskokach. Nazi zagotowała wodę na piecu, tak jak robiła co rano, i ostrożnie włożyła do niej drogocenną zdobycz. Musa przypatrywał się przez jej ramię, a jego pryszczata twarz odbijała się w miedzianym garnku. Po ścięciu białka i ugotowaniu żółtka, jajko tańczyło w garnku, uderzając o ścianki, a dokoła niego pląsały radośnie bąbelki wody.

Chłopak ostrożnie je obrał i przekroił na pół, a kiedy ukazało się żółte jak południowe słońce żółtko, westchnął charkotliwie z przejęcia. Przełknął ślinę i nakazał poważnym głosem:

– Podaj mi sól, Nazi.

Nazi wykonała jego polecenie i kiedy przyniosła miseczkę z migoczącą solą, zamigotał jej również w głowie pomysł.

– Nasyp dużo soli, to będziemy mieć więcej i starczy dla nas obojga – powiedziała. Palce stóp podrygiwały jej w filcowych pantoflach, a w ustach zaczęła zbierać się ślina.

Musa od razu usłuchał jej rady, wziął w palce szczyptę soli i rozsypał ją, potem rozsypał jeszcze jedną, a potem jeszcze jedną, próbując powiększyć objętość upragnionego jaja. Warstwa soli była tak gruba, że połówki żółtka stały się białe jak księżyc w pełni, a oczy dzieci świeciły jak cztery słońca.

Chłopak pochłoniął swoją połówkę w całości i natychmiast wyrzucił z siebie ze wstrętem, zwymiotowawszy wszystko, co zjadł zeszłej nocy. Nazi głaskała go po plecach, muskając palcami kręgi szyjne, docierając aż do kości ogonowej. Następnie nalala mu szklankę herbaty z samowara, dodając liści mięty i nabatu – bryłek skryształizowanego cukru ułatwiających trawienie, po czym wymieszała napój, aż stał się przejrzysty. Gdy Musa go wypił i poczuł się lepiej, poszli ponownie ukryć drugą połówkę jajka pod granatowcem. Od czasów tej wielkiej suszy Musa nie lubił już doprawiać swoich południowych omletów solą, zadowolając się odrobiną pieprzu i kuminu. A kiedy Nazi posypywała iskrzącymi ziarenkami soli wilgotny bób, serce przepelniała mu miłość i śmiech.

Spod wełnianego koca Nazi mogła dosłyszeć, że Miriam-chanum robi Florze herbatę z liści mięty i z nabatem. Łyzeczka, mieszając, brzęczała w szklance jak rozbrzmiewające serce dzwonu. Ciotka dodała do napoju zebraną do pucharu ślinę zazdrosnych sąsiadów i raz jeszcze starannie wszystko wymieszała, zatapiając białą pianę w czarnej herbacie. Zanim posłała Florę do łóżka, dała jej gałązkę rozmarynu, którą nakazała włożyć pod poduszkę, nazywając ją „rajską miotłą”. Zgodnie z wierzeniem starych kobiet gałązki rozmarynu wymiatają z ciała smutek, aż dusza staje się czysta jak dusze spoczywających w raju. Nazi pomyślała, że Flora nie potrzebuje rozmarynu pod głową, ale wymycia w wodzie z mydłem, bo

wchodząc do pokoju, przyniosła ze sobą nieprzyjemny zapach zwymiotowanego arbuza, a włosy lśniły jej w ciemności, jakby padał na nie deszcz. Skuliła się na materacu obok Nazi i szlochała cicho jak mała dziewczynka, dopóki nie zasnęła.

Nawet przez sen z piersi Flory wydobywało się ciche łkanie, które rozbrzmiewało i gasło jak wiatr za oknem. Policzki miała pucułowate, jak gdyby wypchała je prowiantem na zbliżającą się daleką podróż, a wokół spuchniętych zamkniętych oczu jawiły się sine kręgi.

Nazi odsunęła twarz od ściany, bo głosy domowników odbijały się echem od kamieni i wdzierały przez warstwy gliny, która była pomiędzy nimi. Wyobraziła sobie głuchy dźwięk słów schodzący powoli przez fundamenty domu do wnętrza ziemi, zanurzający się w studniach, podnoszony znów w wiadrach i wypełniający usta ludzi spożywających herbatę czy zupę. Głosy nie dawały jej spokoju niczym widok Szahnaz Tamizi uśmiechającej się w sklepie do Musy. Bardziej jednak Nazi martwiła się diabłami bawiącymi się perfidnie dzieckiem w łonie Flory. Aby je udobruchać, głaskała zaokrąglony brzuch kuzynki, który w ciemności wyglądał niczym olbrzymi garb, prosząc je o wybaczenie: „*Parhiz... parhiz... parhiz...*”

Następnie zwinęła się w kłębek pod wełnianym kocem, próbując stać się jak najmniejsza, bo bardzo tęskniła za matką. Czowała, jakby miała w brzuchu ciernistą płataninę niczym ptasie gniazdo pełne pomieszanych ze sobą gałązek i nici, liści i piór. Krótkie nóżki podciągnęła do piersi i trzymając kciukiem oraz palcem wskazującym kolczyki w uszach, suchymi ustami odmawiała modlitwę, akcentując każdą sylabę. Złote kolczyki – parę podłużnych ryb z wybitą na ogonie maleńką monetą przedstawiającą podobiznę szacha Mohammada Rezy Pahlawiego z napierśnikiem z szylkretu – dostała od Miriam-chanum w dniu, w którym ta uczyła ją przyrządzać *gormesabzi*, zimową potrawę z jagnięciny, wyjątkowo lubianą przez ojca Flory. Ledwie spadł pierwszy jesienny deszcz, a on już rozprawiał z tęsknotą o jej kwaskowatym smaku.

Kiedy cytryny, świeże zioła *sabzi* i mięso gotowały się na rozżarzonych węglach, a z komina wydobywał się dym i cudowne wonie, Miriam-chanum podgrzała na ogniu igłę, nawlekła na nią białą lnianą nić i zawiązała na węzeł.

– Teraz zamknij oczy – poleciła Nazi. – Dołożę jeden składnik do garnka, ale jesteś jeszcze za mała, żeby to zobaczyć.

Nazi posłusznie zasłoniła sobie dłońmi oczy. Próbuując z zaciekawieniem wywęszyć nową tajemniczą przyprawę, poczuła zapach cytrynowej skórki pod paznokciami. Miriam-chanum wyszeptała słodko do dziewczynki, że w poranek jej ślubu odgarnie jej włosy z ucha i ujawni, co dodała do potrawy. A wtedy wbiła igłę w płatek ucha z taką siłą, jakby zszywała grubą tkaninę.

Nazi ugryzła się z bólu w język, gdy Miriam-chanum przekłuła drugie ucho i przeprowadziła przez dziurkę lnianą nitkę. Uszy zaczęły obficie krwawić jak krany samowarów, a nitki poczerwieniały. Zapomniana potrawa zagotowała się

i skwaśniała, a Nazi płonęła z gorączki. Przeszyte płatki uszu spuchły, przypominały niełuskane orzechy laskowe i wypełniały się ropą. Dopiero po wielu dniach ogłuszającego bólu, podczas których była leczona lodowatą wodą i liśćmi mięty, udało się rozwiązać nitkę, która za mocno się zaplątała. Wysuszoną ropę z uszu przechowywano w słoiku, a do wyleczonych dziurek Miriam-chanum włożyła wreszcie symbolizujące płodność rybnie kolczyki. Mimo to wszystkie kobiety we wsi, wiedząc, że Nazicze nie dostała jeszcze pierwszej miesiączki, drwiły z dyndających w jej uszach złotych rybek, a panny chichotały i kręciły tyłkami przed wygłodniałymi oczami Musy.

Nie mogąc zasnąć, Nazi odmówiła raz jeszcze wieczorną modlitwę, wolniej i wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem, by Bóg dosłyszał ją zza szumu kołyszących się na wietrze migdałowców i wycia diabłów świętujących narodziny nowego potomka. Białe zęby Szahnaz Tamizi, jaśniejące w mrokach masarni, migotały Nazi przed oczami, gdy leżała pod wełnianym kocem. Nadal trzymała w palcach kolczyki, by pokazać Bogu, czego dokładnie od Niego chce – niech sprawi, że spomiędzy nóg wypłynie jej krew, aby mogła poślubić kuzyna Musę.

12.

Odkąd rozeszła się po wsi pogłoska, że w angielskim szpitalu muzułmańskie pielęgniarki porywają żydowskie noworodki, chowają je niczym zawiniątka brudnych rzeczy w koszach na pranie i wyprowadzają potajemnie ze szpitala, mieszkanki Dżubare, zwyczajem swoich matek, zaczęły rodzić w domach.

Gdy zaczynały się bóle porodowe, kładziono kobietę na dywanie u rodziców. Wysyłano jedno dziecko po drobny piasek, aby wchłonął krew z dywanu, a drugie po głuchą akuszerkę Zolejchę. Po jej przybyciu do domu wchodziły wszystkie sąsiadki.

Rodząca kobieta napierała piętami na kamienny stołek porodowy z uniesionymi do góry pośladkami, matka i siostry pocące się równie mocno jak ona podtrzymywały ją, chroniąc przed upadkiem, a ta mogła obrzucać wyzwiskami męża, ile tylko dusza zapagnie. Zolejcha wiedziała, kiedy przyciskać kolanem pękaty brzuch, umiejscawiając je na odległość pięści od pępka, aby wyszła główka dziecka. Jeśli kobieta daremnie wiła się w bólach wiele godzin, akuszerka oznajmiała jej, że diabły wzywają ją niezwłocznie, aby pomogła przyjść na świat ich dzieciom. Zdejmowała fartuch, jakby zbierała się do wyjścia, i chowała za drzwiami z pozostałymi kobietami. Przerażona dziewczyna pozostawiona sama w pokoju wydzierała się jeszcze głośniejsze, przyspieszając poród, a kiedy zaczynała wylaniać się główka, akuszerka wracała do niej i wyjmowała z łona noworodka.

Już w momencie, gdy ukazywała się jego łysa główka, a reszta ciała nie wydostała się jeszcze na zewnątrz, akuszerka ogłaszała płęć maleństwa, bez konieczności zagłądania mu między nogi. Jeśli dziecko rodziło się z twarzą zwróconą do góry i otwartymi dociekliwymi oczkami, wiedziała, że to chłopiec. I jeszcze zanim wynurzyło się spomiędzy ud matki ciało z mikroskopijnym sterczącym członkiem, niewiasta powiadamiała radosnym śpiewem o przygotowaniach do obrzędu obrzezania.

– Idźcie na targ – śpiewała donośnie – zarżnijcie krowę, wyprujcie wnętrzności i posypcie solą krew... la la la... la la la..., bo narodził się syn... Wypchajcie wnętrzności ryżem i orzeszkami piniowymi, zaszyjcie igłą i podajcie... la la la... la la la..., bo narodził się syn.

Kobiety siedzące w sąsiednim pokoju, słysząc „Pieśń Chłopców”, przyłączały się do śpiewu i wylegały na uliczki Dżubare, aby wypełnić tryumfalnym skowyt wioskę, ogłosić narodziny chłopca i wychwalać radosną melodią przymioty ojca. Niekiedy szczęście matki słyszacej śpiew było tak wielkie, że z podniecenia podskakiwało jej do płuc łożysko i umierała przez uduszenie. Dlatego też Zolejcha zgodnie z obyczajem przekłuwała jego cienką błonę rozgrzaną igłą, kiedy było jeszcze w ciele kobiety, nie czekając, aż zostanie

wydalone naturalną drogą. Gęstą ciemną wydzieliną z łożyska zakreślała kręgi na czole i policzkach bezpłodnych nieszczęśnic.

Ale gdy płód wyłaniał się z łona matki z twarzą skierowaną ku ziemi, wystawiając kark do akuszerki, wiedziała, że na świat przyszła jeszcze jedna dziewczynka. Jeszcze zanim wzięła wilgotne niemowlę na ręce, zaokrągliła usta, zasłaniając je dłońmi, i wydobywała z siebie niekończący się, przeszywający jęk: „Uuu...” Kiedy sąsiadki z przyłożonym uchem do drzwi słyszały dochodzące z pokoju wycie szakala, naśladowały położną i zwijając dłonie w trąbkę, przyłączały się do oplakiwania biednej matki, która urodziła córkę.

Podobnie przy narodzinach Nazi wystarczyło, że głucha Zolejcha zobaczyła wynurzającą się maleńką główkę, aby zrozumieć, że rodzi się dziewczynka, i wydała z siebie niewieści lament. Mahasti słyszała już ten dźwięk cztery razy i za każdym razem ucichał po krótkiej chwili, bo dziewczynki rodziły się martwe.

Mahasti nie musiała jednak słyszeć zawodzenia Zolejchy, aby wiedzieć, że urodziła córkę. Domyślała się, że nie nosi pod sercem syna za każdym razem, gdy odkrywała, że jest w ciąży. Złe przecucie przepelniało ją już wcześniej czterokrotnie i tym razem zdecydowana była opróżnić macicę, zanim brzuch się zaokrągli i zacznie przypominać wykopane przez mrówki mrowisko, i zanim ciąża wyjdzie na jaw.

Gdy płód miał trzy miesiące, matka okrążyła Omridzan siedem razy, jak ktoś kto goni ogon przebiegłego czarta, i kiedy wyczerpana i zlana potem wróciła do domu w Zaułku Migdałowców, wypila cały dzban octu jabłkowego.

Soltana Zafarollah głaskała zachmurzoną twarz Nazi, prosząc, by nigdy nie wątpiła w miłość matki. Serce Mahasti było już znużone groźbami męża. Przysiągł, że jeśli urodzi mu jeszcze jedną córkę, żywą bądź martwą, to zabije ją i znajdzie sobie nową posłuszną żonę, której brzuch będzie mocny i błogosławiony, i ta urodzi mu synów.

– Ty jesteś inna, *azizam* – powiedziała Soltana do Nazi. – Nie jesteś jak Flora. Ona jest jak jajko na miękko, ty jesteś jak jajko na twardo. Trzymałaś się ścian macicy matki i nie wysliznęłaś na zewnątrz nawet wtedy, gdy sturlała się po mokrych schodach łaźni, niech nas Bóg uchowa, na samą ziemię.

Gdy Mahasti podniosła się, majtki miała suche i nie wypadł do nich płód. Upór nienarodzonego dziecka dał jej pewność. Gdyby to był chłopiec, nie trzymałby się tak kurczowo życia i dawno temu wyleciałby do kloaki. Czas gnał nieubłaganie, brzuch mógł w każdej chwili rozepchać ubrania i ukazać się oczom ojca Nazi. Kobieta udała się więc do męża Fattane Delkaszt i poprosiła, by wyrwał długie pióro z ogona największego z pawi. Uszy Fattane poczerwieniały, bo pojęła zamiar Mahasti, i od razu opowiedziała o nim siostrze. Ciężarna zanurzyła pióro

w butelce wypełnionej do połowy arakiem, aż z niebieskiego stało się czarne, zielone oka zrobiły się niebieskie, a srebrne plamki zzieleniały. Gdy pióro nasiąkło całkiem alkoholem, a od mocnej woni anyżu kręciło jej się w głowie, Mahasti przypomniała sobie odległy dzień ślubu i cicho załkała.

Przykucnęła na dywanie, a następnie położyła się na plecach z rozchyłonymi udami i poluzowała pasek w sukience, zawiązany wcześniej mocno na pępku w celu uduszenia dziecka. Podciągnęła do góry halkę, odsłaniając rozwarte łono. Okiennice były pozamykane, a uwięziony w pokoju żółty motyl trzepotał w półmroku skrzydłami jak zbłąkana dusza, przyglądając się jej czynom. Mahasti naciskała na zaokrąglony brzuch, próbując dostrzec zza niego czerwoną dziurkę między nogami. Uniosła je, drżące z przerażenia, wysoko do góry i wyciągnęła narzędzie zbrodni z butelki z arakiem. Trzymając je za koniuszek niczym odwrócone gęsie pióro, wpychała je do ciała, aż poczuła, jak cieniutkie włoski laskoczą szyję i nos kształtującej się dziewczynki. Jedną ręką obracała pióro, a drugą mąciła krew, która lała się na uda, tworząc czerwoną kałużę na dywanie. Następnie zakrwawionymi palcami posmarowała sobie całe ciało, twarz i włosy, po czym straciła przytomność.

Gdy Miriam-chanum i sąsiadki znalazły ją całą w posoce, nie wiedziały, jakie było źródło krwotoku. Szukały rany na głowie, zanurzyły ścierkę w zimnej wodzie i umyły Mahasti twarz, przeczesały włosy w poszukiwaniu skaleczeń. Wykręciły szmatkę i wytarły nią plecy i pęczniejący brzuch. A wtedy, gdy odwróciły kobietę z powrotem na wznak, spostrzegły wystający pomiędzy nogami jak czerwona flaga koniuszek pawiego pióra.

Zbrodnia Mahasti wyszła na jaw i wszyscy mieszkańcy wsi mówili o jej nikczemności, litując się nad biednym mężczyzną, którego żona usiłuje zgładzić dzieci. Mahasti otuliła się milczeniem, które było interpretowane na różne sposoby. Codziennie uczony doktor, syn Ormianki Dżandżan, przykładał stetoskop do jej brzucha i przybierał poważną minę z powodu tego, co słyszał. Nie pozwalał kobiecie wstawać z łóżka, chyba że jej dom stanąłby w płomieniach. Ale zawsze, gdy Mahasti zauważała dym unoszący się z komina sąsiadki Goli Pesar-zaide – rodzicielki chłopców, wstawała po cichu, wymykała się na zewnątrz i ukradkiem zaglądała przez okno szczęśliwej matki.

Mahasti podglądała sąsiadkę nie z powodu szykowanych przez nią wyjątkowo smacznych potraw ani z racji ciężowych zachcianek i szalejącego apetytu. Goli Pesar-zaide urodziła potajemnie w domu sześciu synów, za drzwiami, które zaryglowywała, i za okiennicami, które zatrzaskiwała, gdy pojawiały się bóle porodowe. Wydała ich na świat spokojna i opanowana bez akuszerki, przekleństw i chóru zawistnych kobiet. Przed wyjściem z domu wpychała sobie pod sukienkę kłębek zwiniętych szmat, aby nikt się nie dowiedział, że już urodziła, i udając, że nadal jest w ciąży, opierała rękę na plecach, jakby odczuwała ciężar, i jęczała.

Rudowłosi synowie Goli o czerwonych policzkach przypominali zagląającej przez okno Mahasti olśniewające marchewki i dynie, a intensywna barwa rozniecała płonąca w sercu matki zmarłych dziewczynek zazdrość. Goli udawała, że nie zauważa wścibskiego spojrzenia sąsiadki, ale szeptem nakłaniała diabły, aby wyrządziły jej krzywdę. Gdy Mahasti wracała do domu, nie chciała jeść miodu, daktyli, masła i bananów, które wmuszała w nią Mani dzun, i przyrządzała sobie suchą pitę z bazylią, selerem i odrobiną ziemniaków opływających w tłuszczu, naśladowując posiłek, który widziała u Goli Pesar-zaide.

Nazi urodziła się w sobotę w upalne letnie popołudnie. W powietrzu unosił się zapach jajek twardniejących w garnkach z szabasowym czulentem, wzywający z dachu tych, którzy udali się tam w poszukiwaniu lekkiej bryzy. Żydowskie rodziny gromadziły się w domach, których chłodne ściany przynosiły im nieznaczną ulgę. Mężczyźni drzemali najedzeni z wąsami świecącymi od tłuszczu i ciałami opadającymi w nieładzie. Tylko ojciec Nazi nie spał. Zamknięty w swoim bezdzietnym domu modlił się do Boga, aby dał mu wreszcie syna. Dzieci z okolicy zaglądały przez okna, a kobiety wychodziły kolejno na Zaułek Migdałowców, niosąc w rękach garnki pełne węgla. Przymilnie prosiły przechodzących gojów o rozpalenie dla nich ognia. Gdy znalazł się chętny do pomocy żebrak, ustawiły garnki w rzędzie. Mężczyzna włożył do każdego rozżarzony węgielek, wachlując do momentu, aż zajęły się płomieniami, a gospodynie w tym czasie miały językami, rozprawiając o Mahasti, która zwijała się od bólów porodowych.

Gdy rozległ się lament kobiet, niesiony podmuchem gorącego wiatru, ojciec Nazi udał się do stajni za domem i położył na ziemi nawiezionej słomiastym obornikiem, skrywając głowę między worami z sianem i otrębami. Na górze koń zamiatał ogonem, tupiąc kopytami, a w pysku zbierała mu się biała piana. Kiedy przyszły sąsiadki, aby pocieszyć i poczęstować mężczyznę przyrządzonymi potrawami, ten odprawił je, rzucając przekleństwa.

Niewieści szloch rozchodził się po domach, rozpoczynając swą wędrówkę w Dżubare i docierając aż do placu targowego, do domu dziwki Mamu, którego drzwi były zielone, sufit niski, a na parapetach okiennych siedziały czarne kruki. Mamu posmarowała wyskubane brwi niebieską henną, związała drutem piersi i udała się do Zaułka Migdałowców. Za jej kołyszącym tyłkiem kroczyły dwie spośród dziewczynek, które kupiła tuż po urodzeniu od zawiedzionych ojców i wychowała u siebie w domu. Miały siedem lat, były pulchne prawie tak jak ona i miały w podobny sposób wyskubane, pomalowane na niebiesko brwi. Gdy zbliżały się do domu Mahasti, kobiety siedzące w oknach zaczęły cmokać i potrząsać głowami. Wychodząc przed drzwi, mówiły do siebie nawzajem:

– Lepiej dla tej małej byłoby teraz umrzeć i dołączyć do sióstr niż wyrosnąć

u Mamu na małą dziwkę, *wawejla*, biada, niech Bóg nas uchwowa...

Koń zarżał i zatupał, kiedy piersi Mamu wyskoczyły z dekoltu i wtargnęły do stajni, a zaraz za nimi jej umalowana twarz ociekająca potem. Dziwka rzuciła do nóg leżącego na brzuchu ojca płócienny worek wypełniony monetami. Worek uderzył o ziemię i rozległo się radosne metaliczne brzęczenie.

– Jeśli twoja biedna córeczka waży więcej niż półtora kilo – Mamu krzyknęła do ojca Nazi – to dam ci jeszcze jeden taki worek. Tylko nie próbuj uczyć starej Mamu, jak się robi interesy – zaśmiała się gromko jak grube kobiety i klepnęła w pośladek, jakby dowodziła swojej racji. – Ale jeśli waży mniej, zachowaj lepiej dziewczynkę dla siebie. Bóg mi świadkiem, nie potrzebuję chorobliwych żydowskich córek, żeby śmierdziały mi w domu. Nie mam co z nimi potem robić... – powiedziała, wskazując wzrokiem na stojące za nią siedmiolatki, aby zobaczył, jak są spalone i zdrowe, na wypadek gdyby miał ochotę pocieszyć się którąś z nich albo obiema naraz.

Ojciec Nazi wstał jednak i łamiącym się głosem człowieka, który oplakuje syna, poprosił dziwkę, aby sobie poszła i zostawiła go samego w nieszczęściu. Kobieta posłała mu przebiegły uśmiezek, przekonana, że udaje, by podnieść cenę, i ponownie zasugerowała mu, że może skorzystać z dziewczynek. Na to on wydał z siebie przeraźliwy krzyk, rzucając się na Mamu i jej podopieczne, bijąc, wyklinając i goniąc aż na skraj zaułka, a one uciekały w zakurzonych sukienkach, ze słomą we włosach i jaskrawoczerwonymi złamanymi paznokciami. Mężczyzna wrócił wzburzony do domu, przepędził swoją matkę Mani dzun i bratową Miriam-chanum znad łóżka żony, która leżała obolała i krwawiąca po porodzie, po czym ją zgwałcił.

13.

Homa była pulchniejsza od Flory, piersi miała nabrzmiąle z pożądania, a ręce silne i tęgie. Gdy posyłano ją w dzieciństwie zbierać drewno na rozpałkę, odłamywała całe gałęzie z drzew. Pewnego dnia, gdy dziewczynki były jeszcze małe, wspięły się na dach, przykucnęły i zaczęły robić siku. Dwa żółtawe strumyki zmieszały się, migocząc w promieniach słońca, popłynęły razem do rynny, brzmiając niczym zardzewiała muzyka tamburu, i wyciekły do cuchnącego ulicznego ścieku. Siostry wspięły się na palce i wykrzykiwały bzdury do okopconego komina, aby Nazi łuskająca groszek w kuchni pomyślała, że mówią do niej z pieca diabły.

– Na-zi... Na-zi... Na-zi... – niósł się echem dziwny głos z komina.

Sadza poczerzyła im ręce i oliwkową skórę twarzy. Rozwiązały sznurek od latawca, który Musa zrobił im z brązowego papieru do pakowania i z cienkich kijków.

Sznurek wyswobodził się z haczyka, latawiec ożył i wzbił się radośnie w niebo. Homa stanęła w rozkroku i zaczęła biec po dachu z wyciągniętymi do góry rękami, walcząc z wiatrem. Również wąż kolorowych wstążek, który przywiązał Musa do ogona latawca, droczył się z promieniami słońca, wijąc się i podskakując wesoło w górę i w dół, tak samo jak dwie siostry. Dziewczynki zasłaniały przedramieniem zmrużone oczy, z zachwytem przypatrując się spod łokcia latawcowi.

– Nazi, Nazi, ty głupolu, musisz tu przyjść, no chodź to zobaczyć, wychodź, Nazi! – krzyczała Flora do komina, a jej śmiech odbijał się długim echem.

Nazi porzuciła groszek i wyszła na zewnątrz, przewiązana w pasie fartuchem. Stojąc w cieniu domu, szukała ich na dachu, ale nie mogła niczego dostrzec. Plecami odwrócona do zagajnika migdałowców, z twarzą skierowaną ku niebu, kroczyła powoli do tyłu, aż kolorowy papierowy wąż śmignął jej przed oczami jak szalony. Nieco niżej zobaczyła Florę z poczerzianą twarzą, jak podskakuje z boku na bok, a potem Homę, jak trzyma sznurek, spogląda w dół i spada z dachu na ziemię.

Następnego dnia Musa wszedł na dach i zbudował niską balustradę z przepiłowanych i wyheblowanych drewnianych belek. Homa, leżąc w domu, słyszała młotek uderzający w zardzewiałe gwoździe, które Musa prostował i polerował. Dziewczynka pociała się pod grubym gipsem, założonym jej od pasa w dół przez specjalistę od nastawiania kości, i wrzeszczała, że zaraz oszaleje. Przez cały dzień aż do zapadnięcia zmroku czuła, jak chodzą jej po skórze roje kłujących mrówek, od uderzeń młotka pękała jej głowa, a ciało płonęło od gorącego lata. Wieczorem Musa zszedł na dół, aby się posilić, a Homa zasnęła.

Pod koniec lata przybył mąż Zolejchy, by zdjąć z nóg Homy przepocony

i poczerniały od tłuszczu gips, ale ciężko mu było go przepiłować, bo Homa bardzo przytyła. Ostre metalowe zęby drapały jej skórę, której oliwkowy odcień zbladł w czasie lata i stał się imbirowy. Gdy umilkł odgłos piłowania, a biały pył opadł na podłogę, Homa spróbowała swoich sił w chodzeniu. Wsunęła drżącą nogę w stronę rozpostartych ramion Miriam-chanum, która mruczała pod nosem: „Chodź, Homa, chodź”, ale druga noga załamała się pod nią, dziewczę padło na twarz jak małe dziecko i wybuchło gorzkim obrażonym płaczem. Miriam-chanum stała nad córką i patrzyła na jej nogi. Z nieruchomą twarzą otoczoną koroną warkoczy, z zaciśniętymi ustami i ostrym jak gwoździe spojrzeniem pochyliła się nad córką i głaskała ją delikatnie po twarzy. Widząc, że jej czuły dotyk działa kojąco na Homę, wzięła głęboki oddech i uderzyła obydwoma pięściami z całej siły w kości udowe córki, które nie zrosły się w gipsie tak jak trzeba. Chrup chrup chrup, trzasnęły złamane kości, a Homa zemdląła. Młotki w oczach Miriam-chanum ustąpiły miejsca łzom, natarła córkę żółtkiem, kurkumą i kuminem oraz owinęła jej nogi sitowiem i prześcieradłami. W takim stanie Homa pozostała w łóżku aż do końca zimy.

Od tamtego czasu Homa ciągnęła ułomną nogę jak niechciany balast, zostawiając za sobą tuman kurzu. Kalectwo przegoniło wszystkich zalotników i pozostawiło ją zgorzkniałą w rodzinnym domu aż do wieku czternastu lat, kiedy nie mając innego wyboru, wyswatano ją z wychudzonym i flegmatycznym synem Mahtab-chanum. Dziewczyna okładała rozkwitające i zaokrąglające się ciało młodszej siostry rękami, które znacznie pogrubiały, od kiedy stała się kaleką. Gdy koło domu przechodził obdarty żebrak Chaim, Homa wskazywała na niego palcem i krzyczała:

- Flora, Flora, idzie twój przyszły mąż.
- Nieprawda – mówiła urażona Flora, wychylając się przez okno.
- Prawda – Homa odpowiadała spokojnie, wpatrując się w paznokcie. – To ojciec twoich dzieci, idź i ładnie się dla niego ubierz!

Jej teściowa Mahtab-chanum miała najpiękniejszy głos we wsi. Śpiewała na wszystkich uroczystościach, ale zawsze trzeba ją było długo i namiętnie o to prosić. Jej ciało rozrosło się i promieniało, bo na każdej ceremonii, zarówno dużej, jak i małej, gospodarze szpikowali ją przysmakami, winem i komplementami, aby jej cudowny głos wydobył się z krągłości i wzbił do gwiazd. Kobieta przyszła pewnego dnia z wychudzonym i powolnym synem do Ratorianów i ucałowała po kolei wszystkich członków rodziny, jak gdyby byli dawno niewidzianymi krewnymi. Za pośrednictwem klarownej rymowanej piosenki poprosiła Miriam-chanum o rękę Flory, a jej syn, potencjalny pan młody, raz po raz przygrywał na flecie.

Nie zdążyła jeszcze wyśpiewać refrenu, gdy Miriam-chanum wyrwała młodzieńcowi z ust instrument. Ospale dźwięki rozpierzchły się w haszyszowym

i opiumowym dymie unoszącym się w pokoju, a usta chłopca pozostały rozdziawione. Oczy wzniosł ku matce, dolną wargę wywinął, zaokrąglając usta, jednocześnie podnosząc wstydliwie ramiona do uszu. A chociaż flet ucichł, Mahtab-chanum, z zamkniętymi oczami i rzęsami drżącymi z emocji, wciąż wychwalała urodę Flory, przeplatając pieśń wzmiankami o urokach syna.

– Dosyć – Miriam-chanum uniosła rękę nad głowę. – Słyszeliśmy, jak pięknie śpiewasz. – Wyjaśniła śpiewaczce, że nie odda jej Flory, bo córka zasługuje na lepszego narzeczonego, ale za to myśli, że jej syn będzie odpowiednią partią dla Homy.

– Też kulawej? – zapytała Mahtab-chanum.

Obejrzała uważnie Homę od stóp do głów, zerknęła na głupawy wyraz twarzy syna i przystała na propozycję Miriam-chanum. Ale ponieważ nie Homę ani jej kalectwo zaplanowała dla swojego dziecka, dręczyła ją i obrażała przy każdej sposobności. Posyłała dziewczynę deptać winogrona na ocet i wino, popychała, gdy ta niosła garnki z gorącą zupą, biła pięściami i kijami, a na uroczystościach rodzinnych zmuszała do tańczenia i zabawiania gości swoją ułomnością.

W poranek święta henny, dzień przed ślubem, kiedy matka pana młodego poddaje pannę młodą próbie *sabzi*, aby sprawdzić jej skromność i przymioty gospodyni, śpiew Mahtab-chanum był tak szyderczy, a spojrzenie jej sióstr tak mocno wbite w krzywą nogę, że Homa mało nie oblała egzaminu.

Przyszła żona musiała dowieść, że posiadała umiejętność mycia i siekania *sabzi*, świeżych ziół, sprzedawanych na bazarze przez Dżandżan. Nazi miała dziewięć lat, a Flora trzynaście, gdy radosne trele rozległy się wokół Homy, a jej pomalowane niebieskim ślubnym cieniem oczy otworzyły się szeroko z przestraszeniem. Krewne i mieszkanki wsi otoczyły ją kręgiem, tłocząc się i potrząsając piersiami, tańcząc w rozkroku, śmiejąc się i uderzając w bębni. Nazi i Flora przeciskały się na bosaka między nogami tancerek. Chichoczącą Florę kobiety wachały z rozkoszą, a Nazi beształy za to, że nadal nie wykiełkowały jej piersi. Mała emocjonowała się, jakby to ona, a nie Homa, miała wyjść za mąż za syna pieśniarki. Nie zwracała uwagi na złośliwości sąsiadek i uważnie się przyglądała, ucząc się i chłonąc wszystko, aby gdy nadejdzie jej czas, zdać własny egzamin *sabzi*.

Mahtab-chanum zdjęła z ramion Homy wielki czarny czador, przeplatany złotymi i srebrnymi nićmi z przyczepionymi do rogów dzwonkami i złożyła go na cztery części, tak aby wielkością pasował do głowy panny młodej. Powstałą apaszkę zawiązała pod karkiem Homy, wpychając pod nią czarne loki, aby nie zasłaniały brwi i nie spadały na oczy. Zaciśniętymi bladymi wargami pocałowała Homę w obydwie policzki, życząc jej swoim pięknym głosem powodzenia. Przy akompaniamencie radosnego śpiewu kobiet położyła przed nią tacę wypełnioną wiązkami selera, estragonu, szaławii, rozmarynu, mięty, pora i pietruszki. Panna

młoda usiadła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, a zielona górką z *sabzi* sięgnęła jej piersi.

Miriam-chanum masowała córce plecy, szepcząc, że wystarczą krzywe plecy i noga, nie może więc pozwolić, by troska wykrzywiła jej też piękną twarz. Niewiasta przyjrzała się uważnie zielonej stercie, bo gdyby była za wysoka, znaczyłoby to, że matka pana młodego nie jest zadowolona z synowej. Mahtab-chanum była jednak uczciwa i Miriam-chanum dała znak, by zacząć. Homa oddzieliła zwinnie łodygi od liści i korzeni selera, łodygi pora od bulw, szalwię od aromatycznych pączków i wszystko zanurzyła w wielkiej misce z wodą. Następnie opłukała też liście mięty, estragon i pietruszkę. Gdy piasek opadł na dno miski i ukazało się świetliste zielone *sabzi*, Homa oderwała pożąłkę, przywiędłe liście, a mieszkanki wsi dopingowały ją, wyśpiewując pieśni. Umyte zioła układała w małe kupki, ustawiane w rzędach. Nazi trzęsa się ze strachu i nie mogła oderwać wzroku od paznokci Homy. Ścisnęły jej się mięśnie brzucha, jak gdyby coś chwyciły, udaremniając temu upadek, i nawet Flora stłumiła śmiech, aby nie przyczynił się do porażki siostry.

Egzaminowana chwyciła teraz dobrze naostrzony nóż. Jego ostrze błyskało, a kobiety uciszały się wzajemnie. Nazi wiedziała, że czasami poddawane próbie panny młode kaleczą się z przejścia, niekiedy nawet odcinają sobie palec, oddają go swoim matkom na przechowanie i krwawiąc, kontynuują egzamin. Ale jeśli nie wyciekła ani jedna kropla krwi podczas próby, a zioła zostały drobno posiekane, gospodynie śpiewały i tańczyły wokół panny młodej, która tak świetnie nauczyła się rzemiosła w rodzicielskiej kuchni.

Tuż zanim niewiasty zaczęły płaszać na cześć panny młodej, Homa podniosła brodę znad przypraw, by zobaczyć pokrzepiający uśmiech matki, a wtedy nóż drasnął grzbiet jej dłoni. Przywykła do bólu, zdławiła go, zaciskając zęby, a krew spływała do żywej zieleni posiekanych ziół. Mahtab-chanum nie zauważyła skaleczenia, a Nazi i nieliczni, którzy je spostrzegli, milczeli. Dom wypełnił się radosnymi okrzykami i świeżym zapachem przypraw, a kiedy wrzucono je do garnka, ugotowano w oliwie razem z kawałkami cielęciny, ziarnami pszenicy i plasterkami buraka i podano gościom w wieczór henny, burak ukrył krwawiącą hańbę Homy.

Następnego dnia odbył się ślub Homy z synem Mahtab-chanum, a w tym samym czasie cierpiący na suchoty ojciec pana młodego pożegnał się z tym światem. Ciało miał chudsze od syna i wieczorem w dzień ślubu unosił się od niego zapach czosnku, octu i moczu. Gdy uroczystości dobiegły końca, a biesiadnicy udali się do swych domów, znaleziono go nieżywego na krześle w nieruchomym geście bębnienia palcami. Radość ustąpiła miejsca żałobie, a zmęczeni goście wrócili, aby pocieszać owdowiałą śpiewaczkę Mahtab-chanum i świeżo upieczonemu męża. Miriam-chanum szukała wszędzie przerażonej córki i gdy ją

w końcu znalazła, powłócząc nogą na jednej z uliczek, ostrzegła, by tej nocy nie kochała się z mężem. Powinna teraz odczuwać głęboki smutek, a niestosowne pożądanie nie służy poczęciu dziecka, a już z całą pewnością pierwszego.

– Jest twoim mężem i będziesz mogła czerpać z niego przyjemność przez całe życie. Powstrzymaj się, Homa, powstrzymaj... – upominała córkę, wiedząc, jak jest rozochociona.

O północy jednak młoda para położyła się na materacu z włókna palmowego, a Homa zapomniała o zaleceniu matki. Mąż zapomniał o stygnącym ciele ojca, a jego chudziutkie ciało rozgrzało się w mocnych objęciach żony. Następnego dnia o poranku Homa zapewniła matkę, że usłuchała jej nakazu i nie dotykali się z mężem. Miriam-chanum nakarmiła ją selerem, aby miała zdrowe dzieci, napoiła naparem z kwiatów mirtu, aby były piękne, i podała plasterki cytronu, aby ich skóra była delikatna i pachnąca. Jak tylko pogrzebano nieboszczyka, wystające kości miednicy męża znowu bodły fałdy tłuszczu Homy i dziewczyna zaszła w ciążę.

Siedem dni Homa wiła się w bólach porodowych, a siostry męża mówiły, że poród się opóźnia, bo rozpieściła ją matka. Dopiero po siedmiu dniach krzyków Homy głucha akuszerka Zolejcha zrozumiała, że dziewczyna nie jest rozkapryszona, a noworodek uparty. Wsunęła jej głowę między nogi i się uśmiechnęła. Homa była dziewicą. Gdy spadła z dachu z latawcem, złamały się jej kości udowe i błona dziewicza wepchnęła się w głąb macicy. Cieniutki członek męża nigdy nie przerwał błony, a główka dziecka daremnie bodła w nią siedem dni. Zolejcha wyłoniła się spomiędzy rozwartych nóg Homy i wróciła z maleńkimi nożyczkami. Po przecięciu błony krew poplamiała prześcieradła, a akuszerka rozpromieniła się, oznajmiając niskim głosem:

– A oto, *mademoiselle* Homa, zrobiłam z ciebie *madame*, więc przyj i zostań *kuczek-madar*.

Gdy z ciała matki wynurzyła się główka dziecka, wszyscy zobaczyli, że jego wilgotna twarz zadziwiająco przypomina twarz zmarłego dziadka – podobnie jak ona jest sowa i okrągła. Włosy wyrastały z wybruszenia na środku czoła, układając się w trójkąt, a czarne oczy niemal przylegały do siebie i otaczał je delikatny jasny meszek. Miriam-chanum pobladła ze smutku i złości. Wyrwała z główki noworodka pięć włosków, aby diabły nie pomyliły go z nieboszczykiem, i zaczęła przepytywać córkę.

– Ale to nie ja, mamo, naprawdę. To on jest winny. On mnie dotknął pierwszy w noc poślubną – Homa płakała, wyczerpana porodem.

– No dobrze, złącz nogi – powiedziała Miriam-chanum, przykrywając ją prześcieradłem.

Wyrwała jej z rąk nowo narodzonego puchacza i zwołała całą rodzinę do pokoju, aby się z nim pożegnała.

– Mamo, daj mi go tylko nakarmić. Zaraz mi pękna – błagała Homa, trzymając wypełnione mlekiem piersi. – Boli mnie.

– Nie. W dziecku jest dusza dziadka – odpowiedziała Miriam-chanum. – Za kilka godzin umrze i ukarze swoich rodziców.

Następnie położyła na różowawych plecach maleństwa pijawkę. Pijawka napęczniała, a ona podniosła ją i przejechała brzytwą po nabrzmiętym dziecięcym tłuszczyku, po czym raz jeszcze przyłożyła ją do poharatanego ciała, by wycisnęła krew razem z kłutwą. Niemowlę jednak zmarło nad ranem. Miriam-chanum płakała i płakała też Mahtab-chanum. Szlochały również Mani dżun, Flora i Nazi. Tylko zrozpaczona matka ścisnęła obolałe sutki, przykładając nos do dziecka, bo zdawało jej się, że unosi się z niego zapach czosnku.

Homa nigdy więcej nie zaszła w ciążę. Miriam-chanum zbierała z wioskowych okien gekony i rozkładała je po domu córki. Te jednak uciekały z przynoszącymi szczęście ogonami do domów sąsiadek, wypełniając je małymi pociechami. Kobiety rozpinały staniki na odgłos każdego kwilenia, wpychały sutek do ust niemowlęcia, a ciepły zapach mleka wzbudzał w Homie zazdrość.

– Homa przestała myśleć głową – mówiła Miriam-chanum ze smutkiem. – A myśli tylko swoim dolnym otworem, który pali ją z żalu.

Każdej wiosny Musa wędrował ze swoim białym psem na pola Omridżanu w poszukiwaniu mandragor. Wykopywał korzenie przypominające kształtem człowieka, z rękami, nogami oraz głową, i przynosił je siostrze. Ciężka woń fioletowych kwiatów z żółtymi pręcikami roznosiła się po domu, odurzając Homę. Mandragory jednak na nic się zdały. Nie pomogły też karteczki z psalmami, napisane przez rabiego mułłę Netanela wdowca, które dziewczyna przelykała w czasie posiłków. Z tęsknoty za zmarłym swoim dzieckiem karmiła męża ziarnami kozieradki, drapała mu plecy pierścionkami, a jego chudziutki członek nie wychodził z niej przez całą noc. Namiętne okrzyki dochodzące z jej domu bawiły całą wioskę, budząc lubieżne uśmiešky na twarzach mieszkańców Dżubare.

Część trzecia

Ślub

14.

Owej nocy Nazi śniło się, że Miriam-chanum podaje jej stosik starego i pożółkłego *sabzi* z suchymi i zwiędłymi łądyżkami. Gdy obudziła się o świcie, zdumiała się bardzo, spostrzegłszy, że łóżko Flory jest puste. Zapach zwymiotowanego arbuza wciąż wisiał w powietrzu, sukienka kuzynki leżała na dywanie, koce jednak były starannie złożone, a prześcieradło wygładzone.

Dziewczynka pobiegła boso do wychodka zrobić siku i sprawdzić, czy urosła ostatniej nocy. Po drodze odkryła, że w domu nie ma Flory, a kiedy zdjęła majtki, zobaczyła, że nie było na nich śladów krwi. Kropelki ciepłego moczu rozpryskiwały się na ostre jak łokcie kostki i uniesione do góry pięty. Nazi szeptała: „*Parhiz... parhiz... parhiz...*”, prosząc diabły, aby odsunęły swoje dzieci od gorącego piekącego strumienia.

Nazi wróciła zawiedziona do domu, zerkając na szerokie jak materac plecy Musy, skulonego w kącie na dywanie z Kaszanu w pokoju gościnnym. Idąc do pokoju dziewczynek, pomyślała ze smutkiem, jak bardzo się guzdrze, podczas gdy Musa rośnie i rośnie i nie ma dla niej czasu. Musnęła palcami naciągnięte prześcieradło Flory i należycie złożoną kołdrę i poczuła chłód pościeli. Flora musiała wyjść z domu już dawno temu, pomyślała, układając w stertę materace.

Najpierw napaliła węglem w piecu, tak jak to robiła każdego zimowego poranka. Następnie wygrzebała popiół z blachy kuchennej, roznieciła ogień i wrzuciła do niego szyszki oraz wyskrobane skórki arbuza. Gdy nieco się rozgrzała, zeszła na dół do cysterny, w której prawie zamarzła woda. Po powrocie do kuchni napełniła samowar, ugotowała jajka, bób i owsiankę oraz upiekła cieniutki chleb *lawasz*. Po tym jak wyskrobała z garnków obraną kolbą kukurydzy tłuszcz po knedlach *gondi*, wyszła z zakopconej kuchni i zamiotła podłogi, wyrzucając na ulicę martwe ćmy i wyrwane z żalu włosy Flory, które wraz z kłębkami kurzu zalegały w kątach i na dywanach.

Dziewczynka usłyszała wymykającą się na dwór mysz i stając na palcach, otworzyła znajdujące się wysoko nad głową okienko. Do dusznego domu wdarło się zimne powietrze, a ona, oddychając głęboko, przyglądała się jednemu ptakowi, który ćwierkał na czubku migdałowca, i mężczyznom odśnieżającym dachy, wstającym równie wcześnie jak ona.

Od czasu śmierci rodziców Nazi wstawiała codziennie o świcie i od razu zaczynała krzątać się po domu. Florę natomiast wyrывał ze snu i wyciągał z łóżka dopiero zapach chleba jęczmiennego, który jej kuzynka piekła w późnych godzinach porannych. Jeszcze zanim obmyła twarz w beczce z wodą, a sny majaczyły pod półprzymkniętymi powiekami, sączyła już gorące mleko i przeżuwała chleb, który podawała jej Nazi. Z tęsknoty za Szahinem spała do

późna, ale rozpacz uczyniła jej sen lekkim. Odpowiadała na każdy brzęk garnków Nazi nerwowym stęknieniem i przewracała się na plecy. Narzekała również na mieszaninę pobudzających przypraw, twierdząc, że ich obłądny zapach osłabia działanie palonych pączków ruty stepowej i nie daje jej spokoju.

Przez dziwny i nieprzyjemny smak zazdrości, który Nazi czuła na języku, odkąd przygarnięto ją do domu ciotki, piekło ją wczoraj w nocy w gardle niczym gorący mocz parzący skórę czarciego dziecka. Nazi próbowała przełknąć ten gorzki smak ze śliną i wyrzucić z głowy dziwne zniknięcie Flory. Obudziwszy Musę i jego ojca delikatnym szarpnięciem za ramię, nie wspomniała im ani słowem o pustym łóżku kuzynki, nie powiedziała o tym też później, kiedy siedzieli wymyć i ubrani, pijąc czarną herbatę, którą im nałala. Jak co rano przyjrzała się swojemu odbiciu w filiżance, zanim podała ją Musie, i za radą Soltany obejrzała każdy rys twarzy, co miało pomóc w ocaleniu ich miłości. Gdy siedziała z mężczyznami, zaplatając sobie długi warkocz, a oni wyławiali aromatyczne sosnowe igły z filiżanek, przelękając resztki herbaty, nie myślała o Florze i nie powiadomiła ich o jej zniknięciu.

Musa stał przy drzwiach, trzymając w ręku filcowy kapelusz z szerokim rondem – modową nowość sprowadzoną z dalekich stron za Morzem Kaspijskim – i przyglądał się małej twarzyczce Nazi, jej spiczastemu podbródkowi i kościom policzkowym, rozszerzającym się nad nim niczym odwrócone krople wody. Spuszczając wzrok, dała mu znać, że nic nowego się nie wydarzyło pomiędzy nogami. Wydawało jej się, że z każdym dniem cytrynowe pryszczki mnożą mu się na twarzy. Gdy zapytał, czy przyjdzie dzisiaj na targ do sklepu, odpowiedziała, że zjawi się tam w południe, i pomyślała o Szahnaz Tamizi.

Nazi spoglądała przez okno na nękanych w zaułku Musę wraz z ojcem i ze smutkiem zauważyła, jak zgarbiony był rano silny kuzyn. Choć prowadzili swój sklep sumiennie i uczciwie, było im trudniej niż Ruhollahowi, rzeźnikowi, z którego straganem sąsiadowali. Ojciec Musy był czwartym pokoleniem rzeźników w rodzinie, ale ich dziwne nazwisko Ratorian, znaczące tyle, co „syn mleczarza”, odstraszało wielu klientów. Ludzie mówili, że woleliby raczej kupić kurczaka od rzeźnika goja niż od żyda, którego imię zbrukane jest zsiadłym mlekiem.

Cena drobiu spadała z pokolenia na pokolenie i tylko biedni mieszkańcy wsi kupowali u nich raz na dwa tygodnie starą kurę. Ich żony na tłustym mięsie gotowały na cały tydzień zupy, zawijały je w gazę i używały później do wzbogacenia smaku ubogich potraw. W pozostałe dni kupowali za grosze *dombe* i pokryte piórami skóry, przyprawiali sadło kuminem i pieprzem, przypiekali na węglach, smarowali tym chleb i zapychali dzieciom usta.

Jedynie przed ojcem i bratem Flory pozbywali się własnej dumy i przyznawali do biedy. Ukrywali głód przed sąsiadami i udawali najedzonych, nawet gdy żywili się tylko chlebem i herbatą. Kobiety gotowały na piecu wodę z koprem, żeby sąsiadki myślały, że przyrządzają gulaszowy *choreszt*, a kiedy ich pociechy jęczały, że chcą jeść, one stukały tłuczkiem o pusty moździerz, tak aby zdawało się, że tłuką mięso na obiad. W roku wielkiej suszy wszystkie kobiety w Dżubare rozgniały powietrze i ze wszystkich kuchni dochodziła woń wyimaginowanego *choresztu*.

Gdy Musa z ojcem zniknęli za domami Dżubare, Nazi momentalnie rozplotła warkocz i rozpuściła włosy na ramiona. Otworzyła zachłannie pudełko z kosmetykami Flory i nałożyła na twarz puder. Wtarała w szyję trzy krople aromatycznego różanego olejku i trzema kolejnymi nasmarowała twarz. Niewprawionymi paluszkami, bardziej przywykłymi do marynowania ryb i prasowania sera niż do strojenia się, pomalowała sobie powieki. Wykonywała wszystko w pośpiechu, aby Miriam-chanum nie obudziła się i nie przyłapała jej na tym wstydlwym czynie. W słabym świetle, które wpadało przez okno, lustro odbijało mglistą bladą postać, ale gdy zbliżyła się do rozpalonego pieca, spostrzegła, że jest umalowana jak kobiety, które stoją przy wejściu do burdelu Mamu i klepią się po pośladkach, wychwalając swoje ciała przed mężczyznami. Pośliniła palce i zaczęła wycierać twarz, ale wszystko się rozmazało i wyglądała jeszcze brzydziej. Postać, którą zobaczyła w lustrze, przeraziła ją, ale dziewczynka była zdeterminowana, żeby wyglądać na jak najstarszą.

Następnie przymierzyła dwie z kwiecistych sukienek Flory, ale po chwili je ściągnęła i stanęła naga i zlna potem. Ostatecznie zdecydowała się włożyć bogatą w jedwab suknię, którą Szahin uszył żonie na ślub. Związała jej poły, aby nie ciągnęły się po ziemi, i włożyła lakierki Flory na wysokim obcasie. Ale ponieważ były za duże i stukotały głośno na podłodze, prędko je zdjęła i wdziała swoje zwykłe płócienne pantofle, które całkiem zniknęły pod sukienką. Przed wyjściem z domu spojrzała na smutne zielone oczy księżniczki Sorai. Wydawało jej się, że w nocy pojawił się pomiędzy utkanymi policzkami leciutki uśmiech. Po chwili zawiązała na głowie chustę, zerknęła na chrapiącą w kolebce babcię i wyszła na ulicę, ciągnąc za sobą biały tren pośród kałuż.

Flora poślubiła Szahina w piękny wiosenny wieczór i choć jej suknia ślubna była bardzo strojna, wyglądała jednocześnie na lekką i subtelną. Teraz szalejące wiatry wczesnej zimy smagały ją, kołysały, nadmuchiwały i prawie przewróciły Nazi na chodnik. Mała, która zawsze szła uważnie i prosto, jak gdyby ktoś

narysował dla niej linię na ziemi, teraz potykała się i zataczała jak pijana. Przycisnęła ręce do tułowia nie z powodu zimna, ale ponieważ bała się, że suknia uniesie się do góry i odsłoni ukryte, proste płócienne pantofle. Pomimo wczesnej godziny i wędrówki bocznymi drogami, wszędzie towarzyszyły jej zdumione spojrzenia, donośny śmiech i kpiny.

Młodzi robotnicy, myśląc, że spotkali nową pannę, zalecali się do nieznannej kokietki, podchodząc do niej i bzyząc niczym pszczoły. Gdy odkrywali, że to Nazicze Ratorian ubrana jak Cyganka, radowali się jeszcze bardziej, wlekli za nią, dokuczając jak komary. Nazi chciała ich pacnąć ręką, ale komary się rozmnożyły i stały rojem szerszeni. W gąszczu uliczek podrostki próbowały pochwycić tren sukni, przez co nieustannie się potykała. W końcu uniosła ciężkie od błota falbanki i skulona pospiesznie wybiegła z Dżubare, pokazując wszystkim płócienne pantofle. Fruwające na wietrze pranie przypominało jej ścigających bezcielesnych ludzi.

Gdy dotarła do domu muły Hasana, jego służący parsknęli śmiechem na widok dziwacznej dziewczynki, a jeden z nich zapytał, szczerząc się w bezzębnym uśmiechu:

– Co się stało, Nazicze? Chcesz być sierotką gojów?

Gdy oznajmiła, że musi się pilnie spotkać z mułą, powiedzieli jej, że pojechał tydzień temu do świętego miasta Kom i wróci dopiero nazajutrz.

Trzymając się ogrodowych murów, Nazi udała się do kadchody, wójta wioski, którego dom znajdował się po drugiej stronie Omridżanu. Z sercem drżącym ze strachu okrążyła mury wsi jak jej ciężarna matka. W drzwiach ukazały się dwie żony wójta, jedna duża, druga mała, obie w zaawansowanej ciąży, marszczyły brwi, rozwierając szeroko nozdrza. Gdy Nazi zapytała, czy może wejść, aby porozmawiać z ich mężem, nie chcąc wyjawic po co, mniejsza żona wypędziła ją z progu miotłą z ciernistych witek, a ta większa goniła aż do bramy, krzycząc, żeby nie ważyła się więcej przychodzić do domu szanowanego muzułmanina ubrana jak mała żydowska dziwka.

Gdy doszła do meczetu koło targu, gorzko szlochając i czując ból w nogach, po całej wiosce rozeszła się już pogłoska, że diabły zamieniły Nazicze Ratorian w białego gołębia, który nie umie fruwać.

Na bazarze tłoczyli się ludzie niosący kosze, chłopci krzyczący na muły obciążone warzywami i owocami, owce o łagodnym spojrzeniu prowadzone na rzeź, psy walczące o kości i koty grzebiące w stertach śmieci. Stragany uginały się od ciężaru olbrzymich dyń, białych jak ludzkie czaszki kalafiorów, ogórków i marchwi długich jak rzeźnicze noże. Zapach gotowanej przez całą noc kaszy jęczmiennej i ryżu unosił się w powietrzu i przyciągał robotników na śniadanie. Z owsianki wynurzały się brązowe i nakrapiane jajka na twardo. W kątach placu sprzedawano i pozerano plasterki suchego sera i pieczonych na węglach buraków,

a wszyscy mówili z przestraczem o diabelskim niemowlęciu Mamu z podwójnym członkiem. Dziękowali za jego śmierć, a z ust wydobywały się na zimne powietrze obłoki pary.

Kopuła meczetu była perfekcyjnie okrągła niczym brzuch dziecka z wepchniętym w pępek sztyletem. Nad nią płynęły po niebie poruszane przez wiatr białe pierzaste obłoki. Nazi kroczyła do wejścia, otoczona z dwóch stron przez daktylowce. Na dziedzińcu meczetu pochwyciło ją dwóch mężczyzn, a ona rozsłochała się i podniosła krzyk, że musi zobaczyć mułłę Dżafara, ponieważ tylko on może ją uratować. W końcu ulitowali się nad nią i zgodzili do niego zaprowadzić pod warunkiem, że okryje ramiona wielkim znoszonym czadorem z wielbłądziej wełny. Nazi pierwszy raz w życiu widziała wnętrze meczetu, olbrzymie sklepienia łukowe, dywany rozłożone na podłodze, niebieskie płytki w ścianach. Czekwała na mułłę w małym przedsionku, a gdy ją zawołano, zadrżała na całym ciele.

Weszła do jego pokoju i spostrzegła, że zatopiony jest w swoich księgach. Ubrany był w czarną ascetyczną pelerynę, a na głowie miał białą czapeczkę przypominającą połowę jaja. Suknia ślubna kuzynki była mokra i ubłocona, a twarz Nazi umorusana rozmazanymi farbami. Z zakurzonego czadoru unosił się ciężki i obcy zapach starości, górujący nad wonią olejku różanego. Nazi pokłoniła się nisko, powitała grzecznie starca i zdjęła chustę z głowy, odsłaniając włosy i płonące ze wstydu uszy. Ramiona skuliła, jakby siedziało na nich stado gołębi.

Mułła uniósł wzrok znad ksiąg i spojrzał ze zdziwieniem na stojącą przed nim małą jak pisklę żydówkę. Odłożył *mohr*^[8] i sznur z bursztynowych paciorków. Niepewny i zaciekawiony pogłaskał się po siwiejącej brodzie. Bez słowa nalał wody do miedzianej miseczki, opłukał ręce, pokropił palce, czoło, nos i bosc stopy.

Nazi nigdy wcześniej go nie widziała, ale pamiętała, że zawsze kiedy dłubała w nosie, Miriam-chanum mówiła, że jeśli nie przestanie, będzie mieć taki ogromny nochał jak mułła Dżafar. Gdy podniósł twarz znad miski z oczyszczającą wodą, ukazał się groźny nos, a na nim okulary z grubymi soczewkami, przez które spoglądały dobre oczy, umiejące odczytywać alfabet Anglików i rozszyfrowywać charakter pisma diabłów.

– Tak, młoda damo, czym mogę służyć? – zapytał starzec, a Nazi zdumiała się łagodnością jego głosu.

– Przyszłam prosić o pomoc, wasza czcigodność. Jestem Nazicze. Siero... – wyszeptła, spuszczać wzrok na czubki mokrych płóciennych pantofli.

– Co takiego? – krzyknął. – Nie słyszę cię stąd. Podejdź bliżej i mów głośniej. Nie bój się. Podejdź do mnie, młoda damo. No chodź.

Nazi zbliżyła się do niego i pożałowała, że nie włożyła butów na wysokim obcasie, bo teraz czuła się niższa niż kiedykolwiek wcześniej. Uklękła u stóp mężczyzny, a kolana ugrzęzły jej wśród włókien dywanu, na którym widniały

utkane lwy rozdzierające zębami jelenie. Wielki nos muły pokryty licznymi brodawkami podnosił się i rozszerzał.

– Proszę, młoda damo, *befarma*, proszę. Zjedz coś.

Muła podał jej migdały i pistacje na miedzianym talerzyku z wyrytymi granatami. Siedząca przed nim dziewczynka drżała i nieustannie przenosiła wzrok z okna na drzwi. Głową kręciła jak przerażony ptak, a jej chudą twarzyczkę rzeźbiły niebieskie smużki łez.

– Tylko pan może mi pomóc – powiedziała piskliwym głosem.

Pamiętała, że musi być wyprostowana i wyciągać szyję, aby starzec myślał, że jest starsza niż w rzeczywistości.

– Głośniej, moje dziecko, głośniej. Nie słyszę cię. Jestem, jak to się mówi, starym mułem, moje uszy nie słyszą tak dobrze jak kiedyś, a ty jesteś małą żydowską dziewczynką i masz małe usta. Ile masz lat? – wysunął przyjaźnie podbródek, a z gęstwiny na twarzy wyłonił się życzliwy uśmiech.

– Dwanaście. Zaklinam się na mojego Boga, niech mnie piekło pochłonie, jeśli kłamię, panie – odpowiedziała pospiesznie, uderzając się w płaską pierś jak podczas składania przysięgi.

Mężczyzna westchnął, zmarszczył czoło, jego nos wydłużył się jeszcze bardziej, a dobre oczy zwęziły. Stukot bursztynowych paciorków przeplatał się z bębnieniem deszczu za oknem. Po chwili ciszy Nazi opowiedziała mu nieśmiało o rodzicach, Musie, Miriam-chanum i przysiędze danej przez ciotkę zmarłej matce. Mówiła również, połykając końcówki wyrazów i pospiesznie zaczynając nowe zdania, o ludziach, którzy plotkują o niej i Musie. Starzec mrugał powiekami z powątpiewaniem, a słowa, które powtarzała po drodze w myślach, gramoliły się z jej ust. Gdy źrenice muły całkowicie zniknęły pod włochatymi powiekami, Nazi pomyślała, że zasnęła. Zamilkły także bursztynowe paciorki. Mała chciała szarpnąć go za ramię, pociągnąć za nos i wrzesczyć mu do uszu, aby się obudził, bo potrzebuje jego pomocy. I ona chce niemowlę i arbuza, bo jeśli muła jej nie wysłucha, Szahnaz Tamizi i nowe prawa szachowskie zabiorą jej Musę, a ona zostanie sama, sama, sama.

Nazi wiedziała, że zanim szach Mohammad Reza Pahlawi ogłosił nowe prawa, *kuczek-madar* zaręczano już w łonie matki, a zachodziły w ciążę jeszcze przed pierwszą miesiączką. Cmentarze były przepełnione dziewczynkami, które zmarły w połogu i leżały w małych grobach tuż przy własnych dzieciach, które chowano w jeszcze mniejszych mogiłach. W swojej pierwszej odezwie minister zdrowia zawiadomił, że *kuczek-madar* może wyjść za mąż tylko wtedy, gdy udowodni się, że osiągnęła już dojrzałość płciową. Kiedy doradcy szacha pojęli, że urzędnicy i żołnierze nie mogą grzebać między nogami wszystkich pańienek w królestwie, wydano nowe poprawione oświadczenie. Małżeństwo można było zawrzeć po ukończeniu dwunastu lat, ponieważ zakładano, że w tym wieku

dziewczynka jest już w pełni rozwinięta. Nazi nie miała jeszcze dwunastu lat i wszyscy wiedzieli, że miesięczka jeszcze się nie pojawiła. Słyszała, że można przekupić mułłę Hasana i kadchodę złotem i srebrem i pozwolą na ślub wbrew szachowskiemu prawu, ale o mulle Dżafarze mówiono, potrząsając głową i zaciskając usta, że jest prawy, skrupulatny i trudno go czymś skusić.

– A ty, jak to się mówi, stałaś się już kobietą? – zapytał niespodzianie mułła i otworzył oczy, ujawniając ich blask.

Nazi zamruwała powiekami i milczała, jak gdyby zastanawiała się nad odpowiedzią. Cisza się przeciągała, a starzec głąskał się po brodzie, jakby i ją próbował wydłużyć.

W pierwszych latach obowiązującego prawa znalazło się jeszcze wielu przestępców, którzy potajemnie wydawali córki za męż. Aby zataić ciążę przed szachowskimi urzędnikami, ukrywali *kuczek-madar* w domu przez dziewięć miesięcy, dopóki zza zamkniętych drzwi nie dochodziły wrzaski. Perskie akuszerki przestały wyprowadzać rodzące dziewczęta na podwórze pomimo starego przesądu mówiącego, że ta, która nie wystawi bólów porodowych na promienie słoneczne, wyda na świat w znoju krnąbrne i zmienne w uczuciach dzieci. Takie same jak niewiasty, które zachodziły w ciążę, ujeżdżając męża, a nie leżąc pod nim. Niektóre akuszerki zastępowały promienie słoneczne balią z gorącą wodą wsuwaną pod tyłek rodzącej. Złapani ojcowie wtrąceni byli na sto dni do więzienia, ale zawarte śluby nie traciły ważności. Tylko świadectwo złożone pod przysięgą przez dwie niespokrewnione ze sobą kobiety, które widziały na własne oczy miesięczkę dziewczynki, mogło przywrócić wolność ojcu.

– Rozumiem – mułła zinterpretował ciszę. – A ty, jak to się mówi, kochasz tego Musę?

– On płynie w mojej krwi, panie. Nie może ożenić się z inną kobietą. Jest przysięga. Jest częścią mojej duszy, panie. Płynie w mojej krwi...

– A twoje życie czym jest? Zobacz, jakie małe są twoje kości, jak będziesz mogła urodzić dziecko z takimi krótkimi kośćmi? A twoje ciało jest takie wątłe, jakbyś w ogóle nie jadła. Masz na imię Nazi, prawda? Jesteś naprawdę krucha, jak pisklę. Ja, moje dziecko, gdybym tylko mógł, oddałbym wszystkie lata życia, jakie mi zostały, za jeden dzień z mojego dzieciństwa. A ty chcesz oddać swoje dzieciństwo – za co? Za siwe włosy? Siwych włosów i smutku w oczach, moje dziecko, nie kupuje się na bazarze. Oddaje się za nie dzieciństwo, dzieciństwo. Więc co teraz zrobimy? Czas, jak to się mówi, robi z ciebie kobietę. Poczekaj jeszcze rok, dwa, urośniesz trochę i z pomocą Bożą...

– Nie rozumiesz, panie, ja muszę teraz, on płynie w mojej krwi... – próbowała jeszcze, a słowa paliły ją w ustach jak rozżarzone węgle.

– Ale jest prawo, moje dziecko – nagle podniósł głos – i nie mogę, jak to się mówi, pozwolić, żeby prawo zostało złamane – dodał stanowczo. Mówił dalej

z zamkniętymi oczami, jak ktoś, kto nie chce już dłużej słuchać.

Nazi też już nie słuchała. Przerwała mu i odezwała się potężnym zrozpaczonym głosem:

– Ale on płynie w mojej krwi, panie, jest częścią duszy, czas leci, a ludzie wygadują straszne rzeczy... – powiedziała i wybuchła płaczem, bo czuła, że straciła przyjazny uśmiech starca i błyszczące oczy, a jego twarz przybrała niedostępny wyraz. Nie patrzyła już na niego, wbijała wzrok w sufit i wykrzykiwała coś o hańbie i honorze. Jej wrzaski sprowadziły z dziedzińca meczetu rozgorączkowanych mężczyzn, którzy przybiegli na ratunek mulle Dżafarowi, opanować rozgardiasz, jaki wprowadziła żydowska dziewczynka. Ta, wciąż krzycząc, podniosła się, a czador zsunął jej się z ramion. Miedziany talerzyk przewrócił się, a migdały i pistacje roztrzaskiwały się pod tupiącymi nogami.

Gdyby Nazi pohamowała się przez chwilę, otarła łzy i jeszcze raz przyjrzała się obliczu mężczyzny, spostrzegłaby, że jego stare serce miękło i wychodziło ku niej. Ale pokój wypełnił się wściekłymi mężczyznami i Nazi straciła cierpliwość. Zanim wyszła na deszcz, dudniący o szyby okienne pomimo świecącego słońca, owinęła głowę chustą i dotknęła dyndających w uszach złotych ryb. Monety cicho zabrzęczały. Chwyciła ryby i mocno nimi szarpnęła.

Zapięcia kolczyków, które przed laty Miriam-chanum wcisnęła podstępem do dziurek, rozcięły płatki ucha na dwie połowy. Krew trysnęła i płynęła radośnie, jak gdyby bardzo długo czekała na ten moment. Uszy rywalizowały ze sobą, które wyleje więcej krwi na wielką ślubną suknię. Twarz Nazi wykrzywił ból. Widziała, jak olbrzymie krople spadały na dywan i plamiły krwią jelenie rozdzierane przez lwy. Mężczyźni, którzy próbowali wyciągnąć dziewczynkę na zewnątrz, przestraszyli się i ją puścili. Mułła podszedł zdumiony do Nazi, a ona podała mu mokre kolczyki i zamknęła je w jego dłoniach. Szczęka opadła mu z przerażenia, oczy się rozszerzyły, a mała w końcu na niego spojrzała i poprosiła, aby w zamian za kolczyki spełnił jej życzenie i pozwolił poślubić kuzyna Musę.

^[8] Gliniana tabliczka, na której szyici opierają czoła podczas modlitewnych skłonów, wykonana najczęściej z ziemi pochodzącej spod Karbali, miejsca męczeństwa imama Husejna.

15.

Na nic się zdały szepty „*parhiz, parhiz*” Nazi przed snem – chichoczące diabły wkradły się do brzucha Flory, szczypały w pupę nienarodzone dziecko i ciągnęły za uszy. Ostrze noża, który Miriam-chanum wsunęła pod poduszkę Flory, gdy dowiedziała się, że córka jest w ciąży, nie odstraszyło złych duchów. Nie pomogła też rajaska miotła. Dziecko obudziło matkę ze snu, a ona leżała na wznak z otwartymi oczami, czuwając nad nim, aż się uspokoi i pozwoli jej znów spać.

Z ust wyfruwały jej delikatne ziewnięcia, a ona z przyciśniętym do poduszki policzkiem patrzyła przez uchylone drzwi na piec. Kilka węgielków nadal żarzyło się wśród czarnego popiołu, który od czasu do czasu migotał na czerwono. Woń rozmarynu mieszała się z gorzkim zapachem zwymiotowanego arbuza. Flora nie zdjęła sukienki, ale brzydkie plamy z soku już wyschły.

Przy jej posłaniu stała sosnowa kołyska, którą zrobił dla nienarodzonego jeszcze dziecka mąż Zolejchy. Flora zabujała nią, a ta cicho zapiszczała niczym śpiące niemowlę. Skarpetki zwinięte w kulki, złożone pieluchy i małeńka wełniana koszulka kołysały się z boku na bok. Flora przyglądała się w ciemności małej górcie utworzonej przez znajdujące się pod wełnianym kocem ciało Nazi, wznoszącej się i opadającej przy każdym oddechu. Pomyślała, że gdyby Nazi skuliła się jeszcze bardziej, mogłaby zmieścić się w dziecięcej kołysce jak Mani dzun w swoim koszu czy jak jajko w gnieździe, a Flora mogłaby ją bujać i usypiać sprośnymi kołysankami.

– Nazi – wyszeptała Flora i oparła się na łokciach. – Nazi?

Chciała do rana opowiadać jej śmieszne historie, tak aby Nazi tłumiała chichot, zasłaniając ręką usta.

Flora umiała rozśmieszyć kuzynkę do łez nawet bez łaskotania jej po brzuchu, pod pachą czy szyją. Pewnego razu wracały na bosaka z placu targowego do żydowskiej dzielnicy niczym dwa obdartusy. Nazi kroczyła z przodu ze wzrokiem utkwionym w ziemi, Flora wlokła się z tyłu, wznosząc oczy ku ptakom. Gdy doszły do synagogi, Nazi zatrzymała się, odwróciła i krzyknęła do Flory, że ma przestać przyglądać się chmurom, bo na ziemi można znaleźć srebrne monety, które wypadły ludziom. A może nawet pierścionki z drogocennymi kamieniami czy złote łańcuszki, które zsunęły się z szyi.

Nagle Florze coś zamigotało przed oczami. Spuściła wzrok na ziemię, podniosła mały kamyk i bez namysłu cisnęła nim w jeden z witraży synagogi. W witrażu zrobiła się czarna dziura.

– Co ty narobiłaś, Flora? – wrzasnęła Nazi. – Uciekajmy!

Ale Flora zbliżyła się na palcach do ściany synagogi i ostrożnie zebrała

połyskujące na słońcu odłamki szkła, niebieskie, czerwone i żółte. Nazi zachichotała, rozglądając się z przestrachem na wszystkie strony, po czym podążyła za bosymi stopami Flory, która zawróciła na plac targowy i pewnie maszerowała w stronę domu dziwki Mamu. Na podwórzu, gdzie śmierdziało moczem, rozpieszczone sierotki Mamu bawiły się w łapanie do wiklinowych koszyków gołębi pocztowych.

– Nie martw się, głupolu – wyszeptała Flora do Nazi, trzymając w rękach mnóstwo odłamków szkła, a ta przywarła do niej z tyłu. – Sierotki Mamu rozwierają szeroko nogi przed każdym przechodniem, a nawet mówią mu „proszę”.

Wiedziała, że Mamu dostaje dużo pieniędzy od mężczyzn, którzy odwiedzają jej dziwki, i spełnia wszystkie zachcianki sierotek, żeby tylko nie przeszkadzały jej i robiły, co im mówi.

Flora wetknęła nos między kołki w burdelowym płocie i pokazując język dziewczynkom bawiącym się na podwórku, dziecinnym głosem przechwalała się swoim skarbem. Znajdy przywarły do ogrodzenia i w zdumieniu wpatrywały się w kawałki osobliwego szkła. Zatłoczony plac targowy migotał na czerwono, żółto i niebiesko, a Flora zaśpiewała:

– Jak pięknie, jak kolorowo, cudowne miasto jak za granicą!

Kuzynki wracały do domu, ściskając w dłoniach małe monety i pokładając się ze śmiechu. Nazi błagała, aby Flora przestała się śmiać. Przykucnęła, wpychając rękę między złączone nogi, by powstrzymać napierający mocz, ale śmiech Flory stawał się coraz donośniejszy. Dziewczyna nachylała się do rybich kolczyków Nazi i między jednym chrumknięciem a drugim szeptała: „Pss... pss... pss...”

Nazi wylądowała z hukiem na ziemi, aż pomiędzy salwami jej śmiechu wytrysnął świszczący strumień moczu, który popłynął jej po ręce i po bosych stopach. Mała przyglądała się w milczeniu rozkwitającej niczym kwiat wstydlivej plamie na sukience, a Flora śmiała się i śmiała.

Flora wymamrotała: „Pss...” i uśmiechnęła się do siebie. Gdyby Nazi teraz nie spała, przytuliłyby się, rozpuściły włosy i szeptały, dopóki sen nie spadłby na nie z sufitu. Trójkątna twarzyczka Nazi wyglądała zza kołdry, rozchylona jak mały wachlarz. Włosy miała zaplecione w ścisły warkocz. Sen wygładził zmarszczki na jej czole, tak jak ona rozwałkowywała drożdżowe ciasto. Usta miała otwarte, a maleńkie monety na rybich ogonach błyskały do Flory w ciemności. Flora poprawiła kołdrę i pomyślała o Nazi: o jej małych ustach, które były dniem i nocą otwarte, o spojrzeniu gonącym myśli. O palcach bawiących się nieustannie rybimi kolczykami albo ściskających je nagle, jakby ktoś miał na nie ochotę i chciał je wyrwać z uszu. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby pewnej nocy matka

wepchnęła palce nie między jej nogi, ale między nogi małej Nazi. Co by tam znalazła? Może Fattane ma rację i nic tam nie ma? A może otwór jest za mały i matce nie uda się wetknąć weń nawet palca?

Z daleka rozległ się dziwny skrzek ptaka, a Flora z niepokojem złapała się za brzuch, który w ostatnich tygodniach wyrósł jak drożdżowe ciastka Nazi. Przypomniała jej się przyjemna woń, która roznosi się, gdy Nazi wyjmuje puszyste i brązowe wypieki płaską żelazną łopatką i spryskuje roztopionym cukrem. Czy nie byłoby wspaniale, gdyby mogła zamienić z powrotem rosnące w brzuchu dziecko w mąkę, olej, drożdże i cukier? Jaka szkoda, że nie można wlać z powrotem czasu, Szahina i dziecka do worków i butelek w spiżarni.

Dziwaczna myśl rozbawiła Florę. Zachichotała w ciemności, przewróciła się z boku na bok i znowu wbiła wzrok w piec, który całkiem pociemniał. Przestała już próbować złapać nieuchwytny sen i puściła jego wijący się ogon.

Deszcz bębnił ze złością o wioskowe dachy, a wiatr wprawiał w drżenie szyby okienne i znajdujący się w szparach kurz. Flora wstała z łóżka, a jej pulchne stopy zanurzyły się w stercie rozłożonych dywanów. Nocny chłód poczuła dopiero wtedy, gdy stojąc na podwórzu przy beczce pełnej deszczówki i pływających piór, obmywała sobie twarz. Odgłos otwieranych i zamykanych drzwi nie zakłócił chrapania domowników i nerwowego mamrotania Mani dzun. Wróciwszy do pokoju, Flora złożyła starannie pościel, zdjęła poplamioną sukienkę i natarła szyję oraz ręce aromatycznym różanym olejkiem. Następnie założyła dwie pary grubych skarpetek, wdziała niebieską pikowaną sukienkę z bufiastymi rękawami zwężającymi się przy nadgarstkach, na nią pomarańczową plisowaną sukienkę utkaną z wielbłądziej wełny, a potem wsunęła na siebie spodnie przewiązane w pasie kolorowymi wstążkami. Zerknęła do lustra i spostrzegła, jak jest olbrzymia. Przyjrzała się pucułowatej twarzy nad barczystymi ramionami i owinęła głowę białą chustą złożoną w trójkąt. Jeden róg chusty zwisał jej na plecach, a dwa pozostałe związała pod fałdkami tłuszczu na brodzie. Wisząc na piersiach, podnosiły się i opadały przy każdym oddechu. W końcu cała się okryła wielkim spływającym do stóp czadorem, poprawiła go przy uszach i wyszła na ulicę w poszukiwaniu zgubionego snu.

– Dokąd idziesz we snach, zła dziewczyno? – Mani dzun wynurzyła się z kosza. Jej oczy zamknęły się z powrotem, ale bezzębne usta pozostały otwarte.

– Cii... – wyszeptała Flora, trzymając w środku już jedynie głowę i przykładając palec do ust. – Śpij, babciu, śpij.

– Nie wolno teraz wychodzić, zła dziewczyno, wracaj do swoich snów. Nie wolno – Flora usłyszała mamrocącą starą kobietę, zamykając za sobą po cichu drzwi.

Czuła się nieswojo w ciemności o tak późnej godzinie. Znajoma wioska zacieniła się, kontury dachów i wierzchołki drzew ginęły w mroku, a wszystko

zapadało się niczym oblicze starca. Wiatr szarpał czadorem na głowie Flory, targał włosami, które trzepotały niczym flaga na maszcie. Gdy dziewczyna wyłoniła się z krętych uliczek Dżubare, zaczęły na nią szczebrać obce psy. Gdy się oddaliła, umilkły i wsłuchiwały się we własne echo, towarzyszące echu jej kroków. Na placu targowym zatrzymała się przy płocie gwarne oświetlonego burdelu, aby posłuchać czkawek pijanych mężczyzn i śmiechu kobiet. Nagle poczuła pragnienie. Jak lunaticzka weszła do *kahwechune*, kawiarni tuż przy domu Mamu, całej wymalowanej na jaskrawoniebiesko.

Flora zaglądała tam zawsze z zaciekawieniem, przypatrywała się mężczyznom z poczerwieniałymi oczami grającym w szachy i tryktraka, przeklinającym i śpiewającym sprośne piosenki, zrzucającym pionki i trzaskającym nimi o drewnianą tablicę. Klienci Mamu po wyjściu z burdelu załatwiali się na podwórzu, zawiązywali sobie spodnie, spluwali na ziemię i zaczepiali kobiety wracające z targu. Zapraszali do kawiarni również Florę, która wybałuszała na nich oczy, ale Nazi chwyciła ją z przestraczem za sukienkę i z błaganiami zabierała stamtąd.

Flora kroczyła ku kłębowi oświetlonego dymu z półprzymkniętymi powiekami, jak lunaticzka wśród lampek oliwnych. Natychmiast oczy odurzonych mężczyzn, ich chrapliwy śmiech i lubieżne żarty przywarły do jej krągłych piersi, tyłka i brzucha. Mężczyźni gwizdali z podziwem spod zawijających się wąsów, ale Flora nie zawróciła, bo nie było przy niej dobrej małej Nazi, która pociągnęłaby ją za chustę, błagając ze łzami w oczach, żeby wyszły, bo już wystarczy. Flora nie bała się też, bo wiedziała, że Musa i jego pies śpią i nie wyruszą na jej poszukiwanie. Nie ma także Szahina, który wyciągnąłby rękę w ciemności, aby pomacać szeleszczącą tkaninę, i który wetknąłby głowę między jej piersi.

Z głębin nory wypełzali ku Florze mężczyźni, wysuwając ku niej długie i wijące się ręce. Wywracali oczami do sufitu, mamrocząc ustami śmierdzącymi od haszyszu, opium i spróchniałych zębów.

– Pani Floro – bzykli i ćwierkali. – Nie mogła pani zasnąć w tę czarną noc?

– Za gorąco, żeby dziś spać, co, pani Floro? Czas świętować...

– Może za zimno, pani Floro, i chce pani, żebyśmy panią przytulili, popieścili i rozpalili pani piękne ciało?

– To nie jest ciało do spania, Flora, to ciało do zabawy... Co z tobą, czego się boisz?

Włochate łapy mnożyły się, próbując dosięgnąć jej piersi, tyłka i brzucha, łopocząc nad jej zaspaną obojętną kibicią. Żółte palce drapały jej skórę, pożądliwe dłonie poklepywały po ciele, sukienki szeleściły jedna na drugiej, a radość mężczyzn rosła.

– Moje zęby... – Flora wybełkotała osowiale. – Bolą mnie zęby. – I aby

udowodnić im, że odczuwa ból, chwyciła się za okrągły policzek.

Mężczyźni piali z zachwytu, jak gdyby znaleźli w zębach Flory wielki skarb, pluli na brudną podłogę, zanurzali kciuki z czarnymi paznokciami w butelkach araku i wtykali jej do ust, byssała dla uśmierzenia bólu. Possawszy palce, stwierdziła jednak, że ból nie zniknął, a w tym czasie oni przesunęli kamień zakrywający jeden z dołów z opium, znajdujących się w kawiarni.

Flora przyglądała się mężczyźnie, który pochylił się nad dołkiem i rozpalil dla niej czarne grudki, i nie sprzeciwiała się, gdy polecil jej przyklęknąć. Z rękami spuszczoneymi wzdłuż tułowia i rozwartymi kolanami poddała się ciężkiej dłoni, która przyciskała jej głowę do otworu. Posłusznie wykonywała polecenia chropowatego i obcego głosu, nakazującego jej wypełnić płuca dymem. Dziewczyna chciała znaleźć na dnie sen, który zgubiła z dzieckiem, i jej powieki zrobiły się ciężkie. Poczwała w łonie gwałtowne ciepło rozprzestrzeniające się przyjemnymi falami po całym ciele, jakby zaszła w ciążę z samym słońcem, a w jej wnętrzu świeciło maleńkie okrągłe letnie słońeczko. Oblała się potem i jęknęła. Minęło trochę czasu, nim pojęła, że uczucia gorąca, które trawi ją jak delikatny płomień, nie wywołuje dym, ale członek mężczyzny, który rozpalil dla niej opium i przywarł do niej z tyłu.

Sukienki miała podwinięte, a goły tyłek jaśniał w mętnym świetle kawiarni. Mężczyzna wcisnął swoje kolana między jej uda, objął ją w talii i rytmicznymi, gwałtownymi ruchami wdzierał się do środka. Dziewczyna oprzytomniała i odskoczyła z przestachem, odrywając się od niego, a on zsunął się bez protestu wraz ze swoim fallusem i stoczył na podłogę. Wtedy ona, zebrawszy swoje rozplływające się członki, wyzuta z sił uciekła w ciemność.

Flora biegła i biegła w stronę Dżubare, nie oglądając się za siebie, minęła zagajnik migdałowców i opuściła wieś przez Bramę Żydów. Dopiero gdy ucichły świerszcze Omridżanu i dokoła rozpostarły się ciemne przestrzenie, zwolniła kroku i przystanęła, dygocząc i dysząc.

Niebo było usiane gwiazdami. Nie zasłaniał ich ani jeden skrawek księżycy. Nawet chmury nie mogły poskromić ich migotania. Flora postanowiła iść dalej. Poprawiła czador na głowie i ruszyła, nie spojrzawszy za siebie na śpiącą wioskę i wiatr, który snuł się za jej plecami. W ciszy stąpała ociężale szeroką Oślą Drogą i z każdą chwilą czwała się lepiej. Wiatr został w tyle, a wraz z nim kłująca mżawka. Srebrzyste opary buchały niczym dym tuż nad ziemią i unosiły się wśród drzew. Błotniste potoki spływały ze wzgórz, kropelki rosy drżały na zielonej trawie. Zapach zwymiotowanego arbuza zginął bez śladu, a z nim aromat różanego olejku. Wędrownice Flory towarzyszyła jedynie woń własnego słodkiego potu.

Po pewnym czasie przyklęła przy wejściu do ciemnej groty, z której

wypływało małe źródełko, aby się napić. W świetle brzasku skały w jaskini połyskiwały na niebiesko, a woda wydawała się zielona. Stado ptaków fruło z gór w stronę morza. Dziewczyna ziewnęła i przyjrzała się wyłaniającym się powoli zarysom miasteczka Dzulfa i otaczającym go wioskom, zwieńczonym kopącymi już o wczesnej porze kominami. Od miasteczka oddzielały ją pola maków, ryżu, bobu i pszenicy, grządki z melonami usianymi maleńkimi żółtymi cętkami, niebieskie stawy pełne słodkich białych ryb.

16.

Gdy Flora dotarła rankiem na gwarny plac targowy w Dżulfie, cała była sina z zimna, a kolana drżały jej z bólu. Buty poczerniały od błota, nasiąknięte wodą sukienki przylegały do ciała, eksponując nadęty brzuch. Nikt nie zwracał jednak na nią uwagi.

Dokoła przechadzali się nieznajomi, mały płażały w rytm bębnow treserów, węże wychylały się z koszów i wiły do muzyki fletów. Jakiś handlarz próbował sprzedać jej kiść bananów. Flora wyciągnęła rękę po żółty owoc, ale przypomniała sobie, że nie wzięła ze sobą pieniędzy. Po chwili zaprosił ją na fotel dentysta. Przy swoim stoliku prezentował komplety sztucznych szczęk umocowanych w różowawych dziąsłach, a w zakrwawionych palcach trzymał ogromne szczypce. Klient, któremu właśnie wyrwano trzy z przednich zębów, wstał z fotela i rozdziawił usta przed tłoczącymi się gapiami, a ci zaczęli z podziwem wtykać mu tam palce. Flora nie chciała usiąść i oddaliła się wraz z rozchodzącą się gawiedzią. Lekarz natomiast zaśpiewał gorzko o księciu, którego bolały zęby i który straszliwie cierpiał, aż znalazł ulgę na fotelu dentystycznym.

Flora odskoczyła na bok, ustępując miejsca sznurowi skrzypiących wózków, i zaczęła torować sobie drogę do dorożki zaparkowanej na obrzeżach placu, przywoływana przez okrzyki woźnicy:

– Babolsar! Babolsar! Jeszcze dwa wolne miejsca do Babolsaru! – Woźnica przyłożył do ust zwinięte w trąbkę ręce, a kiedy je opuścił, ukazały się cieniutkie jak nitka wąsy. Jego brwi przypominały parę szczotek do szorowania.

Dziewczyna runęła u jego stóp, a błoto opryskało jej oczy i włosy. W jednej chwili zebrał się wokół niej tłum. Woźnica, który ją spostrzegł, ponownie zwinął dłonie w trąbkę i krzyknął:

– Akuszerka! Akuszerka! Zawołajcie szybko akuszerkę!

Trzech mężczyzn zaniósł ją w wielkim wiklinowym koszu na skraj placu, a na czołach i szyjach wystąpiły im z wysiłku żyły.

Pomimo przysłowia zakazującego wzywania więcej niż jednej położnej, ponieważ „dziecko, które ciągną dwie akuszerki, będzie miało wyrwaną głowę”, przybyły na plac targowy w Dżulfie dwie niewiasty i stojąc na schodach, kłóciły się ze sobą, która z nich dotarła pierwsza. Bardzo prędko ruszyły na siebie z rękami, szarpiąc się, szczerząc zęby i gryząc. Ale wtem Flora wyłoniła się ze śmiechem z kosza i oznajmiła, że obie przyszły za wcześnie. Woźnica posadził ją w dorożce, otulił kraciatym kocem, który zdjął z jednego z koni, podał jej gorącą herbatę i owalny placek chleba *barbari* z czarnymi oliwkami.

– *Wawejla!* To straszne! Jak ty się możesz tak wałęsać z brzuchem na wierzchu w taki deszcz?! – beształy nieznajomą ciężarną rozczarowane akuszerki,

wymachując nad nią rękami i strasząc, że jej dziecko będzie chorowite i przeziębione przez całe życie. Flora z przerażenia połknęła oliwkę razem z pestką i przyłożyła dłonie do brzucha, aby ochronić syna Szahina przed złowieszczymi prorocztwami. Kobiety wróciły do domu, zgromadzeni ludzie rozeszli się do swoich zajęć, a podróżni udający się do Babolsaru tłoczyli się przy dorożce, zajmując miejsca obok siedzącej już tam Flory.

– Wysiada pani? – zapytał woźnica, łapiąc lejce i podnosząc szczeniaste brwi.

– A mogę się z wami zabrać? – zapytała Flora.

Mężczyzna spojrział na nią z litością, drapiąc się po głowie, wzruszył ramionami i strzelił z bata na konie. Przez całą drogę do nadmorskiego miasteczka Babolsar Flora kołysała się na boki wśród pasażerów, ogromna i roześmiana.

Dokładnie tą samą drogą jechała z Szahinem w podróż poślubną, z Omridżanu do Dżulfy, z Dżulfy do Babolu i z Babolu do Babolsaru. Mijane winnice i pola tytoniu przypominały jej pocałunki i pieszczące dłonie męża. Gdy wyjeżdżali ze wsi, Musa skarcił siostrę za chichot:

– Znowu się śmiejesz? Co cię tak bawi? Płacz lepiej, nie wstyd ci się śmiać, gdy opuszczasz dom? Powiedzą jeszcze, że tak bardzo było ci źle u matki, że teraz się śmiejesz, idiotko. – Flora jednak przywarła do małego ciała męża i śmiała się dalej, następnie chrumknęła i ucichła.

Szahin zaprowadził ją do hotelu, którego ściany były udekorowane tapetą w słoneczniki. Potem zostawił żonę samą w pokoju z widokiem na morze i wrócił dopiero późno wieczorem, przeklinając i mamrocząc po ormiańsku. Gdy Flora chciała rozłożyć prześcieradło z kolibrami, które wyhaftowała dla niej Nazi, małżonek przewrócił ją na wznak i wdarł się do niej. Po wszystkim leżeli na gryzącym wełnianym kocu, pili wino i arak, które właścicielka hotelu wytwarzała w piwnicy hotelowej, a młoda żona śmiała się przez całą noc. Na krótko zanim zaczęło świtać, Szahin nakazał jej się ubrać i zabrał ją na plażę.

Księżyc na niebie był srebrzysty i okrągły jak ich twarze.

– Zobacz, co się z nim dzieje, Szahin! – krzyknęła Flora wtulona w ramiona męża. Czarny cień okrył księżyc, a ten napęczniał i otoczyła go czerwona poświata.

W południe małżonkowie udali się do restauracji, której ogród przecinał wodny kanał i cały usiany był materacami wśród grządek ogromnych róż. Szahin rozłożył się na poplamionym krwią i zatłuszczonym materacu, a Flora spoczęła obok niego na poduszkach. Właściciel podał im słodką wodę różaną i zarznął na ich oczach jagnię. Siedzieli w restauracji aż do zmroku, kosztując raz po raz pieczonej jagnięciny, drzemiąc, owiewani przyjemną morską bryzą, i wdychając różaną woń. Po zachodzie słońca mężczyzna wyszedł z kuchni i oznajmił, że zostały mu jedynie kości. Wtedy Szahin poprosił o ugotowanie na nich zupy.

Gdy wracali w ciemności do pokoju hotelowego, Flora czuła, że niemal pęka

od historii, które opowie Nazi, Homie i matce. Tamtej nocy dowiedziała się, że mąż nie może zasnąć bez uprzedniego potarcia w palcach szeleszczącej tkaniny. Macał jej cienką koszulę nocną, a szelest cichł dopiero, gdy zasnął. Pierwszą połowę nocy przesypiał na lewym boku, aby dać wytchnienie wątrobie, potem budził się i przewracał na prawy bok, aby odpoczęły jelita.

Jadąc dorożką, Flora przypomniała sobie też łysego Mortezę Kaczalu, który mieszkał kiedyś w Omridżanie, ale przeniósł się z rodzicami do Babolsaru. Wiedziała, że jeśli Morteza się ożenił, jego żona ma na pewno gęste, długie i miłe w dotyku włosy.

Dziesięć gołębi pocztowych pofrunęło do nieba w dniu, w którym Flora pierwszy raz dostała miesiączkę. Krwawienie zaczęło się już w południe, ale dopiero w nocy spostrzegła czerniejące żyłki spływające z nóg i schnące na kostkach. Podążała za nimi wzrokiem jak za śladami zostawionymi przez ślimaka, aż doszła do lepkiego otworu. Tajemnicę wyjawiała Nazi, śmiejąc się do rozpuku, Nazi opowiedziała wszystko Musie, który oznajmił to Homie, ta wygadała ojcu, który z kolei przekazał wieść Miriam-chanum. Ta natomiast z dumą poinformowała o tym całą wieś. Następnego dnia podała córce miseczkę pełną oliwy z oliwek, aby przyjrzała się własnemu odbiciu i zobaczyła, że jest już kobietą. Potem poprosiła Nazi, aby zaczęła szyć prześcieradło, które zostanie rozłożone na ślubnym łożu Flory.

Nazi pracowała nad nim ciężko dwa lata. Co wieczór szorowała brudne od domowych robót dłonie połówkami cytryny, próbując usunąć z nich czarny tłuszcz. Gdy ukazywała się delikatna skóra, a cytryny stawały się szare, brała do rąk bawełniane płótno i zaczynała szyć dokładnie w miejscu, gdzie przerwała pracę poprzedniego wieczora. Na krańcach haftowała zalecające się do siebie pary kolibrów, z rozpostartymi skrzydłami i rozdziawionymi z uciechy dzióbkami, samce niebieskie, samiczki fioletowe. Pracowała cierpliwie i starannie ze wzrokiem utkwionym w ostry czubek igły, aby nie ukłuć się w palec i nie poplamić dziewiczą krwią robótki. Flora w tym czasie leżała na dywanie u stóp kuzynki, łaskocząc je gęsim piórem i marząc o mężczyźnie, który będzie się kochał z nią oraz niebieskimi i fioletowymi kolibrami.

Gdy młoda para wróciła z podróży poślubnej i Miriam-chanum poprosiła swoją córkę śmieszkę o pokazanie jej krwistego kwiatu, który rozkwitł na haftowanym prześcieradle, ta puknęła się w czoło, bo zapomniała go zabrać z hotelu w Babolsarze.

Flora miała jedenaście lat, gdy jej dumny ojciec wszedł na dach domu Soltany Zafarollah i rozesłał za pośrednictwem dziesięciu gołębi pocztowych wieść o pierwszej miesiączce córki do swatów z okolicznych wiosek. Kiedy wyczerpane ptaki wróciły do gołębnika, zaczęli przybywać młodzi kawalerowie ze starymi matkami, a także zdesperowani wdowcy i mężczyźni rozglądający się za drugą

żoną. Wszyscy chcieli się przekonać, kim jest Flora Ratorian, o której ojciec zaświadczył że „jest piękna jak kwitnąca cytryna, uśmiecha się jak dziecko wielbłąda i posiada dobry posag – co wszystko jest receptą na szczęście mężczyzny”. Napisał też, że Flora ma krzepę jak jej matka i starsza siostra oraz że wyszła cało ze wszystkich chorób dzieciństwa, jakby były łagodnym jesiennym przeziębieniem.

„Jestem pewien” – notował wijącym się piórem perskim, zanurzając krucze pióro w czarnym atramencie – „że Flora, podobnie jak jej matka, wyda na świat zdrowe dzieci w przykładowej ciszy i bez zbędnych krzyków”. Na koniec zapieczętował list czerwonym lakiem.

Do Omridżanu przybywały nieustannie i gromadnie pielgrzymki, a w domu aż huczało od zalotników. Kosz Mani dżun przeniesiono do spichlerza, Nazi bezustannie krzątała się w kuchni, a Miriam-chanum, ubrana w swoje najpiękniejsze suknie, witała i zapraszała do stołu kawalerów. Jej mąż nalewał wszystkim herbaty i rozpałał fajkę wodną do palenia haszyszu i opium.

Gdy kandydat przedstawiał się, prezentując swoje atrybuty i stan majątku, Musa odwiedzał z psem kuchnię Homy bądź kuchnię sąsiadek w poszukiwaniu Flory. Czasami, gdy znalezienie siostry zajmowało mu zbyt wiele czasu, konkurenci zakochiwali się w potrawach Nazi, urzekła ich jej pracowitość i pytali Miriam-chanum, czy mogliby dostać za żonę młodszą córkę. Miriam-chanum decydowała się wtedy na zamknięcie Nazi w spichlerzu, aby nie przeszkadzała podczas swatania. Pewnej nocy zapomniała wypuścić dziewczynkę z więzienia i znaleziono ją rano przesiąkniętą moczem, którego nie mogła powstrzymać, i z rękami pokrwawionymi od walki ze szczurami.

Ostatecznie Miriam-chanum wybrała z mężem najbogatszego kandydata – łysego Mortezę Kaczalu, którego Flora знаła od dziecka. Chłopak wyłysiał, mając osiem lat. Na jego skórze pojawiły się wrzody i matka zabrała go do specjalizującej się w ich leczeniu znachorki. Kobieta, dzierżąc w silnych rękach brzytwę, ogoliła łepetynę dziecka, nasmarowała ją gorącą smołą zmieszaną ze spalonym krowim łajnem i przewiązała workowym płótnem. Trzy tygodnie Morteza nosił ciężką czapę, czując wirowanie w głowie i palącą skórę. W dniu, w którym miał pójść po raz kolejny do znachorki, matka zabrała go do łaźni, obsypała pocałunkami i pozwoliła mu się pluskać do woli w ciepłej wodzie. Na koniec kupiła mu szklanekę mrożonego deseru makaronowego *falude* i miseczkę daktylowej owsianki.

– Skończ z tym – powiedziała pod wieczór do uzdrowicielki. – Nie mogę już dłużej patrzeć na chłopca w takim stanie.

Matka przytrzymała go mocno kolanami, jedną dłonią zasłaniała mu oczy, a drugą, ściśniętą, wepchnęła do ust. Morteza wrzeszczał i gryzł jej palce, ale ona go nie puściła. Znachorka chwyciła hełm, który rozmiękł pod wpływem oparów w łaźni, i zerwała mu go z głowy, a wraz z nim dotkniętą chorobą skórę i wszystkie

włosy. Gdy Morteza miał dwanaście lat, nad jego górną wargą pojawił się cieniutki wąsik, rozweselając bardzo smutnego chłopca, który golił go codziennie, do czasu aż pogrubiał. Po tym jak wyłysiał, wyjechał z Omridżanu do Babolu, gdzie jego rodzice założyli hutę szkła. Kiedy wrócił do wsi, by poprosić o rękę Flory, jego czarne wąsy były gęste i sztywne jak u szachowskiego ojca, a nad nimi świeciła łysina. Flora uciekła do kuchni i wyglądała zza drzwi, śmiejąc się i chrumkając. Chichot dziewczynki przypomniał Mortezie wspólne zabawy z dzieciństwa. Posyłał ku niej tęskne spojrzenia, wypuszczał kółka z dymu i kręcił wąsem.

Miriam-chanum wparowała do kuchni, ciągnąc ze sobą córkę i szepcząc tubalnie:

– Flora! *Betaraki*, a niech cię! W domu jest pan młody, ile ma czekać na swoją pannę młodą?

– Mamo, mamo – zawodziła Flora, a matka ciągnęła ją za ucho – nie chcę za niego wyjść, on nie ma włosów.

– *Na kon*, przestań, co ty wygadujesz! Jeszcze nam ucieknie, głupia... No, a co ty sobie myślisz, że ja chciałam wyjść za twojego ojca? – besztła ją Miriam-chanum i nagle się zaśmiała. – Włosy nie są najważniejsze, głupiotka Floro. Zapuścisz sobie własne, a on da ci pieniądze, żebyś robiła sobie loki i ozdabiała kwiatami, motylami i kapeluszami z winoroślami. Słyszysz? A teraz wchodź do środka!

– Ale mamo, mamo...

– Cicho, Flora, wchodzę tam z powrotem jak matka panny młodej, a ty wmaszeruj za mną i trzymaj tacę tak, aby nie upuścić lemoniady, jak przystało na przykładną i pracowitą żonę. I przynieś też trochę pestek. Nie śmieć się za bardzo, słyszysz, Flora? Słyszysz mnie?

Miriam-chanum wróciła do gości z przepaszającym uśmiechem gospodyni. Za nią przyczłapała Flora, tłumiąc śmiech. Przyklękła, kładąc na dywanie miedzianą tacę, na której brzęczał dzban z napojem i połówkami cytryny oraz szklanki ze złotą obwódką. Flora stanęła przed Mortezą z rękami opartymi na biodrach, prezentując się jego wygłodniałym oczom i mówiąc słodko:

– Przyniosę jeszcze trochę pestek i zaraz wracam, dobrze?

Młodzieniec błysnął okiem, a ona czmychnęła za kotarę z koralików. W kuchni chwyciła garść pestek słonecznika, przygotowanych na talerzu przez Nazi, złapała czador i nim wymknęła się z domu, wypaliła do kuzynki:

– Pewnie ten Kaczalu, łysoń, obżera się chałwą i dlatego nie ma włosów. Za nic w świecie go nie chcę.

Musa znalazł Florę na jednej z uliczek, jak pluła łuskami pestek, i przyprowadził z powrotem do domu. Miriam-chanum roztrzaskała na drobne kawałki dzban z lemoniadą i rzuciła się na córkę ze złością, ciągnąc ją za koralikową kotarę. Nie chcąc, aby do uszu gości doszły odgłosy uderzeń, ugryzła

po cichu wszystkie dziesięć palców Flory, a następnie przyprowadziła ją do pokoju, dzierżąc półmisek z pestkami.

Wieczorem Morteza z Florą wybrali się na spacer po wsi. Flora milczała, bawiąc się w rękę kwiecistą chustką, którą owijała wokół pogryzionych palców, aż ślady zębów Miriam-chanum stawały się żółte. Morteza zatrzymał się i poprosił towarzyszkę, aby zdjęła z głowy chustę i rozpuściła włosy, tak jak to robiła w dzieciństwie. Mrugając wielkimi oczami i zaciskając usta, aż te utworzyły jedną wąską kreskę, Flora uwolniła włosy, a te opadły jej na ramiona. W obydwu dłoniach trzymała teraz chustki, w jednej kwiecistą, a w drugiej przeplataną złotą nicią.

Morteza zbliżył ręce do jej głowy i zaczął delikatnie głaskać, zanurzając palce w gęstych włosach. Przez długi czas krążył wokół Flory, dotykając ich w milczeniu i kręcąc na palcach. Drapał głowę leciutko, wąsami łaskocząc uszy i policzki dziewczyny. W końcu westchnął z ulgą i odprowadził ją do rodzicielskiego domu.

Nazajutrz nastał upalny letni dzień.

– Flora, wstawaj, wstawaj – budziła Florę podekscytowana Nazi. – Nie wiesz, co tracisz. Chyba ktoś umarł i jest wielki pogrzeb – nie dała spokoju kuzynce, dopóki ta nie wstała zasnana z łóżka, nie założyła chodaków i nie wystawiła głowy przez wejściowe drzwi. Na zewnątrz włókł się długi pochód mężczyzn i obładowanych koszami osłów. Na czele szło trzech muzykantów, jeden grał na bębnie, drugi na dzwonku, a trzeci na flecie. Na samym końcu orszaku tłoczyli się sąsiedzi, ich dzieci i wszyscy wygłodzeni wiejscy żebracy, którzy krzycząc, wymachiwali rękami w kierunku domu Ratorianów.

Tragarze kładli kolejno przy wejściu koszyki z wszelakimi dobrami, trzymając w rękach długie drewniane tace. Na jednej znajdowały się czerwone jabłka owinięte w złożony papier, na innej żółte, ozdobione srebrnymi wstążkami. Pozostali nieśli ogórki, melony, daktyle, suszone morele i figi. Kosze były wypełnione po brzegi pistacjami, migdałami, orzechowymi słodkościami, słodzonymi orzeszkami ziemnymi, miodowymi chałkami, słojami z dżemem, butelkami wina, różnymi świeżymi wypiekami, herbatnikami i chrupiącym pieczywem. Wiejscy biedacy i dzieci wpatrywali się w ogromne ilości smakołyków, ale nie odważyli się wyciągnąć po nic ręki.

Dzwonkarz, drobny, zmęczony mężczyzna o twarzy urzędnika, którego Nazi i Flora nigdy wcześniej nie widziały, uciszył zebranych, a muzykantom nakazał przestać grać. Zapytał, która z panien to czcigodna pani Flora Ratorian. Flora zaśmiała się i wskazała palcem na Nazi. Szmer zdumienia rozszedł się wśród zgromadzonych.

– Co ty wyprawiasz? – wyszeptała wystraszona Nazi.

– Nie bądź głupia, Flora – odpowiedziała jej donośnym głosem. – Nie chcesz

kwiatów i motyli we włosach?

Mężczyzna uśmiechnął się do nich, ciesząc się, że znalazł poszukiwaną, bo podróż do jej domu była długa i znojna. Nie zauważył przerażonego wyrazu twarzy Nazi i nie usłyszał pomruku protestu. Wsadził za szeroki pas dzwonek, otarł pot z czoła i powiedział:

– Przybyłem w imieniu pana Mortezy Kaczalu z Babolu. Prosił o przekazanie, że pamięta jeszcze z czasów dzieciństwa o szczególnym zamiłowaniu pani Flory do słodczy i owoców i pragnie osłodzić jej godziny dzielące ich od ponownego spotkania. Wieczorem wróci do wsi i poprosi jej rodziców o wyznaczenie terminu ślubu już na koniec tego tygodnia, bo śpieszno mu do kochania.

– Gdzie położyć prezenty, pani Floro? – zapytał Nazi, skończywszy przemowę.

Flora przestała się śmiać, ze skrucą przykładając rękę do wciąż chrupkającego nosa, i oświadczyła:

– Niech nam pan wybaczy, ale moja siostra Flora jest nieco podekscytowana pięknymi prezentami Mortezy Kaczalu i prosiłaby, żeby rozdał pan jego słodkie dary głodnym ludziom i dzieciom.

Tłum wdarł się z okrzykami pomiędzy stojących na słońcu tragarzy z osłami i rzucił się jak szarańcza na jedzenie. Rozdzierał kosze, przewracając drewniane tace, i rozsypywał przysmaki na chodnik. Drobną mężczyznę wyciągnął dzwonek, pobrząkując nim energicznie, ale tragarzom nie udało się rozpędzić rozradowanej gawiedzi i uratować szczodrych podarunków. Dzbany z winem zostały opróżnione, twarze jaśniały wysmarowane dżemem, podrostki upychały w ubraniach słodkości, a Flora śmiała się jak szalona. Dzwonkarz przybył ponownie następnego dnia, tym razem bez korowodu i instrumentów muzycznych. Poinformował ojca Flory, że Morteza nie weźmie za żonę jego córki, ponieważ uchybiono jego godności. Od tamtej pory więcej już nie widziano jego wąsów i łysiny w rodzinnej wsi.

17.

Gdy Flora przybyła do Babolsaru i wysiadła z dorożki, w mieście zapadł już wieczór. Powietrze było przesycone wilgocią i miało ostry zapach. Dziewczyna czuła znużenie, tak samo jak woźnica, który ze zmęczenia zrobił się niecierpliwy. Przyłożył ponownie trąbkę z dłoni do cienkich jak nitka wąsów i zwoływał pasażerów do Dżulfy.

Flora zapytała go, pośród wyfruujących z ust białych ziewnięć, czy nie zna hotelu, którego okna wychodzą na morze, w piwnicach jest dużo araku, a ściany ozdobione są tapetą w słoneczniki. Mężczyzna jednak znowu dobrotliwie na nią spojrzął i wzruszył ramionami. Pomyślał sobie, że powinien zabrać ją z powrotem na plac targowy w Dżulfie, ale Flora już się oddaliła, wciąż okryta kraciatym kocem zdjętym z konia.

Miejscowi wskazali jej drogę na plażę, do rzędu hoteli stojących na nadbrzeżnej promenadzie, ostrzegając przed kieszonkowcami. Szła zgarbiona do miejsca, które jej wskazano, a od wiejącego prosto w twarz morskiego wiatru pękały jej suche usta i piekły oczy. Z przymkniętymi powiekami, przez zasłonę z gęstych rzęs widziała jedynie dzieci, koty i żebraków.

Jej myśli podążyły znów ku łysinie dobrego Mortezy Kaczalu, który obsypywał ją owocami i słodkościami, a w zamian pragnął tylko bawić się jej włosami. Flora pomyślała o szczęśliwej kobiecie z gęstymi włosami, której mąż jest łysy, ale kocha ją i nie ma zamiaru jej porzucić, zostawiając po sobie dziecko w brzuchu i gnidy we włosach. Czuła, jak z każdym krokiem brzuch i piersi podskakują jej do góry, a męcząca przepychanka tych trzech wielkich mięsistych kulek coraz bardziej ją wycieńcza. Chciała odpocząć, brzuch jednak galopował do przodu. Powłóczyła nogami, ale dziecko skakało ku ojcu. Miejsce dziecięcej odwagi, która towarzyszyła jej nieprzerwanie aż do Babolsaru, zajął dziwaczny wstyd. Nie przyszedł on sam. Wraz z nim pojawiła się przeklinająca matka z iskrzącymi oczami, obco wyglądający ojciec ze zgolonym wąsem, Musa niosący Mani dżun w koszu z toczącym ślinę białym psem, drepcząca ze spuszczoneym wzrokiem Nazi, kuśtykająca za mężem i wygrażająca masywnymi rękami Homa. Widziała też teściową Homy – Mahtab-chanum, Sabiję Mansur, Fattane Delkasz i jej siostrę Soltanę Zafarollah oraz mieszkańców wsi ubranych w swoje brudne stroje, ich brzydkie twarze i bose dzieci. Wszyscy oni ścigali ją, wymachując kijami i wykrzykując coś o hańbie i honorze. Flora obejrzała się za siebie i uniosła do góry poły sukienek, by rzucić się do ucieczki, ale spostrzegła, że szły za nią jedynie małe dzieci, koty i żebracy.

Nadal dysząc, zatrzymała pędzący brzuch na widok grupki stojących w kółku rówieśników. Wepchnęła się pomiędzy nich, jakby była częścią bandy,

i zobaczyła pośrodku zgromadzenia młodszego chłopca, bladego, niskiego i wychudzonego. Spod podciągniętej ogromnej sukienki, którą miał na sobie, wyglądała dziecięca pielucha. Łobuziaki wskazywały palcem na jego genitalia, podśpiewując szyderczo:

– Obcięli mu! Obcięli mu! Obcięli mu z przodu!

Flora wydostała się ze zbiorowiska i szła dalej, ociężale i niezgrabnie. Przez moment wydawało się jej, że podrostki śpiewają: „Wtykają, wtykają, wtykają w dupę rozen...” i chciało jej się płakać jak uwięzionemu w kole chłopcu. Mężczyzna, który załatwiał się, opryskując ścianę, obdarzył Florę uśmiechem, odsłaniając spróchniałe zęby i potrząsając członkiem.

Dziewczyna minęła sikającego nieznajomego i latarnika, który zapalał uliczne latarnie, nalewając do nich oleju i oświetlając jej drogę do ulicy z hotelami, po której obu stronach rosły drzewa karobowe. Ich ostry zapach dochodził do jej nozdrzy, przypominając zapach nasienia Szahina.

Na nadmorskim bulwarze stał hotel, taki sam, jak go zapamiętała Flora. Słone języki pianistych fal smagały kamienie pokryte delikatną warstwą aksamitnego mchu. Poplątane sieci rybackie leżały w stertach przy wejściu, a w górze krążyła skrzeczająca mewa. Niebo było tym samym niebem, ale nie jaśniał na nim księżyc.

Drzwi otworzyła Florze właścicielka hotelu, niska impulsywna kobieta. W rękę dźwżyła glinianą lampkę, która zalewała blaskiem sterczące jej na twarzy czarne pieprzyki. Powiodła zmęczonym zagniewanym wzrokiem po ciele Flory, lustrując ją od brzucha aż po piersi i od brody po oczy, a dziewczę niemal padło jej w objęcia, jak gdyby była dawno niewidzianą krewną. Kobieta odsunęła się podejrzliwie do tyłu, muskając palcami pieprzyki na brodzie. Następnie ostrożnie dała jeden krok do przodu, przybliżając lampkę do oblicza wyrośniętej dziewczyny. Wiatr od morza zdmuchnął płomień, a Flora zachichotała.

Właścicielka wróciła do ciemnego domu, zapaliła ponownie knot, rzucając cienie na słonecznikowe ściany. Światło uwidocznilo włoski rosnące na jej pieprzykach i fioletowe sińce pod oczami.

– Niech pani wchodzi, proszę wejść – zawołała. – Wieje wiatr i zgasi ogień w piecu. Co z panią? Co tak stoi w drzwiach i się śmieje?

– Dziękuję pani, dziękuję – wyszeptała Flora, a z każdej ściany spoglądały na nią słoneczniki, mrugając do niej z żółtych kwiatów czarnymi oczkami.

– Co tak stoi jak kołek? Pieniądze ma? – krzyczała dalej niewiasta, zastanawiając się, czy Flora czasem nie jest głucha albo pijana. – Mam tylko dwa wolne nieogrzewane pokoje, jeśli pani chce, proszę brać. Jeśli nie, proszę pójść do starego Kurda, znajdzie pani pewnie miejsce w stajni.

– Nie, proszę mnie posłuchać, niech mnie pani posłucha... – Flora zacisnęła szczękające zęby i pospiesznie wymamrotała: – Szukam męża...

Zagniewana właścicielka uniosła brwi z powątpiewaniem.

– Byliśmy tu jakiś czas temu, wczesną wiosną, dokładnie było to... – uśmiechnęła się przepraszająco, kładąc ręce na brzuchu.

– *Mobaraket basze*, gratulacje! Więc czego pani chce ode mnie?

Flora pamiętała, że wiosną właścicielka była szczodra i uprzejma. Obchodziła się z Szahinem, jakby był jej krewnym, i opowiadała mu sprośne żarty po ormiańsku, pojąc go arakiem. Teraz jednak jej znużona twarz wprowadzała Florę w zakłopotanie. Dziewczyna wyjąkała coś, przygryzając język i nie potrafiąc powiedzieć, czego szuka.

– Piła pani czy co? Ma pani pieniądze, czy chce pani stać tu całą noc i opowiadać mi bajki? Nie mam na to czasu. Pieniądze albo do widzenia. Niech pani idzie do starego Kurda, może zostało mu jeszcze trochę litości dla takich biednych dzieci jak pani – utyskując, wypchnęła ją za próg.

Flora uderzała pięściami w drzwi, wrzeszcząc ze wszystkich sił:

– Niech mi pani otworzy, hej, hej! Słyszysz mnie pani? Proszę mi otworzyć drzwi! Hej, hej! Musi mi pani otworzyć, proszę, proszę, proszę! – Kolana się pod nią uginały, w oczach pojawiły się łzy, ale mimo to nadal drapała paznokciami drewno. Pod skórę wbijały się ostre drzazgi, a jej głos coraz bardziej przypominał pisk: – Musi mi pani powiedzieć, gdzie on jest, hej, hej! Niech mi pani otworzy, już noc, a Szahin... Nie mogę znaleźć męża. Powiedział, że wróci, zaklinam się na swoje życie, że naprawdę mój mąż Szahin tak powiedział. Jak mogła pani tak szybko zapomnieć? Jak to możliwe, że pani nie pamięta, no jak? Byliśmy tutaj w trakcie naszej podróży poślubnej, Szahin sprzedaje jedwabne tkaniny i ma osła z łatkami wokół oczu. Szahin, mój mąż, jego lewe oko jest nieco słabe, zapomniała pani? Jak to możliwe, że pani nie pamięta? Proszę mi otworzyć. Proszę, proszę, proszę!

Po dłuższej chwili ciszy kobieta niepewnie uchyliła drzwi, popychając nimi Florę, która przywarła do drewnianej powierzchni z błaganiami i połamanymi paznokciami. Przez moment przypatrywały się sobie przez szparę, po czym właścicielka łypnęła powątpiewająco i zapytała z wahaniem:

– Mówi pani słabe lewo oko, tak?

Flora chrząknęła z przejęcia.

– Hmm... Oko mojego męża jest leniwe. No tak, nie tylko słabe jest jego lewe oko. Jest też leniwe.

– Nie – kobieta odpowiedziała stanowczym mrugnięciem. – Jest tutaj jeden Szahin. Nie znam jego nazwiska i nie wiem, czy w ogóle ma rodzinę i skąd przybył, najpewniej z gór. Ale on sprzedaje len, nie jedwab, i mieszka niedaleko stąd, u bahaitów^[9]. Musi to być ktoś inny, bo on ma zeza, zeza w lewym oku...

– Ma zeza! Prawda, prawda, on rzeczywiście ma zeza! – Flora krzyknęła i podskoczyła do góry, zapominając o wielkim zaokrąglającym się przed nią

brzuchu. – Ma zeza, ma zeza w lewym oku, to on. Tak. Gdzie pani powiedziała, że on mieszka? Tutaj w Babolsarze? Niedaleko stąd?

– Tak, dziecko, tak. Mieszka w Babolsarze, prawda. Ale mówi pani, że jest jego żoną? Tego nie rozumiem... Skąd przybywasz z tym czymś, co masz w brzuchu, biedna dziecino? – Jej spojrzenie nie wróżyło niczego dobrego, a w głosie nadal brzmiała nutka podejrzliwości, ale Flora nie zwróciła na to uwagi. Wyobrażała sobie, jak Szahin zdejmuje z niej mokre sukienki, jak jego ręce pieszczą drżące ciało i tulą maślane piersi. Czuła, jak wydobywają one z jej ciała słodkie i gęste mleko i opróżniają je z całego żalu i tęsknoty, aż będzie znowu lekka i szczęśliwa jak kiedyś. Nie docierało do niej wielkie zimno, które ciągnęło od morza i wprawiało w drżenie wierzchołki drzew karobowych. Nie odstraszyła jej nagła ulewa, która spadła na miasto. Nie zastanowiła się też, dlaczego wściekłą kobietę ogarnęło nagle tak wielkie współczucie, że zaprosiła Florę do domu na posiłek i nocleg, tak aby mogła wyruszyć na poszukiwanie Szahina dopiero następnego dnia. Flora słyszała jedynie swoje łomoczące serce. Błagała gospodynię, żeby jej wyjawiała, gdzie mieszka jej mąż, po czym pobiegła do niego.

^[9] Bahaizm – religia monoteistyczna, założona w Persji w XIX wieku przez Bahá'u'lláha, podkreślająca duchową jedność najważniejszych religii.

18.

Im bliżej bahaickiego domu była Flora, tym szybciej dudniły tambury w jej piersi. Gdy stała przed wysokim okazałym dwupiętrowym domem, otoczonym pistacjowym sadem, przerażeni bębniarze grzmocili tak zapamiętale, że z ich poranionych palców zaczęła cieknąć krew.

Strach muskał jej plecy, pełzał po kręgosłupie, trzepotał na karku i wciskał swój oślizgły język do uszu. Aby się go pozbyć, Flora zacisnęła mocno oczy i próbowała przypomnieć sobie Szahina, ale przebiegłe diabły Omridżanu, które pomaszerowały za nią aż do Babolsaru, wymazały jego twarz, zostawiając w pamięci tylko wymykające się, włochate ramiona. Była zmęczona. Uszczypnęła się w duże policzki, aby się zaczerwieniły, i strząsnęła wodę z mokrych włosów.

Niski kamienny murek otaczał sad, a dokoła niego płynął kanalik, na którym unosiły się pocernione, strącone z drzew pistacje. Flora otworzyła niepewnie bramę, przywitał ją radosny ryk przywiązanego do drzewa osła Szahina, futro zwierzęcia błyszczało od deszczu. Podniosła oczy ku lukowatym oknom z małymi balkonami wychodzącymi na sad. Pieściła wzrokiem okalającą drzwi kolorową mozaikę z muszli, przypatrując się przymocowanej nad futryną wypchanej rybie, jej nieruchomym oczom i rozdziawionej zębatej paszczy.

Zapukała do drzwi. Nie było odpowiedzi. Zaczęła więc gwałtownie łomotać pięściami i usłyszała stukoczące wewnątrz drewniaki. Otworzyła jej chudziutka kobieta w białej jedwabnej koszuli. W filigranowych dłoniach, na których miała wytatuowane aż do bladych koniuszków palców zielone i niebieskie węże, trzymała lampkę oliwną. Flora podniosła oczy znad wężowych tatuaży ku zaokrąglonemu brzuchowi bahaitki, okrytemu powiewającą delikatną tkaniną. Chuda niewiasta była w ciąży. Włosy miała koloru mleka, a jej zęby były małe, białe i kształtne niczym sznur pereł zawieszony na jej jasnej szyi.

– Czego tu szukasz, dziecko? – zapytała cieniutkim jak jej ciało głosem, osłaniając oczy ozdobioną węzami dłonią.

Flora przyglądała się jej z podziwem i nie była w stanie nic odpowiedzieć. Kobieta wciągnęła ją do środka, zamykając drzwi z obawy przed wiatrem.

Hol wejściowy był wysoki i wyłożony marmurem, a na samym środku widniała pusta fontanna. Przy piecu stał na wysokiej rzeźbionej nodze okrągły marmurowy stół z biało-czarną szachownicą, na której ustawione były figury. Stół otaczały ciężkie aksamitne fotele, czekając na graczy, którzy chwilowo porzucili rozgrywkę i udali się do swoich zajęć. Flora zwróciła wzrok ku schodom prowadzącym na piętro z balkonami, na których ustawione były małe lampki oliwne. Dziecko poczuło zapach swojego ojca, bodąc i kopiąc Florę z radości.

– Ach, *bebachszid*, proszę mi wybaczyć. Przyszłam do Szahina, szukam

Szahina, jego osioł jest na dworze. On tu jest, prawda? Zobaczyłam osła na dworze, więc weszłam. Proszę mi wybaczyć, że tak weszłam... Zna go pani, prawda?

– Tak, dziecko. Pewnie, że go znam. Jestem jego żoną. A ty kim jesteś?

W tamtej chwili Flora zrozumiała, że nie ojca wyczuło jej żywiołowo kopiące dziecko, lecz brata, i że obaj mają krótkie nogi jak Szahin. Poczula, jak pękają jej ubrania na ciele.

– Kim jesteś? – zapytała znów kobieta.

Słowa w ustach Flory były twarde jak kamienie, po których kroczyła, mając wrażenie, że pokonuje wyboistą drogę. Nagle potknęła się i wrzasnęła w stronę schodów:

– Szahin! Szahin! Chodź tu, Szahin! Zejdź na dół w tej chwili! To ja, Flora! Coś ty mi zrobił, Szahin? Co ty mi zrobiłeś? Dokąd poszedłeś? Co ona za rzeczy wygaduje? Szahin! – krzyki próbowały wspiąć się na górę, ale koścista kobieta dobiegła do niej, tarasując jej przejście.

– Wielki Boże, dziecko, co ci się stało, kim ty w ogóle jesteś? Szalona jesteś czy co? To mój dom! Skąd ty przyszedłeś? Z piekła? – darła się wężowa niewiasta, a ręce splotła na piersi w jednego wijącego się gada, tuptając drewniakami po marmurowej podłodze.

– Nie waż się tak do mnie mówić, *salite*, plotkaro! Bądź cicho, mała bahaicka dziwko! – Flora zszokowana grzmiącym głosem bahaitki splunęła ze złością na ukryty pod jedwabną koszulą brzuch.

Wysoki długoreki służący ruszył na pomoc pani domu, ciągnąc Florę za włosy i wyrzucając na zewnątrz. Ta jednak wyciągnęła szyję ku balkonom i krzyknęła do męża, aby wyjrzał przez okno:

– Szahin! Kim jest ta kobieta, Szahin? Chodź tutaj i powiedz jej, że to ja, twoja żona Flora, chodźmy do domu, Szahin! Co ja teraz zrobię, Boże? Szahin, chodź, zobacz, jak biedna jest Flora. Kim jest ta *salite*, która mówi, że jest twoją żoną? Niech jej ciało wypełni ropa, jedynie żółta, żółta ropa...

Ciskając kamieniami i piaskiem w wypchaną rybę nad wejściem, zawodziła do zamkniętych drzwi:

– Kim ty w ogóle jesteś? Czego chcesz od mojego męża? Skąd ty w ogóle go znasz? Zrobił ci dziecko, to już myślisz, że go znasz? Ja jestem jego żoną, słyszysz? A ty jesteś tylko małą *salite*! Mówił mi, że mnie kocha i uwielbia to, w jaki sposób kręcę tyłkiem przy chodzeniu... – Flora zalała się łzami. – Mówił, że jestem słodka i mokra jak gaska, kiedy robił mi nasze dziecko, mówił, że jestem jego dziewczynką, że ma przeze mnie gorączkę, słyszysz? Go-rącz-kę!

W końcu zamilkła i osunęła się na ziemię, padając głową na próg. Ucichło również porykiwanie osła. Zwierzę przyglądało się jej ze smutkiem, a białe łatki wokół oczu migotały jak latarnie w ciemności. Dziewczyna szlochała po cichu, wciskając przez szparę w drzwiach małe kamyki i przekleństwa, których nauczyła

się od matki:

– Ażebyś złapała wszystkie choroby, jakie są na świecie... Żebyś wzywała śmierć i żeby nie przyszła, ty dziwko... Żebyś z głodu nie mogła nigdy zasnąć... Niech ci się urodzi różowy potwór z pięcioma nogami i garbem, niech się tak stanie, *salite*...

Za plecami usłyszała głos Szahina, który osłupiały wywęszył woń jej ciała:

– Flora? Flora, czy to ty?

Poczuła, jakby masło rozpląnęło się jej po całym ciele. Twarz zmiękła, kamyki wypadły z dłoni, a po policzkach potoczyły się rześiste łzy.

– Szahin, serce ty moje, gdzieś ty był? – zapytała słodkim głosem, pociągając nosem, jakby mąż zniknął jej dopiero wczoraj.

Zezujące oko drgało nerwowo, ale Flora widziała w nim łzy miłości. Wstała z ziemi i rzuciła się wraz z dzieckiem i kraciastym kocem w wyciągnięte ramiona ukochanego, mamrocząc jego imię z przejęciem i dziobiąc nosem drobne ciało. Była rozczochrana i gorąca. Chciała, żeby bawił się jej włosami, rozpuścił je, łapał wszy, masował po głowie i mruzczał pieszczoty do ucha. Wtedy jej włosy stałyby się znowu gęste i lśniące jak w dniu ich ślubu. Pragnęła, by położył się z nią na ziemi pod paszczą ryby, zaczął pocierać jej sukienkami i szeleszcząc przyjemnie, dotarł dłonią aż do jej ud.

Ale z domu z muszli wyszła okryta czadorem węzowa kobieta, a za nią wyłonił się długoreki lokaj. Wargi bahaitki były blade. Położyła rękę na plecach Szahina i zbeształa go z kokieterią w głosie:

– Kim jest ta szalona dziewczyna? Dlaczego krzyczy, że jest twoją żoną? Na twojego Boga, Szahinie, *to ra Choda*, kim ona jest?

Teraz Flora chciała, aby Szahin ściał jasne włosy nieznajomej wielkim rzeźnickim nożem ojca. Aby wrywał je i ciągnął garściami. Poderznął jej gardło, tak żeby wszystkie perły się rozsypały. Wiatr od morza dzwonił Florze w uszach, nożyczki ciachały w powietrzu, ostrza śmigły zwinnie, a dziewczyna słyszała mamrotanie Mani dzun i krzyki Miriam-chanum:

– Flora! Zostaw te nożyczki! Robisz małe diabły! Nie wiesz, że w ten sposób diabły robią dzieci? Dom będzie pełen małych czartów! Flora, dosyć, natychmiast przestań!

– Flora, dość! Dość! Dosyć tego! – gdy otworzyła oczy, rozdziawiali na nią paszczę Szahin i ryba, a jej dłonie wrywały żółte włosy wyjącej z bólu węzowej niewiasty.

– Flora, dość tego, *welisz kon*, puszczaj ją, mówię ci, puść ją... – wrzeszczał Szahin.

Flora stała wyprostowana w rozkroku z szeroko otwartymi oczami, ściskając w ręce garść płowych włosów. Gorzki smak zwymiotowanego arbuza podszedł jej do gardła i wypełnił usta. Czowała, jak wiatr osusza płynące po jej policzkach łzy.

Szahin głaskał krzepiąco po głowie swoją nową żonę, a drugą ręką poprawiał jej jedwabną koszulę. Flora spostrzegła, jak brzydka była jego zakłopotana twarz i jaki był niski. Zwróciła uwagę na wysokie zakola na czole i pokrywające je blade plamki. Odwróciła się na pięcie, otworzyła żelazną bramę i pobiegła za własnym cieniem w stronę morza. Za plecami usłyszała krzyczącą węzową kobietę:

– Wracaj tutaj, słyszysz mnie? Szahin, wracaj natychmiast do domu!

Flora potykała się o własne nogi, wstawiała i biegła dalej z potłuczonymi kolanami, ciągnąc za sobą kraciasty koc i pozostawiając tuman kurzu.

– Flora, zatrzymaj się – słyszała w oddali głos męża. – Mówię do ciebie, zatrzymaj się... – Nie powstrzymała jednak swoich pokracznych galopujących nóg, chyboczących rąk, podskakującej brody.

– Flora, dziecko, uważaj na dziecko...

Zwolniła i upadła na piasek. Szahin padł przy niej na kolana, zdjął jej z głowy koc i otulił nim ciało, głaszcząc zarumienioną twarz, próbując udobruchać tak lubianymi przez nią słowami:

– Moja dziewczynka, jesteś moją dziewczynką.

Ściągnął koszulę i przewiązał nią pokaleczone kolano żony, a piekące od jego potu rany przybrały postać czerwonych róż. Flora wiedziała, że pasikonik na ogonie męża świergocze teraz, a jego kolorowe skrzydełka trzepoczą. Mężczyzna wyszeptywał swoje kłamstwa do ucha żony, a ręką osłaniał przed wiatrem i szumem fal łagodny, podekscytowany głos.

Szahin poznał bahaitkę Lejli na bazarku w Babolsarze, gdzie sprzedawała zatkane materiałem słoiczki z drogocennym olejkiem węzowym, leczące reumatyzm, słabe kości i zapalenia stawów. Opowiedziała mu, że olejek przyrządza samodzielnie, a gdy zapytał, kim jest mężczyzna miażdżący dla niej głowy jadowitych gadów, skierowała wzrok na chodnik, a na białych ustach pojawił się uśmiech. Jej smukłe wiotkie ciało niepokoiło i jednocześnie ciekawiło kupca. Kiedy w końcu wyjawiała mu sekret o rodzinie węży zamieszkujących ściany jej domu, Szahin pożegnał się ze swoim oddanym uczniem, przywiązał osła na podwórze bahaitki i bez zwłoki ją poślubił.

Podczas pierwszych nocy w wysokim dwupiętrowym domu bał się zasnąć. Widział w snach długie i srebrzyste gady przepływające z piwnic i śmiertelnie go kłuszące rozwidlonymi językami. Przerazały go również wytatuowane niebieskie i zielone węże, wijące się na ramionach i rękach bahaitki. Kiedy tylko zamykał oczy, ześlizgiwały się z długich kobiecych palców, kłuły go jej paznokciami, owijając się wokół szyi. Nie mogąc zasnąć, Szahin nasłuchiwał całą noc, jak pełzną i pocierają o siebie łuskami w ścianach wielkiego domu i pod marmurową posadzką. Szelest łusek przypominał mu odgłos powolnego i skupionego

kartkowania książki i zastanawiał się, kto tam tak siedzi i czyta.

Lejli nauczyła się przygarniać męża do serca w burzowe noce z piorunami, a Szahin przyzwyczał się do spania otulony jej węzowymi ramionami. Pamiętał jednak, aby po domu chodzić w butach z grubą podeszwą, a sandały z zakrytymi palcami wsadził głęboko do szuflady.

Bahaitka opowiedziała mu, że to jej matka trzy lata przed śmiercią odkryła żyjące w domu gady. Pewnej nocy zapomniała zabrać z piwnicy drewnianą miskę z posłodzonym mlekiem. Rano w naczyniu nie było mleka, a zamiast niego błyszczała perła. Następnego dnia zostawiła w tym samym kącie miskę wypełnioną po brzegi cydrem. Rano czekał tam na nią diament.

Trzeciej nocy ze strachu w bahaitce wykluła się ciekawość. Gospodyni naląła do misy oliwę z oliwek i ukryła się w kącie piwnicy, otulona kocem. Nad ranem spostrzegła poprzez opary snu, jak sześć iskrzących węży zbliża się do naczynia i sączy ofiarowany im dar. Zanim się oddaliły, jeden z nich wy dobył ze ściany złotą monetę, upuścił ją do miski i wrócił falistym ruchem do dziury.

Matka Lejli nie wyjawiała tajemnicy małżonkowi. Wiedziała, że mężczyźni są głupi i porywcy i że mąż zniszczy dom aż do fundamentów, aby dokopać się do ukrytego skarbu, a wtedy zemsta węży będzie prześladować ich aż do śmierci. Gdy zapytał ją, dlaczego co noc schodzi do piwnicy i dla kogo jest mleko, cydr, oliwa i wino, odpowiedziała mu wymijająco, że: „dla kotek, dla kotek”.

– Stara głupia baba, bierze dobre mleko i zanosz kotkom – parsknął śmiechem, machając lekceważąco ręką.

W momencie jego śmierci miała w piwnicy trzy wielkie gliniane dzbany pełne złota, pereł i drogocennych kamieni, ukryte pod stertą zniszczonych koców z koziej wełny.

Nim znalazła się przy nim w grobie, wyjawiała sekret węży swojej jedynej córce Lejli i nakazała jej przysiąc, że nie zdradzi go nikomu, również mężowi, nawet jeśli będzie go bardzo kochać. Mężczyźni są chciwi, gwałtowni i niewdzięczni – ostrzegała. Jedyne kobiety, wysiadujące przez całe życie sekrety życia i kuchni, są w stanie dochować również piwnicznej tajemnicy i wydobywać z jadu węża lekarstwo i błogosławieństwo. Rok po złożeniu przysięgi Lejli powierzyła sekret Szahinowi, który pocałował ją, słodko się uśmiechając i myśląc o zmarłym ojcu i hodowli jedwabników, która była jego marzeniem.

Pewnej nocy niedługo po ślubie kupiec poprosił swoją żonę bahaitkę, aby upiekła mu słodką chałkę z rodzynkami, ponieważ zachciało mu się jeść. Gdy stała późną nocą w kuchni, ugniatając ciasto, ogień w piecu rzucał wąskie i długie cienie na jej śnieżnobiałą twarz i jasne włosy. Szahin zaczął się wtedy zastanawiać, czy nie wrzucić małżonki do płomieni, podobnie jak uczynił ojciec z nucącą mu tęskne pieśni matką. Gdy jej białe ciało zacznie skwierczeć, dumął z błyszczącymi oczami, pójdzie do piwnicy z siekierą, uderzy sześć węży i zmiażdży ich głowy,

opryskując ściany ich drogocennym olejkiem. Następnie roztrzaska też ściany, dokopie się do fundamentów i przygarnie migoczący skarb. Gdy Lejli wyjęła słodki bochenek z pieca, Szahin rozdarł jego pulchne policzki i zjadł żarłocznie, pochłonięty swoimi iskrzącymi wizjami. Lejli przyglądała mu się z lekkim uśmiechem, mruczając pod nosem pieśni miłosne i dziwiąc się, jak wielką ochotę na świeży chleb ma jej mały mąż. Mężczyzna otrząsnął się ze swoich rozmyślań i wstał po siekierę, ale z przerażeniem odkrył, że z chałki zostały tylko okruszki, a z ognia dogasający popiół. Oprószonymi mąką rękami Lejli otarła mu z twarzy zimny pot, nadając szarą barwę jego czarnemu zarostowi. Zezującym okiem przypatrywał się, jak przerzuca z ramienia na ramię włosy, wydostaje językiem ostatni rodzynek z jego ust i pyta, czy przyjdzie do niej do łóżka, by zaspokoić również jej głód.

Szahin z zamkniętymi oczami wtulił się w jej białe piersi i wyobrażał sobie, że są wzgórzami ukrytego w konstrukcji domu skarbu. W swoich fantazjach słyszał skarb wołający go piskliwym tęsknym głosem: „Chodź do mnie, Szahin, *azizam*, chodź do mnie, weź mnie, weź...” Rozłożył się na górach złota, diamentów i drogocennych kamieni, przygarniał je pożądliwie do siebie, obejmował, wtykając z przejściem palce do otworów w muszlach, z których migotały ku niemu różowe perły. Gdy się obudził, wokół jego szyi wiły się węże na rękach Lejli, kierując cieniutkie języczki w stronę jego ust, gapiąc się namalowanymi oczami pozbawionymi powiek i jęcząc z pożądania: „Aaa...”

Szahin zerwał się na równe nogi.

– Siekiera! – wrzasnął przerażony, wydostając się z uścisku nóg żony i chwytając wilgotny sterczący członek. – Gdzie jest moja siekiera?

Uniósł do góry pięść, aby zdzielić po głowie Lejli, ale ona wykręciła się, unikając uderzenia i ześlizgując się z łóżka na dywan. Twarz rozjaśniał jej zadowolony uśmiech, a okno wychodzące na pistacjowy sad oświetlał błądy świt.

– Ale Szahin, *azizam*, co z naszym dzieckiem? Zapomniałeś o naszym dziecku? Spójrz na mój brzuch, Szahin. Nie połknęłam kury.

– No pewnie, że pamiętam, Flora, pewnie, że pamiętam o dziecku, jakże mógłbym zapomnieć? Przecież dla ciebie ożeniłem się z tą przekłątą bahaitką, uwierz mi, dla ciebie i dla naszego dziecka... Zawsze myślałem o tobie, *azizam*, o miodzie i cytronach twojej skóry i cynamonie twoich ust... Nawet jak byłem z nią, z tym białym duchem... Ale byłem pewny, że śmiejesz się cały czas, nie wiedziałem, że płaczesz...

– Nie słyszałeś pieśni, którą ci śpiewałam na dachu, i nie płakałeś, gdy sikałam na kurze jajka, Szahin? Nie budziłeś się, gdy wdychałam do duszy rutę stepową i bez przerwy ziewałam?

– Słyszałem, *azizam*, wszystko słyszałem.

Szahin pocałował ją w czoło i poprowadził w stronę dwupiętrowego domu, którego łukowate okna balkonowe wyglądały jak drzwi. Pierś miał gołą, a Flora śmiała się, kuśtykając za nim niczym jej siostra. Jej wielkie kobiece piersi podskakiwały z góry na dół, ogromne dziecięce oczy zachodziły mgłą, a pyzate policzki rumieniły się, jakby skóra na nich była podrażniona. Kupiec powiedział jej, że jeśli zgodzi się być na niby jego drugą żoną, zejdą razem do piwnicy i włożą do wełnianego koca skarb. Uciekną do Omridżanu, aby tam urodzić dziecko, i będą pokazywać język młodym gojom, którzy rzucali w nią pestkami śliwek. Flora ścisnęła mocniej jego dłoń, myśląc tylko o miłym woźnicy, który zabierze ich swoją dorożką do Dżulfy, i jak w zamian za jego dobroć zwróci mu kraciasty koński koc pełen pereł, diamentów i złotych monet. Gdy byli znów w pistacjowym sadzie, przypomniała sobie jednak pod zębata paszczą ryby o białym dziecku bahaitki.

– A co się stanie z jej dzieckiem, gdy pójdziemy do domu, a ona tu zostanie?

– zapytała i od razu tego pożałowała, zasłaniając z przestachem usta.

– Zostanie ze swoją matką, nie myśl o... – uciszył ją małżonek.

– Szahin, posłuchaj – zahuczał jej szept. – Na cóż nam tak dużo pieniędzy? Może weźmiemy tylko dzbany, które są już pełne złota i diamentów...

– Flora! – warknął, wybałuszając oczy. – Pamiętaj, co ci mówię – zniżył głos, a jego oczy się zwężyły. – Musisz robić to, co ci mówię. Bo jeśli nie... – Pogroził jej palcem przed nosem, a w drzwiach pojawił się służący bahaitki.

Szahin pociągnął Florę za drzewo, rozłożył koc i nakazał jej się położyć. Łagodnym głosem opisywał jej raz po raz ukryty pod ziemią skarb. Źródłana woda sączyła się do jego historii, a Flora odnalazła wreszcie sen, którego szukała poprzedniej nocy na uliczkach Omridżanu. Śniła, że została uwięziona z dzieckiem Mamu w słoiku z ogórkami kiszonymi, z którego świat wydawał się jej ogromny, a ludzie byli olbrzymami.

Dwupiętrowa posiadłość miała pierwotnie tylko jedno piętro. Ściany były oblepione grubą i chropowatą warstwą gliny i nie były wyłożone muszlami. Również wypchana ryba spokojnie sobie pływała w głębinach morskich. Dom należał do Menasze Nahidjana, zamożnego żydowskiego kupca, który potrafił czytać pismo Anglików. W chwili śmierci zostawił domostwo najstarszemu synowi, mądremu Rafaelowi. Ponieważ Rafael nie znalazł jeszcze żony, która by zajęła wraz z synami jego pokoje, zamieszkał tam ze swoim młodszym bratem, głupim Maszijachem.

Bracia Nahidjanowie nie mogli jeść chleba, ciastek, roślin strączkowych, wołowiny ani drobiu. Jeśli odważyli się włożyć do ust któryś z zabronionych

produktów, ich skóra natychmiast pokrywała się czerwonymi swędzącymi plamkami. Rano wysypka znikła, jakby jej nie było, ale w nocy nie mogli zmrużyć oka i drapali się jak zaatakowani pokrzywką. Matka obsypywała hojnie ich półmiski serami, rybami i owocami, wciskając im w dłonie słodczyce. Przez całe dzieciństwo topniały im w kieszeniach kostki francuskiej czekolady, ich pot był słodki jak cukier, lecz mimo to pozostali chudzi i słabowici. Nie odziedziczyli po ojcu urody ani mocnej budowy, pod nosem wyrósł im tylko meszek, a tłuste pryszcze nie zniknęły im nigdy z twarzy. Nauczyli się za to od niego, jak handlować z Anglikami cukrem, migdałami, olejem słonecznikowym i jak kupować gigantyczne kawałki chałwy.

Wielkie bogactwo zdobyli jednak przypadkiem, nie dzięki mądrości starszego brata, ale dzięki głupocie młodszego.

– *5000 pounds sugar cubes, 5000 pounds granulated sugar, 1000 pounds bitter almonds, 5000 pounds bottles sunflower oil.* I pamiętaj, zapisz to literami wielkimi jak pająki – odczytywał kilkakrotnie z kartki Rafael.

– Czy mam powiedzieć jeszcze raz, mój głupi bracie, nierozgarnięty osłe? Jeszcze raz? – powtórzył zamówienie głośno trzykrotnie, akcentując każde słowo, tak aby weszły dobrze do uszu jego brata Maszijacha, wyrastających mu z obu stron głowy niczym wielkie skrzydła. Gdy Maszijach przybył do urzędnika na poczcie w Babolu i przepisał zamówienie swoim pięknym charakterem pisma, był z siebie bardzo dumny, język wystawał mu z kącików ust, a brwi stały się jedną gęstą spoconą kreską. Litery wymalował czarnym atramentem, łącząc ze sobą ich wywijane ogonki i ozdabiając znaki przestankowe. Ale tak bardzo się starał, że bezwiednie dopisał okazałe okrągłe zero do ilości zamawianego przez brata sypkiego cukru.

Urządник na poczcie kiwnął głową z uśmiechem, widząc wielkie cudzoziemskie litery, położył telegram na wagę pocztową, podał podwojoną cenę i oznajmił Maszijachowi, że wysyła list na szybkim jak błyskawica jednogarbny wielbłądzie, który pokona drogę do Isfahanu w dziesięć dni w odróżnieniu od wielbłąda dwugarbnego, który potrzebuje na to dni dwudziestu. Dla odstających uszu i lekkomyślnego ducha Maszijacha wyjaśnienie brzmiało logicznie i zostało przyjęte.

Minęła zima i wiosna, aż w końcu starszy brat Rafael usłyszał dźwięk dzwonek wielbłądów, przechodzących przez miejską bramę, niosących na grzbietach przesyłki z cukrem, migdałami i olejami. Brzęczenie było głośniejsze i radośniejsze niż kiedykolwiek wcześniej, a kiedy Rafael wystawił głowę przez okno, nie mógł dostrzec końca złotej karawany. Zdjął ze spodni pasek i chłostał głupiego brata Maszijacha do momentu, aż ten zaczął udawać nieżywego. Następnie wspólnie opróżnili wszystkie pokoje w domu, układając w stos meble i dywany nad źródłem pośród pistacji. Wieże skrzynek cukru wznosiły się

w każdym kącie, zasłaniając całkiem kamienne płytki i okna. Kawałki chałwy, butelki oleju i worki z migdałami bracia upchnęli w piwnicach i przez całe lato spali jak żałobnicy na wąskim materacu, położonym na jedynym wolnym skrawku dywanu przy drzwiach. W nocy Rafael bił brata, policzkując go oraz szczypiąc, i obaj płakali, udając martwych. Pili zbyt słodką herbatę, przytyli jak ich ojciec i przeganiiali hordy czarnych mrówek, uderzając w wielkie tambury.

Był to rok wielkiej suszy. Studnie i stawy rybne wyschły, pola, zagony i plantacje obumarły, a piwnice i spichlerze opustoszały. W zaciemnionych pokojach braci Nahidjanów paliło się jednak światło. Przy drzwiach do ich domu tłoczyli się nie tylko mieszkańcy Babolsaru, ale także wieśniacy z okolicy, do których dotarła pogłoska o wielkiej kopalni cukru. Skrzynki opróżniały się z białych ziarenek, a ich miejsce zajęły pieniądze. Kiedy ludzie wydali wszystko, co mieli, zaczęli zapełniać skrzynie braci złotą biżuterią, diamentowymi pierścionkami i perłowymi naszyjnikami, garnkami z opium i miskami z haszyszem, ozdobnymi naczyniami miedzianymi i rolkami jedwabiu.

Maszijach i Rafael dobudowali do swojego domu jeszcze jedno piętro z łukowymi oknami i małymi balkonami. Podłogi obydwu kondygnacji wyłożyli znakomitym marmurem, zewnętrzne ściany pokryli muszlami, a nad wejściem zawiesili rybę z otwartą paszczą. Kiedy szach Mohammad Reza Pahlawi wstąpił na tron i w całym królestwie wybuchły zamieszki, mężczyźni zeszli do piwnicy i ukryli skarb w dole wykopanym pod płytkami podłogowymi. W drodze do Jazdu obaj bracia, zarówno mądry, jak i głupi, zostali zamordowani, ale rozbójnicy znaleźli przy nich jedynie łupiny po pistacjach, trochę migdałów i rozpadające się kostki cukru. Na dwóch piętrach opuszczonego domu zamieszkała bezdzietna rodzina bahaitów, a w piwnicy osiedliła się rodzina węży.

– Ale ja nie jestem już zmęczona, spałam na dworze – powiedziała Flora, a ómy, które wleciały za nią do domu, wirowały jej nad głową.

Lejli zleciła długorękiemu lokajowi rozłożyć dla Flory materac na parterze, a jej nakazała niczym dziecku, które nie chce spać, pójść za służącym i się położyć. Ta jednak zapomniała o obietnicy danej Szahinowi, gdy bandażował jej pokaleczone kolana, i nie ruszyła się z miejsca.

– Flora, idź spać – powiedział Szahin, rzucając ostrzegawcze spojrzenie, ale ona nadal wpatrywała się znad zaokrąglonego brzucha w palce wystające z czubków podartych filcowych pantofli.

– Flora, słyszysz mnie? – zbliżył się do niej i chwycił ją za brodę, unosząc do góry głowę i przypominając wymownym spojrzeniem, co mu obiecała.

Flora jednak potrząsnęła głową, a jej rozczochrane włosy dyndały na boki wraz z piersiami.

– Chcę spać z tobą.

– Flora, kochanie – wycodził przez zęby Szahin, wbijając paznokcie w jej ramię tak mocno, że aż się skrzywiła z bólu. – Idź już spać.

– Chcę z tobą – rytmicznie kołysała kolanami, wzruszając obolałymi ramionami jak rozkapryszone krnąbrne dziecko. – Nie chcę sama, chcę spać z tobą.

Pośród lampek oliwnych Szahin i jego dwie żony udali się po schodach do pokoju Lejli, składającego się z wielu małych zacienionych niszy. W półmroku Flora dostrzegła, że na podłodze zamiast poukładanych w stertę dywanów rozłożone są bydlęce skóry i wyprawione skóry zwierząt łownych. Ich zapach dominował nad słonym aromatem morza, który przenikał do pokoju przez szpary w ścianach, a ich faktura pieściła bose stopy Flory. Zmęczenie odeszło, a ona chciała obejrzeć pokój, ale Lejli zdmuchnęła gwałtownie świeczkę i pomieszczenie pograżyło się w całkowitej ciemności.

– Szahin? – zawołała Flora w mroku, słysząc trzepoczące przy uszach ćmy. – Szahin, gdzie jesteś? Nie widzę cię.

– Jestem tutaj – odpowiedział po chwili ochryple.

Flora szła po omacku jak niewidoma w kierunku dobiegającego głosu, aż dotarła do Szahina i oplótła jego szyję ramionami. Chciała położyć głowę na jego piersi i głaskać rzadkie owłosienie, ale wtem natrafiła na miękkie i przyjemne w dotyku włosy, a jej zdumione ręce napotkały dwie malutkie piersi. Macała je z zaciekawieniem i nagle poczuła napierający na nią mały i twardy brzuch Lejli.

– Ha, ha, ha, głupia smarkula... – rozległ się zgrzytliwy śmiech Lejli.

Dziewczyna odskoczyła do tyłu i chwiejąc się, upadła twarzą na pachnącą wielbłądzią skórę.

– Chodź, Flora – Szahin wyciągnął do niej rękę i zaczął prowadzić ją w stronę łóżka żony. – Musisz iść spać.

Pomacała jego dłoń i wyczuwając owłosione palce, wcisnęła je pomiędzy swoje pulchne paluszki.

– To ja – powiedział Szahin. – Ostrożnie, Flora, ostrożnie.

Dała dwa niepewne kroki do przodu. Przy jednej z nisz Szahin położył ją ostrożnie, starając się nie podrażnić jej stłuczeń. Flora czuła na szyi jego oddech. Ciało miała dłuższe od materaca i podciągnęła pod siebie wystające nogi. Mążonek okrył ją kołdrą i położył się przy niej, odwracając się do niej okrągłymi plecami. Nawet bez dotykania ich Flora wiedziała, że kręgosłup odznacza się na koszuli, i widziała oczyma wyobraźni ukochaną twarz męża i jego drgające uporczywie oko.

Chciała mu podać rąbek sukienki do potarcia, ale wyłowiła uchem odgłos szeleszczącej w pościeli jedwabnej koszuli Lejli. Słyszała, jak bahaitka przygląda do ciała kołdrę, wydaje ciche znużone westchnienie i tuli się do Szahina. Zielony wąż powędrował w stronę jego bioder, a niebieski ku jego twarzy. Flora przywarła

do pleców męża, jedną rękę kładąc mu na włosach, drugą na tyłku, i słodko ziewnęła. W pokoju zapadła cisza. Pośród szumiącego wiatru i oparów snów czuła długie paznokcie Lejli wędrujące po ciele Szahina i tak jakby przypadkiem muskające również ją. Włosy Szahina stanęły dęba, kłując Florę w dłoń, i także jej skóra się najeżyła. Kupiec zajęczał, próbując stłumić wydobywające się z ust dźwięki i poruszając się między żonami niczym tancerka pośród ognistych języków. Tysiąc pęknięć powstało na skórze Flory, rozwierając się w głębokie rozpadliny. Słyszała bijące razem gwałtownie serca małżonków i swoje własne łomoczące samotnie. Do jej uszu dochodził szelest zdejmowanych ubrań i odgłos rozpinanych guzików, a w ciemności pobłyskiwało białe ciało Lejli, ginąc co chwila w cieniu ciała męża.

– Ci... – kupiec wyszeptał do żony, gromiąc ją za namiętność.

Spoglądał niespokojnie zezującym okiem w stronę Flory, a Lejli wpatrywała się w sufit. Flora zamknęła oczy i zimny pot wystrzelił strumieniami ze wszystkich porów w jej ciele, ożywiając zapach zwymiotowanego arbuza z ubiegłej nocy. Gdy je otworzyła, zobaczyła, że Szahin wbija się do ciała Lejli, wiercąc się w nim, i oboje dygoczą. Wytatuowane węże wiły się nad ich głowami.

– Szahin, nieładnie tak, idę do domu.

Flora zsunęła się z materaca na rozłożone na podłodze zwierzęce skóry, wstała ociężale, podpierając się rękami, i próbowała wydostać się z pokoju pełnego nisz, węży i cieni. Podniosła pantofle, wciskając je pod pachę, i powoli zaczęła się przemieszczać. Jedną ręką trzymała się ściany, szukając po omacku wyjścia, drugą zatykała ucho, aby nie słyszeć rytmicznych jęków. Kiedy wyczuła wsunięty w pierścień rygiel, gwałtownie go wyciągnęła i szybko otworzyła drzwi. Wystawiła jedną, a potem drugą nogę na schody, ale morski wiatr porwał ją za sobą.

Okazało się bowiem, że zamiast drzwi na korytarz szukające po omacku ręce Flory otworzyły okno balkonowe. Zatoczyła się na niskim parapecie i poszybowała na wietrze przez balustradę, a z nią pofrunęły jej buty. Osioł Szahina podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej, gdy wylądowała przy nim wśród drzew. Pistacje spadały jej na włosy, a ćmy krążyły nad głową.

19.

Gdy Nazi wyszła z meczetu, osłaniały ją i głaskały liście palm w alejce. Przebijały się przez nie cienkie promienie południowego zimowego słońca, muskając włosy dziewczynki. Głowa płonęła jej między ramionami otulonymi starym czadorem. Nazi próbowała zatamować krew dłońmi, ale ta nadal spływała jej między palcami i po szyi, wsiąkając w czador. Opuściła więc ręce i pozwoliła czerwonemu strumieniowi łać się z przeciętych płatków ucha jak z odkręconych kranów. Twarz wykrzywiła się z bólu, a serce galopowało. Stojący na meczetowym dziedzińcu mężczyźni wpatrywali się w jej plecy, a ludzie na targu przyglądali jej obliczu.

Chłopi na mułach, domokrażcy wędrujący z wózkami pomiędzy straganami na bazarze i domami gospodyń, bezpieczeństwa koty, psy, dzieci, wszyscy oni stali i patrzyli na nią. Żebracy rozdziawiali na jej widok puste usta. Handlarze przestawali śpiewać, a ich klienci odwracali się, aby popatrzeć na wymalowaną twarz żydowskiej sierotki – Nazicze Ratorian, na jej ubłoconą sukienkę i czador z wielbłądziej wełny, który stawał się coraz bardziej czerwony.

– Raz jest gołębiem Zafarollahów, a zaraz potem pawiem Delkasztów – usłyszała, jak ktoś wykrzyknął, gdy przechodziła, stąpając ostrożnie po prostej linii, którą wyznaczyła sobie wśród błotnistych kałuż na drodze do Dżubare. Z oczami wbitymi w ziemię szukała jak zwykle upuszczonych monet, które zamigotają do niej z brudnego chodnika. Serce wyskakiwało jej jednak z piersi.

Gdy wyszła z meczetu, wysunęła głowę do przodu, przytakując szybko z podzięką, niczym dziobiący w pośpiechu ziarna gołąb. Złote kolczyki nie dzwoniły jej już w uszach, a monety nie kołysały się na rybich ogonach. Pływały we krwi w otwartej dłoni muły, zanurzając się w starczych bruzdach. Jeszcze zanim Nazi przecięła uszy, poczuła nadchodzący przeszywający ból. Cieniutkie struny rozpaczy rozciągnęły się jej przed oczami i zasłoniły oblicze starca. Ale kiedy wyrwała sobie z ciała złoto, struny pękły jedna za drugą i wszystko teraz stało się wyraźne. Ból był tak bardzo pobudzający, a tryskająca krew tak zdumiewająca, że Nazi zapragnęła czegoś więcej. Gdy spostrzegła, jak karmazynowe krople kapią na dywan z upolowanymi jeleniami, spojrzała prosto w wytrzeszczone oczy muły i zażądała, aby przystał na jej prośbę.

Początkowo nie wiedziała, dokąd pójść. Czy zmieszać się z tłumem na bazarze i najpierw zanieść nowinę Musie? Sklep jest przecież bardzo blisko, w wejściu tłoczą się próżniacy, handlarze sprzedający solniczki, pieprzniczki i słodycze. Fartuch Musy jest cały we krwi jak jej sukienka, nóż, który trzyma w ręku, odbija blask na jego pryszczatej twarzy, a on nie myśli o Szahnaz Tamizi, tylko o niej. Czeka na jej obiecaną wizytę. Zapakuje dla niej kurczaka, przewiąże

go sznurkiem i powie, co chce na kolację. A może powinna pobiec najpierw do domu? Potrząsnąć leniuchującą w łóżku Miriam-chanum i przy akompaniamencie jej porannych ziewnięć oznajmić:

– *Amme bozorg, amme bozorg*, mogę wyjść za Musę, muła powiedział, że mogę dziś wyjść za Musę.

Nazi, która bardzo pragnęła przypodobać się ciotce, uniosła do góry sukienkę i pobiegła do domu, aby ściągnąć koce z jej twarzy i obwieścić zgodę na ślub, tak jakby kobieta była jej matką. Wyłoniła się z placu targowego i przekroczywszy Bramę Księżycową, nie wybrała drogi przy synagodze prowadzącej prosto do Dżubare, ale okrążyła wioskowe mury, aby uniknąć zawistnych ludzkich spojrzeń i wścibskich pytań. Ale również tam, gdy mijiała hałaśliwy młyn żydowskiego młynarza Sulejmana, zięcia Pinchasa, robotnicy przerwali pracę i śledzili ją wzrokiem, dzierżąc w dłoniach snopy pszenicy.

Gdy zbliżała się już do zaułka, zobaczyła zza zakrętu stojącą w bramie Miriam-chanum. Jej głowa otulona czarnym czadorem kręciła się na boki, a oczy rozglądały niespokojnie. Homa siedziała w rozkroku pośród kałuż na niskim schodku u stóp matki. Opierając się zgarbionymi plecami o słup bramy, krzywą nogę skierowała w stronę domu, prostą wystawiła na ulicę. Jak zwykle gestykulowała zamasyście podczas mówienia i Nazi słyszała jej krzyki już spod Bramy Żydów, ale nie mogła zrozumieć słów. Chciała podbiec do ciotki i wypłakać się na jej ramieniu, ale kiedy podeszła bliżej, spostrzegła, że twarz Miriam-chanum przybrała napięty wyraz, a kobieta cedzi przekleństwa przez zaciśnięte zęby.

– Gdzie jest Flora? Widziałaś Florę? – warknęła do niej Miriam-chanum, jak tylko ją zobaczyła.

Homa podniosła się ociężale, otwierając szeroko oczy, a Nazi przypomniała sobie zimną pościel na pustym posłaniu kuzynki.

– *Wawejla!* Co ci się stało? Myślisz, że stałaś się w ciągu jednej nocy damą? – Homa złapała poły ślubnej sukni Flory, zatrzepotała nimi, a Nazi potknęła się i upadła. Palce Homy drapały powietrze. – A gdzie jest moja głupia siostra, która pozwoliła ci to założyć i pójść tak na targ?

– Oj Nazi, a niech cię szlag trafi, a skąd się wzięła na tobie ta cała krew? – wrzasnęła Miriam-chanum, krzywiąc się. – Gdzieś ty była, że coś takiego ci się przytrafiło?

– A gdzie zniknęła moja siostra Flora w środku nocy, co? Pewnie wiesz, dokąd poszła – Homa szarpnęła Nazi za ramię, jakby chciała je wyrwać.

Nazi potrząsnęła głową i podniosła się.

– No spójrzcie tylko na nią. Nie okłamuj nas, Nazi. Szalona Mani dżun widziała ją, jak wychodzi przez sen. Dokąd ta głupia poszła? Może chciała jeszcze jednego arbuza?

– Nie ma jej u Nosrat i Soltana twierdzi, że u niej również się nie pojawiła. Z kolei Fattane, niech wyskoczą jej oczy, nie ma w domu. Żebrak Chaim też jej nie widział. Wszyscy za to opowiadają brudne jak ich gęby historie. Przetrzęsaliśmy już z Homą cały Zaulek Migdałowców i nigdzie jej nie ma. Nazi, na Boga, gdzie ona polazła?

– Niech padnę trupem, jeśli wiem, rano nie było jej w łóżku... – wzburzona Nazi zdjęła czador z włosów, odsłaniając rozcięte, krwawiące płatki ucha.

Miriam-chanum uderzyła się w pierś i po grzbiecie dłoni.

– Wielkie nieba, Nazi, coś ty sobie zrobiła? Na grób twojej matki, powiedz mi, gdzie wyrzuciłaś kolczyki, które ci dałam?

– Nie mam ich już, *amme bozorg* – Nazi przygryzła dolną wargę. – Wybacz mi, Bóg w niebie widział, że nie miałam wyjścia. Musiałam dać je mulle z meczetu na bazarze...

– Ojoj! – Miriam-chanum przerwała jej, drapiąc swoją piękną twarz. – A on, niech będzie przeklęty na wieki, i ty też bądź przeklęta, nieszczęsne dziecko, które psom rzuca nasz honor, to on cię tak urządził z tą krwią? Niech mu wypadną gojskie oczy z orbit i spalą się dziś rano w ogniu słońca.

– Tak.

– Och Nazi, niech cię piekło pochłonie, jeśli mnie okłamujesz... – oczy Miriam-chanum zwęziły się podejrzliwie, a Homy otworzyły szeroko ze złością.

– Przysięgam, niech umrę za ciebie, jeśli kłamię – pisnęła Nazi podniecona. – I powiedział, że za kolczyki, które mu dałam, mogę się pobrać tej nocy z Musą. Mamy pójść do niego w południe do łaźni, on da nam papier i nocą wręczymy go mulle Netanelowi, żeby zrobił z Musy pana młodego, a ze mnie pannę młodą. Kazał nam uczynić wszystko potajemnie i po cichu, żeby nikt nie doniósł na nas urzędnikom, bo inaczej przypłacimy to głową. Tak powiedział, *amme bozorg*, jak Boga kocham! – oczy Nazi wypełniły się wielkimi jak kamienie łzami.

– *Azizam!* – wykrzyknęła Miriam-chanum – Moje gratulacje, *azizam!*

Przycisnęła głowę Nazi do wonnej piersi i obsypywała pocałunkami kapiącą i krzepnącą krew, umalowaną twarz i stary czador. Nawet Homa przestała szczypać rękę kuzynki i objęła ją z miłością.

– Nazi, *azizam*, przysięgnij mi na to świecące słońce, na to niebo – dzisiaj powiedział? Dzisiaj?

Mała kiwnęła głową uwięzioną wśród czterech ogromnych piersi. Kobiety wydały z siebie radosny zdławiony trel, a ona nie chciała wyciągnąć głowy z ciepłego duszącego gniazda, w które się wtuliła. Pragnęła, aby jej matka wcisnęła się między Homę oraz Miriam-chanum i objęła ją, aby rozległ się wśród nich nieokielznany chichot Flory i aby czterem drżącym piersiom na jej ciele towarzyszyło chrupkanie kuzynki. Chusta zsunęła się jej z głowy, a w ślad za nią zaczęły płynąć łzy, rozkwitające niczym kwiaty potu w letni dzień na rozgrzanych

od ciał, kobiecych czadorach.

– Nazi, nie płacz w dniu swojego ślubu – zbeształa ją Homa, ocierając jej twarz i rozmazując resztki makijażu. – To dzień wielkiego wesela, a nie żałoby. Na litość boską, chyba nikt nie umarł, prawda?

– Chodź tutaj – Miriam-chanum objęła dłońmi małą twarzyczkę dziewczynki, chcąc powstrzymać łzy, i wytarła jej mały nosek. – Słońce jest już prawie na środku nieba i trzeba się przygotować. Nalejemy do garnków wody i postawimy na słońcu, żeby się nagrzała na kąpiel dla naszej małej panny młodej.

Gdy Nazi z Homą czerpały z cysterny wodę, która od rana stała się przejrzysta i pozbawiona choćby śladu lodu, przypomniła sobie z przestachem o siekającym drób na targu Musie. Muchy bzyczą mu nad głową, a jemu nie przychodzi nawet na myśl, że nadszedł dzień jego ślubu. Posłano więc po niego i ojca Homę, aby nakazała im zamknąć sklep i wrócić do domu.

– Powiedz mu – krzyczała za nią Miriam-chanum. – Niech przyśle na ośle małego tragarza Parwiza wszystkie potrzebne rzeczy. Niech kupi dużo chlebów *lawasz* i *barbari* i potrzebujemy również suszonych cytryn, prawda, Nazi?

– Tak. I ryb, i jajek.

– Tak. Ryb i jajek do błogosławieństw, a Dżandżan *sabziforusz* powiedz, żeby odłożyła mi trochę kolendry i estragonu, bo mamy dzisiaj wielkie świętowanie. Ale niech trzyma swoją dużą gębę na kłódkę, powiedz tej idiotce, albo nie, lepiej nic jej nie mów. Zrobiły w swoich fantazjach z mojej córki dziwkę. Tylko gdzie jest Flora? Gdzie jest ta dziewczyna? Do diabła z nią, jakby połknął ją arbuź, ile zgryzot sprowadza na ten dom... Tylko nic nie mów Dżandżan, słyszysz?

Miriam-chanum złapała świecące blado na niebie przejrzyste słońce do wielkiego gara pełnego zimnej wody. Spojrzała do środka, a zaraz potem ku górze, powątpiewając w ciepło promieni słonecznych. W końcu położyła obok siebie dwa kamienie, ustawiła na nich małe palenisko i rozpała ogień pod garnkiem. Woda powoli się nagrzewała i zaczęła unosić się z niej para.

Nazi nie widziała tak radosnej i pełnej życia Miriam-chanum od czasu, gdy została przygarnięta do domu. Flora nie uwierzy, jak wróci, gdy jej o tym wszystkim opowie. Nowy duch, jakby diabelska energia, ogarnął Miriam-chanum, która biegła po domu z rozpuszczoną koroną z warkoczy na ramionach i szerokimi uśmiechami łączącymi oczy z ustami. Jej piękne dłonie obudziły się do życia i przecinały powietrze niczym pracowite nożyczki. Otworzyła wszystkie okna w domu, zwinęła w kłębek przepocone prześcieradła, związując ich rogi w tobolek. Porozrzucane po domu worki z pierzem upchnęła w pokoju dziewczynek, razem z małym kuchennym stołem i krzesłami. Zawlekła tam również Mani dzun skuloną w koszu, a oczy starej niemal wyszły z orbit:

– *Wawejla!* Co się stało? Umarł ktoś? – wrzasnęła przerażona Mani dzun.

– Mamy dzisiaj ślub – zawołała uradowana Miriam-chanum. – Mamy dzisiaj

pana młodego i pannę młodą! – krzyknęła, całując teściową w zmarszczone czoło pomiędzy uniesionymi brwiami.

– Ślub... Jaki ślub? Wydajecie mnie za męża? Kto jest moim oblubieńcem? Wyciągnijcie mnie stąd, trzeba mi pięknej sukni, trzeba mi kwiatów we włosach. Och Boże, jakiego kawalera mi znaleźliście?

– Wysokiego mężczyznę, silnego jak pies, jak wilk, jak koń, Mani dżun... – zaśmiała się Miriam-chanum i wyszła z pokoju dziewczynek.

Na dywanach w dużym przedsionku rozłożyła ogromne obrusy *sofre*, na których nadal widniały wyblakłe plamy z tłuszczu i wina ze ślubu Flory i Szahina. Dokoła porzrzucała haftowane puchowe poduszki, a materace oparła o ściany. Ze spichlerza przyciągnęła worki mąki i ryżu, paczki cukru i soli, fasoli i soczewicy, dzban wina i wiele słoików miodu.

– Oj, Flora... Co ja zrobię tej dziewczynie, jak wróci. Połamię jej ręce i nogi, łązi gdzieś w środku nocy... – Zapach topniejącego w garnku *dombe* rozniósł się po domu, przypominając woń spalenizny.

– Teraz chodź tutaj, Nazi, chodź tutaj, *azizam* – zawołała Miriam-chanum, znikając ponownie w spichlerzu. – Wszystko to jest twoje – Nazi usłyszała, jak mówi. – Twoja matka dała mi te rzeczy dla ciebie, abym ci je przekazała w dniu twojego ślubu z Musą.

Nazi stała w drzwiach, gdy Miriam-chanum podniosła skrzypiące wieko stojącej w kącie wielkiej skrzyni, której wyłobienia i zamki pokryte były kurzem. Zawsze myślała, że to jedna ze skrzyń z posagiem Flory, a teraz odkryła, że kufer jest wypełniony po brzegi rzeczami, które należały do jej matki. Było w nim lusterko ze stojakiem, haftowany płaszcz i drugi, krótki, trzy sukienki i szlafrok, grzebień, z którego zębów wystawały włosy matki, trzy bucharskie dywany, lejek z miedzianą miską, srebrne świeczniki, cynowe miseczki i rozpylacz perfum z czerwonym płynem, którego ostry zapach rozniósł się po spichlerzu. Z aksamitnej fioletowej sakiewki Miriam-chanum wyciągnęła klejnot z turkusem na zmatowiałym srebrnym łańcuszku i złoty pierścionek z wtłoczonymi granatami.

– Zanim twoja matka umarła – powiedziała Miriam-chanum – pożyczyła ode mnie dziesięć jajek, których nigdy nie zwróciła. Gdyby ich nie wzięła, miałabym teraz dziesięć tłustych kur, które dałyby mi do tego czasu dużo jajek, kurczaków i pieniędzy. Więc Nazi, *azizam*, wezmę teraz ten naszyjnik i zapomnimy o całym długu twojej matki... No dobrze, co tak stoisz i patrzysz? Wyjmij to wszystko i chodźmy, minęło już prawie pół dnia.

Miriam-chanum wniosła do domu garnek z gotującą się wodą. Ustawiła go na środku pokoju dziewczynek, wyglądającego jak nieuporządkowany magazyn. W kącie siedziała na piętach podekscytowana Mani dżun, rozplatając czarnymi palcami warkocze i rozpuszczając białozółte kukurydziane włosy. Chichocząc jak przejęta panna młoda, lizała sobie dłonie i wycierała śliną włosy.

– Zbuduję wannę, la la laj – śpiewała, myjąc sobie głowę.

– Zbuduję wannę, la la laj, z czterdziestoma filarami i czterdziestoma oknami, la la laj... – zawtórowała Miriam-chanum, zdejmując z Nazi czador.

Jednym pociągnięciem rozwiązała kokardki ze ślubnej sukni Flory. Materiał zsunął się pod dziecięce sutki, sterczące zuchwale jak para oczu.

Miriam-chanum zamaszystym ruchem zdjęła z dziewczynki sukienkę, wysoko ją unosząc. Nazi stała ze skrzyżowanymi rękami jedynie w znoszonych bawełnianych majtkach. Chłód sprawiał, że jeżyły jej się włosy na skórze. Zimne palce Miriam-chanum ściągnęły zwinnie majtki Nazi, a dziewczynka oparła się o ciotkę i wy dostała z nich nogi. Czowała, jak jej kości dżgają ciało Miriam-chanum, a gęsia skórka kłuje ją tysiącami szpilek.

– Jaka ty malutka, *azizam*, jaka malutka – powiedziała Miriam-chanum, klaszcząc w dłonie i wędrując wzrokiem po ciele Nazi, jak gdyby widziała ją pierwszy raz w życiu. – Trzeba cię utuczyć orzeszkami ziemnymi i migdałami, żebyś trochę przytyła... No wchodzi, wchodzi do środka, mamy już południe...

Nazi weszła do blaszanej miednicy i skuliła się w niej jak Mani dzun w koszu. Miriam-chanum naląa gorącej wody.

– Parzy! *Amme bozorg!* Parzy!

– Czterdzieści filarów i czterdzieści okien, la la laj, la la laj... – Gorąca woda sięgnęła Nazi do szyi i zabarwiła się na różowo od krwi.

– Napełnię wannę różaną wodą, aby umyć w niej moją pannę młodą. La la laj, la la laj, włosy gładkie jak woda ma moja panna młoda, twarz jaśnieje jak księżyc...

Włosy Miriam-chanum zsunęły się falistym ruchem na ramiona, a twarz zaokrągliła się i rozjaśniła. Szorowała Nazi mydłem i drapiącą roślinną gąbką, aż jej skóra się zarumieniła. Głowę skrobała paznokciami, tworząc pianę na włosach. Bańki mydlane pękały w uszach, krople wody kapały niczym łzy z piekących płatków uszu, a mała zaciskała zęby.

Nazi, otulona miodem jak grubą kołdrą, czowała, jak ból z wolna przemija. Miriam-chanum nabierała całymi garściami słodkiej mazi ze słoika i smarowała dziewczynkę, aż ta przestała dygotać. Miodowe okrycie skwierczało na rozgrzanym ciele niczym sól na ogniu i czyniło miękkimi sterczące na skórze włoski. Nazi, wysmarowana aż po brwi kleistą słodyczą, była upojona ciepłą wonią, a jej okrągła twarzyczka świeciła jak złota pomarańcza z Szirazu. Miriam-chanum nie przeoczyła ani jednego miejsca i mała cała połyskiwała. Lepkie palce przemykały pod pachami i po karku niczym tancerka tańca brzucha na zaręczynowym przyjęciu. Pory na skórze rozwarły się jak tysiące maleńkich ust i łapczywie spijały miód.

– Ty też chcesz trochę złota, Mani dzun, nasza panna młoda? – Miriam-chanum zwróciła się do teściowej z błyszczącymi jak monety oczami

i maznęła jej wąsik miodem.

Staruszka z włosami wilgotnymi i gładkimi od śliny, wysunęła język i zlizywała słodycz nad górną wargą. Nazi ssała spiczaste kolano, a miód, gęsty i słodki, spływał jej do ust. Przez okno wpadały migoczące świąteczne promyki.

Zapachy i odgłosy dochodzące zza koralikowej kotary w kuchni mówiły jej, że ciotka sieka cebulę i wrzuca ją na skwierczący barani łój, aby się zeszkliła i przybrała złoty kolor. Myślała o biżuterii matki ukrytej przed nią wśród worków soczewicy i pszenicy i narastała w niej złość za te wszystkie dni, które minęły jej bez grzebienia, lustra czy perfum, gdy zazdrościła Florze biżuterii.

W zaułku zadźwięczał dzwonek osła, a zaraz potem ucichł. Po kamiennym bruku ciągnięto skrzynki, a na ziemię rzucono worki. Niskie drzwi wejściowe zaskrzypiały na żelaznych zawiasach, a głos męża Miriam-chanum, przynoszącego do domu krążące po wsi pogłoski, zmieszał się z głosem Homy, która szukała Flory, i z rozszałymi wyzwiskami Miriam-chanum. Mały tragarz Parwiz wykorzystał zamieszanie i zażądał wygórowanej zapłaty, a mąż Homy się z nim targował. Między jednym a drugim przekleństwem Miriam-chanum przywitała radośnie syna, obsypując go pocałunkami. Ale w rozciętych uszach Nazi rozbrzmiewał jedynie głos podekscytowanego Musy, zagłuszając pozostałe dźwięki.

– Gdzie jest Nazi? – usłyszała krzyk kuzyna.

Zaprzagnęła otrząsnąć się z ciężkiego miodowego okrycia i podbiec do niego. Podniosła się, ale nagle w zaułku zerwał się wiatr, trzęsąc i trzaskając o ścianę oknami. Nazi patrzyła z wybałuszonymi oczami, jak wywraca worki z pierzem, ułożone w stercie przy koszu Mani dżun. Gęsi puch gonił kurze pióra, wirując w powietrzu jak płatki śniegu, a za nimi unosił się pył i liście. Próbowwała uciec, ale niesione przez wiatr przyklejały się do miodu na jej nagim ciele. Gdy miała zobaczyć, że wygląda jak oskubany ptak, zalała się słodkimi łzami. Jej lepkie wargi przywarły do siebie i nie chciały się rozchylić, obfity pot zmieszał się z miodem, puch wystawał z uszu, a całe ciało swędziało, jakby wyrósł na nim futrzany płaszcz. Mani dżun wrzasnęła na widok diabelskiego dziecka, które przyfrunęło z zaułka, a Miriam-chanum wtargnęła do pokoju niczym burza.

– *Wawejla!* – wydzierała się – zobacz, co ty sobie narobiłaś, wstawaj, wstawaj, czemu znowu płaczesz? Mówiłam ci, że nie wolno ci dzisiaj płakać, prawda? To przynosi pecha i przez twoje łzy diabły zamieniły cię w kurczaka. Mówiłam ci czy ci nie mówiłam? Wstawaj, co z tobą? Chcesz mnie doprowadzić do szaleństwa? Nie wystarczy, że Flora nam zniknęła akurat dzisiaj? Bóg jeden wie, gdzie jest ta dziewczyna i co ona ze sobą wyprawia.

– Mamo – zabrzmiał zdenerwowany głos Musy – co się stało Nazi?

– Wszystko w porządku, zaraz wyjdzie – odpowiedziała Miriam-chanum pospiesznie, zamykając drzwi i ryglując okno. – Wstań i umyj się jeszcze raz.

Musa już przyszedł i czeka na ciebie na dworze. Jak długo ma czekać pan młody na swoją pannę młodą?

Woda stała się letnia. Nazi unosiła się na niej, a miód na jej wargach był bez smaku niczym wosk. Ciotka oskubywała z niej spiczaste pióra, drapiąc skórę i odsłaniając lepki czerniejący miód, a ona sama gryzła się w ramiona, wrywając zębami uparte resztki puchu.

– Nazi? – usłyszała ponownie Musę wołającego ją zza drzwi. – Nazi? – Jego pies zaskowyczał w zaułku jak wataha wilków, a Mani dzun załkała z przerażenia.

Pomyślała, że musi się spieszyć. Musa nie może już wytrzymać, nie może się jej doczekać.

Miriam-chanum włożyła w szczotkowanie włosów Nazi cały swój żal i całą swoją wściekłość na Florę, na pogłoski, które przyniósł jej mąż z targu. Grabiła włosy grzebieniem, a palcami drapała skórę głowy.

– Nie ruszaj się, *azizam*, siedź cicho i pozwól się czesać – syknęła.

Nazi wstrzymała oddech i zdławiła jęki. Czoło zmarszczyło się jej z bólu, a następnie rozciągnęło w stronę korzeni włosów. Przez kotarę z kolorowych koralików i przez szczeliny w drzwiach wdzierały się do pokoju zapachy gotowanych potraw.

– Jakie śmierdzące historie ludzie mogą wymyślić w swoich brudnych głowach, ażeby ich zasypała ziemia. – Zęby grzebienia z włosami zmarłej matki kłuły głowę Nazi niczym zębami widelca.

– Przysięgam ci na światło tego południowego słońca, a niechby Szahin zginął śmiercią gojów i zostawił moją córkę w domu z tym całym jej arbuzowym brzuchem. Tak byłoby lepiej, wdowa, a nie zdzira, która biega w nocy za swoją gorącą dziurą po całej wsi.

Włosy Nazi i Mahasti zwinęły się w jeden poplątany zakurzony kłębek.

– Tylko przez niego, tylko przez niego spadły na nasz dom te wszystkie nieszczęścia. Wziął sobie szczęśliwe dziecko, a zrobił z niego szaloną kobietę. Wszystko przez to zaćmienie Księżyca. Zobacz – powiedziała Miriam-chanum, wyciągając z włosów Nazi leciutkie gęsie piórko. – Zostało ci jeszcze jedno na głowie. – Pomachała nim przed jej nosem i pstryknęła w nie, aby spadło.

– A właściwie jest mi potrzebne – zmieniła zdanie i złapała szybujące powoli ku podłodze. Ukryła je w zaciśniętej pięści, pochyliła się, aby zebrać jeszcze więcej puchu, a kiedy spostrzegła, że tyle jej nie starczy, nabrała jeszcze trochę z worków. Przez zasłonę z włosów Nazi widziała, jak Miriam-chanum wypycha piórami parę skarpet, które przyniosła z kołyski Flory. Dziewczynka odgarnęła nieco czuprynę i przypatrywała się ciotce, która rwała na szerokie kawałki białe prześcieradło.

– Wstawaj, wstawaj, *azizam*, Musa czeka na swoją pannę młodą –

Miriam-chanum podniosła ją z dywanu. Do płaskich piersi Nazi przyłożyła puchowe kulki, każdą do sutka. Włosy małej zsunęły się po pierzastym biuście.

– A teraz je umocujemy – powiedziała Miriam-chanum, przewiązując piersi i łopatki Nazi kawałkami prześcieradła.

– *Maszallah, bah, bah*, no zobacz, jak ty wyrosłaś, *azizam*, jak ty wyrosłaś! – objęła ją ciotka, przywierając swoimi wielkimi piersiami do bijącego serca Nazi i przygniatając pierzaste kulki.

W końcu umyta i bosa Nazi wyłoniła się z pokoju dziewczynek. Na żelaznej patelni Miriam-chanum skwierczały ryby w tłuszczu, a Homa zszywała młode kury, nafaszerowane uprzednio ryżem, rodzynekami i plasterkami marchwi. Jej mąż oplukiwał *sabzi*, a małżonek Miriam-chanum stał w drzwiach i pytał przechodniów, czy nie widzieli Flory. Wielu domokrażców przybyło do zaułka, usłyszawszy dzwonek osła małego Parwiza, obładowanego wszelakimi dobrami.

– Szpinak, kabaczki! Szpinak, kabaczki! – wrzeszczał mężczyzna, pchając nabitą po brzegi taczkę i kołysząc na boki wagą szalkową.

Po nim przybył pasterz, którego nadejście zapowiedziało beczenie owiec.

– Twoja córka Flora? – krzyczał. – Nie, nie widziałem jej. Może wypła za dużo pucharów ze śliną sąsiadów i upiła się biedaczka?

Handlarze tłoczący się wokół domu ryczeli ze śmiechu wraz z nim.

– Zamknij drzwi – krzyknęła Miriam-chanum do męża – żeby mi nie wleźli do domu ze swoimi oczami. Homa, do diabła, coś ty nagadła Dżandżan *sabziforusz*, że oni wszyscy tak tu cisną?

– Nic. Jak Boga kocham – nic.

– Miriam-chanum, burak czerwony jak krew, pomidor słodki jak miód! – dochodziły krzyki z ulicy.

– Więc dlaczego akurat do mnie przychodzą wszyscy sprzedawcy słodczy i pistacji, idiotko? Powiedziałaś jej, że mamy ślub?

– Nie, mamu, nie, ażeby ona pękła. Zapytała mnie, co takiego się stało, że potrzebuję tyle *sabzi*, niech jej utknie w gardle całe to *sabzi*. Więc nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć... Mamu, powiedziałam tylko, że Szahin i jego osioł wrócili do wsi, a ona zapytała, gdzie w takim razie jest Flora. Ja na to odparłam, że poszła zrobić hennę i wykapać się dla niego w łaźni. A ona zapytała: „to dlaczego twój ojciec szuka jej po całej wsi?”. I powiedziała też, że ludzie gadają, że widzieli ją zeszłej nocy, jak szła...

– Zamknij się, Homa, zamknij albo napcham ci gębę jajkami, ażebyś ty się zadławiła od tego ciągłego gadania! – Musa przerwał siostrze, a jej mąż wbił zawstydzone spojrzenie w garnek z wodą.

Gdy Nazi weszła do kuchni, spostrzegła, że Musa jest nadal w rzeźnickim fartuchu i czarnymi palcami obiera ugotowane jajka. Rozłupywał jedno za drugim na zgiętym kolanie i kruszył skorupki.

– A oto i jaśnie wielmożna panna młoda, nareszcie, tak długo się myłaś, że noc zapadła – narzekała Miriam-chanum.

Oczy wszystkich zwróciły się na Nazi i Musę, który podszedł do niej, wysoki i uśmiechnięty, zrzucając z kolan na podłogę kawałki skorupki.

– Zerwał się wiatr... – przepraszała z zarumienioną twarzą, a jego serce wyrywało się do niej.

Zobaczył rozcięte uszy, delikatne pierzaste piersi i połyskujące w oczach łzy.

– Spójrz, kupiłem ci nowe buty – wymamrotał pośpiesznie, chcąc powstrzymać kapiące na kawałki skorupki kropelki. – Buty panny młodej.

Wysoko nad jej głową trzymał biały kartonik przewiązany sznurkiem. Nazi spojrzała na pudełko osuwające się w rękach i w wyobraźni zajaśniała jej para białych lakierów na wysokim obcasie, które kiedyś widziała na straganie u Szimszona Szahrudiego i które bardzo chciała włożyć na swój ślub. Musa ukląkł u jej stóp na dywanie z Kaszanu i odłożył pudełko.

– Mierzyłem je własną dłonią – oznajmił, rozcapierzając palce na dywanie.

Drugą ręką chwycił ostrożnie kostkę Nazi, jak gdyby była pisklęciem, i postawił bosą stopę w swojej dłoni.

– Widzisz, Nazi, pasują idealnie. Twoja stopa ma identyczny rozmiar jak moja dłoń – wyszeptał, a Homa odetchnęła z ulgą.

– Mówiłam mu, żeby zostawił teraz buty, bo nie ma na to czasu – powiedziała do Miriam-chanum, dźgając powietrze igłą do szycia drobiu. – I powinna też je przymierzyć.

– Mogła wziąć pantofle Flory, tak jak wzięła jej sukienkę. Bóg skaże tę dziewczynę za to, że nam tak zniknęła – dodała Miriam-chanum. Jej oczy skrywał dym unoszący się z patelni z rybami, a uszy nasłuchiwały odgłosów z ulicy.

– Mówiłam mu, ale nie chciał mnie słuchać i nie dał mi spokoju, aż nie znalazł odpowiednich. Przewracał stragan męża Ezzat Szahrudi, szukał i szukał, no i rzeczywiście znalazł właściwy rozmiar.

– Mógł wziąć większy, żeby buty były na kilka lat – stwierdziła cierpko Miriam-chanum. – Co on sobie myśli, że ona na zawsze pozostanie taką małą dziewczynką? Nie. Będzie rosła mu na rękach.

– Nie chciał mnie słuchać, ale zobacz, jak ona teraz się śmieje – radowała się Homa.

Musa odwiązał sznurek i z dumą wyjął z pudełka parę białych pantofelków na wysokim obcasie ze srebrną sprzączką, ale niepolakierowane wydały się Nazi zwyczajne i nieciekawe. Szukała wśród kobiet w pokoju swojej matki, aby ukryć w jej ramionach niezadowoloną twarz. Musa chwycił stopy kuzynki i wsunął kolejno do pasujących jak ulał bucików. Nie spostrzegł, że jej łzy nie wyrażały radości.

– Aj, aj, są za małe, Musa, zdejmij je, to boli – krzyknęła Nazi, wybuchając

gorzkim płaczem niczym rozpieszczone dziecko.

– Nie, Nazi, nie płacz – jęknął zaskoczony Musa. – Nie płacz, spójrz, już je zdejmuję i wymienimy je u Szahrudiego na większe, tylko nie płacz, proszę...

– *Wawejla* – znowu płacze i na co? – wrzasnęła Miriam-chanum ze złością, dławiąc się dymem. – Dzisiaj jest jej ślub, a ona kąpie się w swoich łzach jak noworodek! Co to ma być? Nie wstyd ci? Buty masz, piersi masz i masz też piękny posag, więc czego ty więcej chcesz, *Choda ja*, czego więcej?

Wszyscy wpatrywali się w Nazi podejrzliwie, w dziewczynkę, która rozcięła sobie uszy rano w meczecie, fruwała po całej wsi i której stopy są już większe od dłoni Musy.

20.

Kiedy zaświeciła pierwsza gwiazda na niebie Omridzanu, Nazi zapragnęła położyć się do snu. Przetarła oczy piąstkami, a głowę położyła na ramieniu. Pod zamkniętymi powiekami migotały jej dzisiejsze wydarzenia.

Rozciągnęła się na dywanie, lądując głową na zwiniętych w kłębek prześcieradłach, a pierzaste piersi złączyły się ze sobą i przywarły do łomoczącego serca. Na włosach miała białą chustę, skrywającą przed gośćmi rozcięte płatki ucha. Deszcz szemrał w Zaułku Migdałowców, a pokoje w domu szeptały: „Flora... Flora... Flora...”

Nazi pomyślała o dzieciach z sąsiedztwa, które po zapadnięciu zmroku rozkładają materace na miękkim dywanie. Rodzeństwo przytula się do siebie, zasypiając ściśnięte jak żółtko w białku jaja. Również i ona w dzieciństwie razem z Florą, Musą i Homą zsuwali przed snem materace i harcowali, skacząc po ogromnym białym posłaniu, śmiejąc się i wrzeszcząc, rzucając w siebie poduszkami i łaskocząc się pod kołdrą, dopóki Miriam-chanum nie zaczęła obsypywać ich gradem obelg, krzycząc, aby poszli wreszcie spać. Wtedy przywierali pośladkami do brzuchów, wtulając sobie wzajemnie głowę w kark i chichocząc po cichu, aż całą czwórkę otulał słodki sen.

Ale kiedy Musa stał się mężczyzną, zabroniono mu spać jak niemowlę owinięte ciałami dziewczynek i od tamtej pory musiał zwijać się w kłębek samotnie w przedsionku. Homa wyszła za męża, a Flora? Gdzie jest teraz Flora?

– Mamy dzisiaj małą pannę młodą, a jutro będziemy mieć *kuczek-madar*... – Mani dzun nuciła weselną pieśń.

Staruszka przycinała zębami paznokcie, a żółte półksiężycy usypywała starannie w kupkę na dywanie. Skrócone paznokcie wygładzała, ssąc je w ustach, następnie wyjmowała je jeden za drugim, rozcapierzając palce i oglądając z dumą efekty manicure. Twarz wymazała sobie tłustym sosem z ryżu podanego na obiad, przez co błyszczała jej na kurkumowo-żółto niczym talerz.

Włosy miała Nazi gładko przyczesane, a na głowie widniał uroczysty przedziałek. Ubrana była w aksamitną białą sukienkę znaną w skrzyni z posagiem od Mahasti, z haftowanym rąbkiem nadgryzionym przez mole. Poły sukni ciągnęły się po podłodze, a spod nich jaśniały lakierki, po które Musa pobiegł na stragan Szahrudiego, wymieniając buty ze srebrną sprzączką. Lakierki były za duże, ale Nazi bez przerwy unosiła podziurawioną tkaninę i przy każdym kroku zachwycała się ich pięknem.

– Nazi, Nazi, *azizam*, gdzie jesteś? – wrzasnęła Miriam-chanum, otwierając drzwi do pokoju dziewczynek. – A to co? Poszłaś spać?... Poszłaś spać jasnie wielmożna panna młoda, jeszcze chwila, a by zasnęła! – krzyknęła przez ramię do

pokoju gościnnego.

Nazi wydobrzała głowę z miękkiego kłębka pościeli, cała drżąc. Nagle dotarł do jej uszu rozbrzmiewający w domu gwar gości, jak gdyby zbudziła się z głębokiego snu.

– Śmieję się, śmieję – powiedziała Mani dzun, włosy miała wilgotne, a twarz żółtą. Śmieję się, ile dusza zapagnie, ze swojej babci, aż udławisz się jajem, które zasadził ci w brzuchu twój mąż łajdak, głupia Floro.

Mała poprawiła sobie sztuczne piersi i wyszła z pokoju. Olbrzymie lakierki spadały jej z pięt, stukocząc o podłogę przy każdym kroku pośród odgłosów jej dudniącego serca.

Kobiety przywitały pannę młodą cichymi radosnymi trelami, tak aby sąsiedzi nie słyszeli weselnych okrzyków, dochodzących z domu. Całusy sąsiadek kłuły ją w policzki niczym rożny, a ich twarze bez weselnego kolorowego makijażu wydawały jej się szare i brzydkie. Mężczyźni w spodniach podciągniętych ponad pępki i z wąsami wijącymi się ku podłodze stali wokół Musy, który czekał na nią pod chupą, jak gdyby nie miał czasu i spieszył się na inny ślub. Flet Mahtab-chanum wygrywał po cichu pogodne weselne pieśni, gdy rabi mułła Netanel wdowiec błogosławił młodą parę, a jego sterczący brzuch oddzielał ich od siebie jak ściana.

– Tej nocy mamy maleńką pannę młodą, a jutro będziemy mieć *kuczek-madar*... – pełne radości pieśni rozlegały się niemal bezgłośnie, jak gdyby były rzewnymi i tęsknymi balladami, a twarze gości przybrały skupiony wyraz, jakby wszyscy słyszeli pulsujący w uszach Nazi szept: „Floro... Floro... Floro...”

Tylko głos Mani dzun dochodził z zamkniętego pokoju dziewczynek głośno i wyraźnie. Nazi widziała w wyobraźni, jak babcia płąsa w wiklinowym koszu, niczym panna młoda prowadzona pod chupę, a jej twarz lśni w ciemności od oleju i łez.

– *Choda ja*, Boże, ta wariatka wszystko nam zniszczy! – Miriam-chanum syknęła ze złością do Sabii Mansur, siostry Mani dzun, jak gdyby to była jej wina, i zniknęła za drzwiami. Gdy wyłoniła się znowu z pokoju dziewczynek, ręce trzymała złożone jak szlaban, nie słysząc już głosu Mani dzun, a deszcz padał coraz mocniej.

Stojąc pod chupą, Nazi poczuła nagle, że jest wysoka i prawie dotyka jej głowę. Uniosła do góry aksamitne poły sukni, zasłaniające buty, aby sprawdzić, czy unosi się w powietrzu, czy może rzeczywiście urosła tego dnia, choć wcale tego nie poczuła. Stopy jednak tkwiły głęboko w dywanie z Kaszanu, tonąc w upragnionych lakierkach.

– Gratulacje, *mobaraket basze*. – Miriam-chanum pochyliła się nad nią, mamrocząc, cmokając w powietrzu i zerkając niespokojnie ku oknu. – Teraz idź na dwór i przynieś *komedzdun* z kurczakami, jak przykładowa panna młoda, no dalej!

Goście są głodni, ja pójdę z Homą do kuchni po ryby, ryż i całą resztę. Idź, *azizam*, idź.

Miriam-chanum otworzyła drzwi i wypchnęła Nazi do ogrodu.

U podnóża cytronu Homa ukryła o zmroku *komedżdun*, kociołek z faszerowanymi kurczakami. Do wielkiego dołu pełniącego funkcję pieca włożyła rozżarzone do czerwoności węgle, postawiła na nie kociołek i przykryła go workami i piaskiem, aby pozostał gorący do czasu posiłku. Pies Musy śledził Nazi wzrokiem, gdy w ciemności szła po omacku do cytronu. Trzymała w ręku długi tren sukni, nowe buty grzęzły w błocie, a cienki welon na głowie rozplątywał się na deszczu. Dziewczynka przykucnęła przy ukrytym skarbie i zaczęła kopać wilgotną ziemię. Kociołka tam jednak nie było, pozostały tylko przypieczone worki, w które był owinięty, i popiół, który poczercił jej dłonie. W jasno oświetlonym domu czekali na nią nieliczni goście, rozłożeni wygodnie na poduszkach wokół obrusa *sofre*, na którym stały parujące miski z ryżem, rybami, ziołami i jajkami na twardo. Szklane kielichy czerwieniały od wina, ale miedziane talerze ziały pustką, czekając, aż Nazi wróci z kurczakami.

– *Amme bozorg*, nie mogę znaleźć *komedżdunu* z jedzeniem... – oznajmiła na progu, a o drzwi zaklekotała kołatka w rozdziawionej paszczy lwa.

– Nazi, nie jesteś już małą dziewczynką, wyszłaś za męża – idź po jedzenie! – W czarnych oczach Miriam-chanum rozwarła się przepaść. Wstała i zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

Panna młoda zrobiła w nich szparę, wpychając do środka biały ubłocony but.

– Nie ma tam, *amme bozorg*, zaklinam się na swoje życie... – wyszeptwała, wciskając do pokoju jako dowód okopcone ręce.

– Więc dokąd odfrunęły kurczaki z rodzynekami i marchewką, Nazi? No dobrze, wejdz, wejdz... Gdyby nie przysięga, którą dałam twojej matce, no wchodź, i zakryj przed ludźmi uszy.

Chusta i welon Nazi pod wpływem deszczu zrobiły się prześwitujące, buty brudziły dywan, a suknia ciągnęła się za nią niczym nadgryziona przez mole szmata. Gdy pojawiła się w pokoju, ucichły dzwoniące o siebie szklane kielichy i zamilkły donośne toasty wznoszone przez głodnych gości. Wszyscy patrzyli na nią z litością, na jej mokrą sukienkę, na pierzaste drżące piersi. Zapomnieli, że jest żoną Musy, i przypomnieli sobie sierotkę Nazicze.

– Homa, ty idź po *komedżdun*, bo nasza panna młoda nie potrafi dzisiaj znaleźć jednego kociołka z kurczakami zakopanego w ziemi! – Miriam-chanum ryknęła znad skulonej Nazi, a Homa pokuśtykała na dwór.

– Ale naprawdę nic tam nie ma, *amme bozorg*. – Nogi Nazi drżały pod sukienką i czuła, że chce jej się siku. – Ziemia pożarła wszystko...

Po chwili Homa wróciła do domu z kociołkiem pełnym obgryzionych kości. Widząc to, goście zaczęli kolejno podnosić się i ustawiać w półkolu przy drzwiach.

– Homa, ażebyś ty pękła, wszystko zjadłaś! – wrzasnęła Miriam-chanum, a oczy niemal wyskoczyły jej z orbit.

– Nie, mamó, nie – Homa wywijała rękami z przestachem, rozpryskując krople deszczu i rozrzucając gnaty na wszystkie strony. – To Fattane Delkaszt zjadła wszystko, przysięgam na swoje życie! – Naczynie upadło na podłogę z głośnym hukiem i zawirowało hałaśliwie. – To ona cisnęła kociołek nad migdałowce, krzycząc, żeby spadły na nas wszystkie klątwy, które rzucałaś na nią i na jej siostrę, mamó. Darła się, jakby gadało przez nią tysiąc diabłów.

– Tfu! – plunęła przerażona Miriam-chanum. – Tfu!

– A potem powiedziała: „Twoja matka zarznęła tłuste kury na ten nędzny ślub, który wyprawiła Nazicze i Musie”. Śmiała się, charcząc jak Mani dżun, i zagroziła, że jeśli powiesz ludziom, że zjadła ze swoimi dziećmi i pawiami całe nasze jedzenie, pójdzie jutro rano do mułły Hasana i unieważni ślub, bo biedna dziewczynka nie ma jeszcze okresu. Piersi nawet nie ma – powiedziała, a ojciec spędzi sto dni w więzieniu, ponieważ dał łapówkę mulle. Przysięgam, że wszystko to prawda, mamó, i dodała jeszcze, że Flora, oj, jakie ona rzeczy wygadywała o Florze...

– Cicho, Homa, zamknij się, zamknij się już! – ryknął Musa, wygrażając rękami w powietrzu.

Miriam-chanum przeklinała zapamiętałe, a zawstydzeni goście zaczęli rozchodzić się do domów, bo słodkie historie, które zaproponował im rabi mułła Netanel zamiast faszzerowanych kurczaków nie zaspokoili ich głodu. Koniec końców i sam rabin udał się do siebie.

Za zamkniętymi drzwiami w pokoju wujostwa leżała Nazi, trzęsąc się i powstrzymując od sikania. Ciotka głaskała ją po twarzy, ale jej oczy wędrowały w stronę okna. Zdjęła z głowy Nazi białą chustę, przesunęła palcami po potarganych włosach i wytarła błoto, które rozprysło się na policzkach dziewczynki. Następnie pochyliła się, wzdychając, zdjęła białe lakierki i pomasaowała nogi Nazi swoimi ciepłymi dłońmi.

– Proszę, nie zostawiaj mnie teraz samej – Nazi chwyciła za ramię Miriam-chanum, bo przeraźliwie tęskniła za matką.

– Nie, *azizam*, nie bój się... – ciotka wyrwała się z jej uścisku.

– Proszę, proszę, nie zostawiaj mnie samej, chcę pójść z tobą, proszę, *amme bozorg*, proszę – nowe łzy popłynęły z oczu Nazi, a jej ręce nadal nie puszczały Miriam-chanum.

– Nazi, dosyć! Nieładnie tak, nie jesteś już małą dziewczynką, niedługo będziesz *kuczek-madar*. Siadaj na łóżku i czekaj na przyjscie męża.

– Zostań ze mną. – Nazi ścisnęła uda.

– No dosyć płaczu, dosyć! Niech Bóg wybaczy Florze głupotę. Opowiedziała ci, co Szahin – niech Bóg strąci go do piekła – zrobił jej tamtej nocy,

prawda?

Nazi przytaknęła. Miedziane talerze, które w kuchni Homa układała w stos, brzęczały jej w uszach, a Miriam-chanum zgasła świecę jednym dmuchnięciem.

– No dobrze, oby Bóg dał wam więcej szczęścia niż moim córkom, a w serce śmierdzącej Fattane wlał wrzącą czarną smołę – wrzasnęła, zamykając za sobą drzwi. – I niech krew, niech krew płynie jak woda cały rok z dziury Soltany, oj, *Choda ja*, niech tak się stanie! – Nazi usłyszała ją już z zewnątrz.

Musa wszedł do środka i od razu pocałował Nazi w usta. Oczy miał zamknięte, a jego wargi dzwoniły na wargach kuzynki niczym łyżeczka mieszająca cukier w szklance herbaty. Wyciągnął rękę ku górze sukienki i powoli rozpinał guziki, aż wypadły z niej mokre pierzaste piersi i potoczyły się na podłogę. Zaczął łaskotać Nazi, ta zachichotała, a leciutki strumień moczu, który popłynął jej do majtek, rozprowadził przyjemne ciepło między udami. Musa nie zwrócił uwagi na wonny krąg, który rozszedł się powoli po mokrej sukni. Otworzył oczy i zobaczył, że Nazi śmieje się w ciemności, dopiero wtedy, gdy usłyszał rozradowany głos matki:

– No, skończyłeś, Musa, skończyłeś tam? – Miriam-chanum uderzała entuzjastycznie w drzwi. – Skończyliście już?



